

HOLDEN SCOTT

NOSICIEL

Przekład
Tomasz Wilusz

Tytuł oryginału
THE CARRIER

Warszawa : Amber, 2000.

isbn 83-7245-404-3

Kobietom z mojej rodziny, a szczególnie Sandee Newman

* 1 *

Siódma trzydzieści rano, może parę minut później. Drobne impulsy elektryczne przemykają po splecionych miedzianych drucikach cienkich jak włos, wzbijają się z ziemi ku niebu i z powrotem, by wreszcie przedrzeć się jak wirus przez uśpiony splot obwodów, diod i miniaturowych mechanizmów.

A potem przenikliwy, metaliczny dźwięk telefonu.

Po trzecim dzwonku Jack Collier otworzył oczy, przysłonięte mgłą snu.

Miał na sobie wczorajsze ciuchy - białą koszulę z krótkim rękawem i jasnoniebieski fartuch. Na skraju łóżka leżały tenisówki, a kitel, zwinięty w wałek, wyglądał jak prowizoryczna poduszka, z której unosiła się lekka woń formaliny, potu i starego żarcia.

Jack powoli i niechętnie odwrócił się w stronę stolika stojącego przy łóżku i wyciągnął rękę do telefonu, który wynurzał się spod sterty zaczytanych podręczników onkologii. Kosmyki brudnych, zaniedbanych jasnych włosów opadły mu na oczy. Na ogół pamiętał, żeby wyłączyć to cholerstwo.

Poprzedniej nocy jednak wrócił z laboratorium na tyle wcześniej, by zamówić sobie przez telefon coś na kolację. Nietknięte pudełko z pizzą wciąż leżało na antycznej dębowej szafce, pokrytej plamami przesiąkającego przez tekturę tłuszczu.

Plastykowa słuchawka była zimna w dotyku. Jack zadygotał i zerknął w stronę okna po drugiej stronie pokoju. Z każdym kolejnym dniem listopada świat za szybą był coraz bardziej szary. Drzewo rosnące przed akademikiem zmieniło się już w bezlistny szkielec; gałęzie kładły się złowieszczym cieniem na stosach brudnych ubrań zalegających podłogę.

Jack podniósł słuchawkę do ucha. Udawał przed sobą, że nie czuje w sercu ukłucia nadziei. To nie ona; ona na pewno nie

zadzwonili.

Powinien był już dawno temu wrzucić ten telefon do kadzi z kwasem akumulatorowym.

Wcisnął kciukiem guzik odbioru, zatrzymując elektryczną infekcję. Potem odkaslnął.

- Jeśli to jakaś specjalna oferta z firmy telekomunikacyjnej, zbiję cię.

Po drugiej stronie przez kilka sekund panowała cisza, po czym odezwał się rozgniewany męski głos, mówiący z lekkim południowym akcentem.

- Jack, gdzieś ty był, do licha?

Minęła chwila, zanim Jack zorientował się, z kim rozmawia. Daniel Clayton, doktorant, dorabiał do stypendium pracą w biurze dziekana.

Był wysoki, chudy i rudy, a z nosa zsuwały mu się okulary w drucianych oprawkach. Kiedy nie musiał wypełniać papierów w biurze dziekana, siedział w laboratorium cztery piętra nad laboratorium Jacka, walcząc o doktorat z neurologii.

W pewnym sensie zbliżało ich to do siebie.

- Cześć; Clayton. Co, znowu coś nie tak z czesnym? Powiedz dziekanowi, żeby się wyluzował. W zeszłym miesiącu czek z grantem przyszedł z opóźnieniem...

-Jezu, Jack, nie chodzi o twoje cholerne czesne. Nie czytałeś listów od dziekana?

Jack zaniepokoił się, słysząc w głosie Clayтона nutę irytacji.

Spojrzał kątem oka na stos nie otwartych kopert na półce przy drzwiach.

- Miałem kłopoty z pocztą.

- A telefon? Zostawiłem ci co najmniej dziesięć wiadomości.

Jack uniósł brwi.

- Nie miałem kiedy sprawdzić sekretarki. Spędzam sporo czasu w laboratorium.

Jack skrzywił się. "Sporo czasu" to za mało powiedziane. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Prawie cały rok w klinkierowej trumnie, gdzie czas znaczy tyle, co wyłączony telefon. Jack całkowicie stracił kontakt ze światem zewnętrznym - ale to było konieczne.

Jeszcze parę dni i skończy swój projekt. Swój cud.

Nie oczekiwał, że Daniel Clayton zrozumie.

- Czy to coś ważnego? - spytał zirytowany, że traci cenne minuty, które mógłby spędzić w laboratorium.

- Ważnego? Stary, zebranie rozpoczęło się dwadzieścia minut temu.

Jack myślał o czym innym - o lodówce w kącie laboratorium. Tam, na drugiej półce od góry, leżała plastikowa płytka Petriego wypełniona bakteriami. Jeszcze jeden dzień, góra dwa. Zamknął oczy i zobaczył Angie, jej długie, ciemne włosy i nieśmiały uśmiech.

To dla ciebie, Angie. Zrobiłem to wszystko dla ciebie,

pomyślał.

Dłonie Jacka zdrząły. Chciał odłożyć słuchawkę, ale do jego ucha wciąż sączył się głos Claytona.

- Słyszałeś, co mówiłem, Jack? Masz natychmiast ruszyć tyłek i stawić się w Sackler Hall, w sali na drugim piętrze. Jest już dziekan Cryer, profesor ,

Landry i Ballacroft, przewodniczący komisji dyscyplinarnej.

Oczywiście przyszedł też Dutton. Jestem pewien, że będzie po twojej stronie, ale w takich sprawach jak ta obowiązują ściśle przepisy. Nawet on nie odważy się ich nagiąć.

Jack zamrugał. Coś mu zaczynało świtać. Poczł chłód w piersi.

- Clayton, o czym ty mówisz, do licha?

Po drugiej stronie rozległ się syk złości.

- Umyj sobie te cholerne uszy i posłuchaj mnie wreszcie.

- Ale ja cię słucham. Powtórz to, co powiedziałeś, żebym zrozumiał.

Clayton mówił tak wolno, że każde słowo przenikało Jacka do głębi.

- Jack, wylatujesz ze studiów.

Wchodząc przez podwójne drzwi do przypominającej miskę auli, Jack zamiast szoku odczuwał niemy, porażający strach. W pokoju w akademiku, wśród smrodu starej pizzy i brudnych ubrań, słowo "wylatujesz" wydawało mu się wręcz zabawne. To jednak było ono tak ciężkie i realne jak ostrze topora kołyszające się tuż nad szyją.

W Sackler Hall pachniało Harvardem - ale nie tym wspaniałym, kolorowym, laminowanym Harvardem z broszur reklamowych. Półkolisty pomieszczenie było przestronne, słabo oświetlone i wyłożone włoskim marmurem.

W przejściach między ławkami leżały karmazynowe wykładziny, a na ścianach wisiały obrazy przedstawiające dawno już nieżyjących absolwentów.

Nad drewnianym podestem wisiały dwa żyrandole, z których sączyły się przefiltrowane przez trójkątne kryształki pomarańczowe strumienie światła. Na środku stał długi, stalowy stół konferencyjny, wciśnięty między kamienne popiersia dwóch pierwszych rektorów uczelni. Cztery postacie usadowione za stołem wydawały się Jackowi nierealne. Jedyne, co mógł stwierdzić na pewno to to, że są to sami mężczyźni - i że też pachną Harvardem.

Rozpoczynając samotną wędrówkę w stronę podestu, Jack mimo woli przypomniał sobie swój pierwszy dzień na uniwersytecie. Przyszedł do tej właśnie auli zaraz po męczącej podróży autobusem z New Jersey i usiadł w jednej z drewnianych ław. Tonąc w morzu obcych twarzy, czekał na przemówienie rektora. Chciał usłyszeć, że został wybrany spośród wielu, że spotkał go wielki przywilej, że znalazł się wśród najtęższych umysłów Ameryki - i że tu jest jego miejsce.

Podniósł oczy na portrety na ścianach i napotkał spojrzenia brodatych, arystokratycznych twarzy, krzywiących usta w drwiących

uśmiechach.

To nie było miejsce dla kogoś takiego jak on. Dla takich jak on, nie było miejsca na tym świecie.

Kiedy Jack zbliżył się do stołu konferencyjnego duchy się zmaterializowały. Podszedł do schodów prowadzących na podest. Od razu rozpoznał dziekana Cryera, postawnego mężczyznę o niedbale uczesanych bujnych włosach, z okularami w czarnych oprawkach na nosie. Obok Cryera siedzieli przewodniczący komitetu dyscyplinarnego, Landry i Ballacroft.

Landry był najstarszym profesorem angielskiego na Harvardzie i właśnie tak wyglądał: kędzierzawe siwe włosy, oczy zapadłe, ale bystre, skóra jak zmięte płótno.

Miał na sobie, jak zawsze, tweedową marynarkę, niebieską koszulę w paski i czerwoną muchę, a w drżącej dłoni mocno ścisnął nieodłączną chusteczkę.

Ballacroft był bardziej tajemniczą postacią. Oficjalnie zajmował się antropologią, ale Jack wątpił, czy człowiek ten kiedykolwiek zszedł z piedestału na tak długo, by wzbudzić niepokój właścicieli pralni, do której zanosił swoje szyte na miarę garnitury. Rodzina Ballacroftów była jedną z najbogatszych w Bostonie i od końca siedemnastego wieku nieprzerwanie miała swoich przedstawicieli w Harvardzie.

Kiedy Jack stanął na pierwszym stopniu, jego nogi stały się ciężkie; skoro miała go sądzić taka ława przysięgłych, sytuacja wyglądała naprawdę poważnie. Jego spojrzenie padło na Michaela Duttona, siedzącego na rogu stołu. Dutton pochylał się nad stosem białych kartek; jego rozwiane, kasztanowe włosy mieniły się w świetle żyrandoli. Jak zwykle, miał na sobie nienagannie skrojony garnitur, a z jego ogorzalej twarzy bił spokój i opanowanie. Jack poczuł się nieco pewniej; skoro jest tu Dutton, może jeszcze nie wszystko stracone. Był on jednym z najbardziej szanowanych profesorów na uniwersytecie, dwa razy trafił na listę kandydatów do Nagrody Nobla. Cieszył się dużą sympatią studentów, zwłaszcza płci żeńskiej, dzięki swojej męskiej urodzie i beztróskiemu uśmiechowi. Co ważniejsze, był promotorem Jacka. Wybrał go na swojego protegowanego, a więc w niego zainwestował.

Kiedy Jack wszedł na podest, Dutton podniósł głowę i ich spojrzenia spotkały się. W zielonych oczach profesora było współczucie - ale oprócz tego coś jeszcze, coś, co pozbawiło Jacka resztek nadziei: litość.

- Jack - zaczął Dutton i wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę - może ty nam wyjaśnisz, w czym rzecz. Starłem się znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie, ale wciąż nie wiem, co o tym myśleć.

Jack poczuł na plecach strużkę potu. Miał na sobie swoją jedyną porządną białą koszulę, którą dostał od Amy na miesiąc przed jej odejściem. Koszula była o jeden rozmiar za mała, ale Jack nie miał czasu biegać po sklepach - nie liczyło się dla niego nic prócz badań. Jego projekt był najważniejszy.

Przynajmniej on tak uważał.

- Przepraszam bardzo - powiedział, kiedy dziekan wskazał mu wolne krzesło u szczytu długiego, stalowego stołu - ale właściwie nawet nie wiem, dlaczego tu jestem. Od pewnego czasu nie otrzymuję poczty i mam wyłączoną automatyczną sekretarkę.

Dziekan Cryer uniósł brwi.

- Chcesz, żebyśmy uwierzyli, że nie znasz zarzutów, jakie ci postawiono?, Jack usiadł, czerwieniąc się. Nie podobał mu się ton, jakim przemawiał do niego Cryer, i w pierwszej chwili miał ochotę się odgryźć. Szybko się opanował.

- Pański asystent powiedział mi, że ma to jakiś związek z moim egzaminem kwalifikacyjnym.

Ballacraft wskazał wypięłgnowanym palcem dwie teczki leżące na stole przed Jackiem.

- Może rzucisz na to okiem?

Jack zerknął kątem oka na Duttona, ale profesor akurat się odwrócił.

Spojrzał więc na teczki. Otworzył pierwszą z nich i przeczytał jeden akapit napisanego na maszynie tekstu. Po chwili podniósł głowę. Nie musiał czytać dalej - znał tę pracę, bo sam ją napisał.

- To fragment mojego egzaminu doktoranckiego. Pisałem ten tekst dwa lata temu. To praca o systemie immunologicznym człowieka, a konkretnie, o limfocytach T i ich działaniu cytotoksycznym.

Mógłby odtworzyć tę pracę przez sen. Z pewnością wiedział więcej o limfocytach T niż wszyscy profesorowie przy tym stole - no, może z wyjątkiem Duttona. Nie, włącznie z nim. Choć był geniuszem, nie potrafiłby dokonać tego, co udało się Jackowi przez ostatni rok. Wielką niewiadomą było, jak zareaguje na wieść o osiągnięciach podopiecznego. Z tego właśnie powodu Jack utrzymywał swoje badania w całkowitej tajemnicy. Nie można było przewidzieć, jak człowiek pokroju Duttona zniesie świadomość, że przerósł go własny uczeń.

- Tak, to dobra praca - skwitował Dutton, nadal nie patrząc na Jacka. - Pamiętam, jak mówiłem, że jestem dumny, mogąc cię przyjąć do mojego laboratorium. Uważałem, że napisałeś najlepszą pracę z całej grupy.

- Cóż za ironia losu - wychrypiał profesor Landry, po czym otarł usta chusteczką. Jack nie wiedział, czy był zakłopotany, czy też rozbawiony. - Jack; jeśli zajrzysz do drugiej teczki, zrozumiesz, o czym mówię.

Jack nerwowym ruchem wyjął z niej kartkę papieru. Kiedy przebiegł po niej wzrokiem, zrobiło mu się gorąco. Choć autor posługiwał się innym słownictwem, był to niemalże ten sam tekst. Zawierał sformułowane przez niego, Jacka, oceny zachowania limfocytów T, jego nowatorski opis reakcji systemu immunologicznego. Tylko słowa były inne.

Przeniósł wzrok na nagłówek. Widniało tam nazwisko, którego nie znał, i data. Praca pochodziła sprzed siedmiu lat.

- To niemożliwe - powiedział cicho Jack. Jeszcze raz

spojrzał na Duttona. - Panie profesorze, to ja napisałem tę pracę.

- Tak - przerwał mu dziekan Cryer - ale ktoś inny napisał ją wcześniej.

Niezwykle bystry student, który dwa lata temu obronił doktorat i zaczął wykładać w Stanford. Nazywał się Albert Finsey. Niestety, w zeszłym roku zginął w wypadku samochodowym, więc nie mogliśmy z nim porozmawiać.

Jednak posiadane przez nas dokumenty dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że Finsey oddał tę pracę profesorowi Mintonowi, poprzedniemu kierownikowi katedry biologii, który obecnie jest na emeryturze. Minton nie potrafi dokładnie przytoczyć treści tekstu, ale pamięta Finseya i potwierdził, że to on jest autorem.

- Krótko mówiąc - dodał Ballacroft z kamienną twarzą - tej pracy nie napisał pan samodzielnie, panie Collier A na naszym uniwersytecie obowiązują w tej kwestii ścisłe zasady.

Coś ścisnęło Jacka za gardło. To było jakieś wariactwo. Zupełna bzdura.

Spojrzał na dwa teksty leżące na stole, po czym podniósł oczy na dziekana i siedzących obok niego dwóch starców. Potem jego wzrok zatrzymał się na Michaelu Duttonie.

To gorzej niż bzdura. To ukartowana bzdura.

- Ktoś podrobił ten stary egzamin - syknął Jack. - Nie ma innego wytłumaczenia. Finsey nie żyje, więc nie może tego potwierdzić. A Minton jest tak stary jak ten zasrany uniwersytet...

- Opanuj się - skarcił go dziekan. - Istnieje inne, o wiele prostsze wyjaśnienie. Egzamin kwalifikacyjny odbywa się w bibliotece imienia Widenera.

W jego trakcie nie pilnujemy studentów, bo zazwyczaj nie ma takiej potrzeby. Mogłeś bez trudu skorzystać z komputera bibliotecznego i przejrzeć egzaminy z poprzednich lat. Właśnie dzięki takiemu przeszukaniu profesor Dutton odkrył twoje oszustwo.

Jack poczuł ucisk w żołądku. Spojrzał na Duttona. Profesor wzruszył ramionami, a na jego twarzy pojawiło się znużenie.

- Przykro mi, Jack. Szukałem literatury na temat limfocytów T w związku z recenzją, którą muszę napisać. Komputer znalazł twój tekst i starą pracę Finseya. Nie mogłem nie zareagować.

Sala zmieniła się w komorę pogłosową. Głos Duttona zdawał się dochodzić ze wszystkich stron, a Jack czuł, że za chwilę spadnie z krzesła. Dutton, człowiek, który miał go wspierać, przystawił mu pistolet do głowy. To właśnie on zwołał to spotkanie. To on chciał, by wylano Jacka z uczelni.

Tak naprawdę mógł nie zareagować albo przynajmniej najpierw porozmawiać z Jackiem. Ale on od razu poleciał na skargę do dziekana.

Może i postąpił zgodnie z przepisami, jednak wszyscy laboranci na świecie wiedzieli, że przepisy to narzędzie, które nagina się do własnych potrzeb.

Jack przetarł oczy. Nie chciał uwierzyć w to, co się dzieje.

-Zróbcie mi jeszcze jeden egzamin. Dziesięć egzaminów. Nie przepisałem niczyjej pracy. Nie musiałem tego robić.

Ale nikt go nie słuchał. Schował twarz w dłoniach, a dziekan głądził o możliwości złożenia apelacji, o prawach Jacka jako studenta, o zawiadomieniu, które zostało już wysłane do komitetu rozdzielającego granty. Siedział pochylony, kiedy członkowie komisji dyscyplinarnej mówili mu, jak trudna była to dla nich decyzja, jak bardzo żalowali, że kodeks uczelni jest tak surowy, jak mocno są przekonani, że Jack wciąż ma szansę wiele w życiu osiągnąć. Nie zmienił pozycji, kiedy rozległ się odgłos odsuwanych krzeseł i trzech z czterech profesorów wyszli z audytorium.

Nie poruszył się, dopóki nie został sam na sam z Duttonem, przy długim stalowym stole, w czerwonym świetle sącącym się z żyrandoli jak krew.

Cisza nie trwała długo.

-Naprawdę jest mi przykro - powiedział Dutton. - Byłeś świetnym studentem. Możliwe, że byłbyś doskonałym profesorem.

- Dlaczego pan to zrobił? - spytał Jack, odsuwając dłoń, by spojrzeć Duttonowi w te jego cholernie zielone oczy. Nie miał powodu owijać w bawełnę. I nie musiał być geniuszem, żeby odgadnąć prawdę. - Czemu mnie pan zrobił?

Dutton odchylił się do tyłu, lekko poruszony. Kąciki jego ust drgnęły w złośliwym uśmiechu.

- To bezpodstawne oskarżenie. Wspierałem cię. Wiedziałem, jak wiele możesz osiągnąć, mimo swojej przeszłości. To smutne, kiedy marnuje się taki potencjał.

Ręce Jacka zdrząły. Miał ochotę złapać Duttona za klapy i rzucić go na podłogę. Miał ochotę zerwać ze ściany jeden z obrazów i rąbnąć swojego "promotora" ramą w tę jego urodziwą twarz.

- Podrobił pan ten stary egzamin. Dodał pan akapit z mojej pracy, żeby wyglądało, że ją przepisałem. Dlaczego?

Dutton podniósł się z krzesła, wygładzając rękawy.

- Chyba się nie dogadamy, Jack. Mam dużo pracy, a ty musisz się spakować.

Jackowi chciało się rzygać: Starał się wmówić sobie, że wszystko będzie dobrze, że wszystko się jakoś ułoży. Nie potrzebował Harvardu.

Nie potrzebował doktoratu.

Miał swój projekt, swój cud. Co go obchodził jakiś tam Harvard.

- Aha - dodał Dutton, odwracając się od stołu. - Nie masz po co wracać do laboratorium. Twoje przywileje zostały cofnięte. Zamek przeprogramowano tak, by nie akceptował twojej karty identyfikacyjnej.

Te słowa były dla Jacka jak uderzenie obuchem. Zgiął się wpół, zaciskając dłonie na krawędzi stołu. Wreszcie pojął, o co chodzi. Jakim był głupcem! Naiwnym, cholernym głupcem.

- Mój projekt. Wiesz o moim projekcie.

Dutton znieruchomiał, nie odwracając się. Mógł zignorować Jacka; mógł po prostu wyjść. Ale to nie byłoby w jego stylu. Jack nie stanowił dla niego zagrożenia.

- To ja sprawuję nadzór nad laboratorium. Byłeś ostrożny, to prawda, ale niewystarczająco.

- Ukradniesz moje badania. Będziesz udawał, że to twoje odkrycie.

Dutton rozłożył ręce i podniósł głowę do góry.

- Liczy się cud, Jack. Nie to, kto go dokonał.

Jack uderzył pięścią w stół. Huk odbił się echem od marmurowych ścian.

-Nie możesz tego zrobić!

Dutton odwrócił się do niego. Na twarzy naukowca na chwilę zagościł uśmiech drapieżnika.

- Dlaczego nie? Co, doniesiesz na mnie? Ja byłem kandydatem do Nobla. Ty dostałeś się na uczelnię dzięki pomocy rządu, a teraz wylatujesz za popełnienie plagiatu.

Ruszył schodami w dół. W przejściu między ławami zatrzymał się i wymierzył palec w twarz Jacka.

-Twoje słowo przeciwko mojemu, chłopcze. Jak myślisz, komu uwierzą?

Jack gwałtownie zerwał się z krzesła, które runęło na podłogę.

- Nie możesz tego zrobić!

Dutton szedł w stronę wyjścia.

- Masz głowę na karku. Na pewno sobie poradzisz.

- To był mój pomysł! Mój lek! Mój cud!

Dutton roześmiał się i pokręcił głową. Kasztanowe włosy omiotły mu kark.

- Ciebie już nie ma, Jack.

Miał ochotę pobiec za nim. Jednak kiedy ruszył przez podest, poczuł na sobie przenikliwy wzrok postaci z obrazów olejnych na marmurowych ścianach. Dutton miał rację. Nikt mu nie uwierzy. To był świat Duttona, nie jego.

Mając przeciwko sobie kogoś takiego, Jack nie mógł liczyć na sprawiedliwość. Choć spędził w tych murach siedem lat, wciąż był tu intruzem.

2

Jack stał w cieniu dwupiętrowego domu Michaela Duttona, pośród wirujących na wietrze liści. Mimo swoich dwudziestu trzech lat, wciąż wyglądał jak dzieciak. Wysoki, szczupły, za ładny, by być czarnym charakterem, wściekły i zmęczony. Czuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, krew pulsowała mu w skroniach.

Nie ma odwrotu.

Odwrócił głowę i spojrzał na spokojną, wysadzaną drzewami uliczkę.

To była ekskluzywna dzielnica Cambridge, enklawa

profesorskich posiadłości i wypielegnowanych majątków Wszystkie domy miały nazwy; przy każdym z nich stała szopa z narzędziami, a od frontu znajdował się parking dla gości - krótko mówiąc, było to siedlisko bogatych snobów, oddalone raptem o kilka minut od czarnych żelaznych bram uniwersytetu.

Nie, do licha, teraz już nie ma odwrotu.

Miał wrażenie, że budynki dookoła, krzyczą na niego, i chciał im jeszcze głośniejszą odpowiedzieć. Zamiast tego odwrócił się w stronę okna, od którego dzieliło go kilkanaście centymetrów.

Nie ma odwrotu...

Jego pięść uderzyła w szybę. Rozległ się trzask, przypominający huk wystrzału. Szkło wpadło do środka; Jack włożył rękę do otworu i chwycił za zatrask. Okno przesunęło się do góry z głośnym skrzypieniem, ale w środku nie było nikogo, kto mógłby to usłyszeć. Jack obserwował dom przez ostatnie dwa dni i wiedział, że jest pusty.

Ostrożnie przeturlał się przez parapet do pogrążonego w mroku salonu.

Jego buty zapadły się we wschodni dywan. Rozległ się charakterystyczny trzask miażdżonego szkła. Jack zdjął plecak z ramion, otrząsnął się z odłamków szyby i rozejrzał po pokoju.

Dutton miał wykwintny gust i widać to było w każdym, najdrobniejszym nawet szczególe wystroju. Meble pasowały stylem do wnętrza, a zdobiące dom dzieła sztuki były nowoczesne i dobrane ze smakiem. Na półce z drewna wiśniowego po drugiej stronie pokoju stały eleganckie szklane figurki, a vis - a - vis marmurowego kominka, na wpół ukrytego za jedwabną zasłoną, znajdowały się dwie kanapy w stylu Ludwika XIV. Na ścianach, w idealnie równych odstępach od siebie, wisiały pejzaże z czasów kolonialnych. Dutton słynął z obsesji na punkcie precyzji; wśród studentów krążył żart, że modelował swoją fryzurę za pomocą cyrkla i taśmy mierniczej.

Jack ruszył w stronę schodów prowadzących na piętro. Wiedział, dokąd ma iść, bo był w tym domu przed dwoma laty, zaraz po tym, jak dostał się na studia doktoranckie. Profesor Dutton zaprosił go wtedy na drinka, razem z trójką innych studentów. Jack pamiętał, jak stał w tym salonie, w pożyczonej marynarce i tanim krawacie, i słuchał, jak wielki bohater Harvardu zapewnia swoich doktorantów, że będą jedną wielką szczęśliwą rodziną.

Jack zacisnął zęby. Żołądek podszedł mu do gardła.

- Jedna wielka szczęśliwa rodzina.

Twoje słowo przeciwko mojemu, Jack. Jak myślisz, komu uwierzą?

"Jak myślisz, komu uwierzą?" Jack wbiegł na górę i zatrzymał się, zdyszany. Przed nim ciągnął się wąski korytarz, z rzędami drewnianych drzwi po obydwu stronach.

Na drugim końcu znajdowały się schody prowadzące na drugie piętro, ale Jack nie potrzebował tam wchodzić.

Ruszył przed siebie, mrużąc oczy. Dopiero teraz w pełni zdał

sobie sprawę ze znaczenia tego, co chce zrobić. Czuł się, jakby niósł na ramionach ciężkie brzemię. W swoim życiu zrobił wiele głupstw. W wieku trzynastu lat spędził nawet trzy potworne tygodnie w poprawczaku. Ale to było co innego. Teraz popełniał dorosłe przestępstwo w dorosłym świecie.

Jack zatrzymał się na środku korytarza i zwrócił twarzą do drzwi.

Krople potu wystąpiły mu na czoło. Nacisnął klamkę i przestąpił próg pogrążonego w półmroku gabinetu. Przy oknie wychodzącym na pusty podjazd stało wielkie mahoniowe biurko, obok kserokopiarka i obity skórą fotel.

Wzdłuż ścian po obydwu stronach ciągnęły się półki, zastawione książkami i pismami medycznymi. Obok drzwi Jack zauważył puste akwarium.

Powoli podszedł do biurka, omiatając spojrzeniem gładki blat, okna i ścianę. Jego oczy spoczęły na obrazie w ozdobnej złotej ramie. Nawet ze sporej odległości widać było, że to cenne dzieło, pochodzące prawdopodobnie z końca osiemnastego wieku. Matka Jacka uczyła plastyki w szkole i choć umarła, gdy był jeszcze dzieckiem, to zdążyła przekazać mu sporą wiedzę o sztuce.

Domyślał się, że obraz wart, jest dziesięć, może dwadzieścia tysięcy dolarów.

Ale Jack nie był złodziejem dzieł sztuki. Był naukowcem.

Ze złością zerwał plecak z ramion i postawił go na biurku Duttona.

Trzęsącymi się palcami rozsunął zamek. W środku znajdowały się dwie rzeczy.

Małe metaliczne urządzenie wielkości paczki papierosów, i zwinięty w rulon egzemplarz "Science".

Jack rzucił pismo na biurko. Kupił je tego ranka, w kiosku przy akademiku. "Science" było Biblią naukowców; na jego łamach przedstawione zostały wszystkie najważniejsze odkrycia dokonane w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci. Jack przeniósł wzrok na stronę tytułową, na której widniał wielki krzykliwy czerwony napis: "Inteligentne bakterie - cudowny lek".

Pod spodem znajdowało się zdjęcie jednokomórkowej bakterii, półprzezroczystego stworzenia w kształcie elipsy, porośniętego drobnymi rzęskami.

Obok fotografii, wypisane literami w tym samym kolorze, co tytuł, umieszczone było nazwisko autora - a właściwie złodzieja, który przypisał sobie autorstwo dwudziesto stronicowej pracy o przełomowym znaczeniu dla nauki. Jack obnażył zaciśnięte zęby, po raz kolejny tego dnia odczytując nazwisko: Dr Michael Dutton.

Uderzył pięścią w biurko. To takie niesprawiedliwe! Pismo ukazało się dzisiaj rano - czyli Dutton musiał przesłać artykuł do redakcji przed wieloma tygodniami. Podczas gdy Jack cierpliwie prowadził badania, wyczekując odpowiedniego momentu na zademonstrowanie światu swojego cudu, jego promotor mu go wykradł. Każde słowo w tym cholernym artykule zostało wyrwane prosto z mózgu Jacka.

To on wpadł na to, by wpleść fragmenty DNA ludzkiego układu odpornościowego w genom paciorkowca, zmieniając jeden z najbardziej niebezpiecznych drobnoustrojów występujących w naturze w cudowny lek. To był jego pomysł, by genetycznie "wyszkolić" paciorkowce tak, by wyszukiwały i niszczyły nowotwory. To Jack stworzył ten lek, a nie Michael Dutton.

"Jak myślisz, komu uwierzą?" Jack odwrócił się od biurka. Rozpierała go wściekłość. Rzucił się w stronę ściany i jednym ruchem zerwał z niej obraz w ciężkiej złotej ramie.

Pod spodem był sejf osadzony w tynku. Jack dowiedział się o jego istnieniu od byłej pani Duttona, ładnej młodej studentki, która myła probówki w laboratorium. Dutton chwalił się swoim ukrytym skarbem - zgromadzonym przez lata uprawiania hazardu, lub, jak kto woli, matematyki pod postacią gier karcianych - młodym, naiwnym kobietom, z którymi się spotykał, a do których miał ogromną słabość. Teraz Dutton zapłaci za obydwa swoje nałogi. A co ważniejsze, zapłaci za to, że zniszczył życie Jacka.

Wyjął z plecaka małe prostokątne urządzenie z wyświetlaczem ciekłokrystalicznym z przodu i dwoma czerwonymi drucikami zwisającymi u podstawy. Na końcach drucików znajdowały się małe okrągłe nakładki akustyczne. Jack sam skonstruował ten aparat poprzedniego wieczora, na podstawie projektu sporządzonego jeszcze w szkole średniej: był to odbiornik połączony z mikroprocesorem, potrafiącym rozróżnić metaliczne tony bębnow zamka szyfrowego.

Szybko rozwinął druciki i przyczepił nakładki do stalowego sejfu, kilka centymetrów od pokrętła. Zaczął powoli nim obracać. Kiedy pierwszy bęben zaskoczył, na małym ekranie mignęła czarna kropka. Jack zapamiętał cyfrę, po czym obrócił pokrętło w drugą stronę i czekał, aż kropka pojawi się znowu.

Po niecałej minucie rozległa się seria trzasków i drzwi sejfu otworzyły się. Jack nie wierzył własnym oczom. Chryste!

Nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy. Ułożone były w stosiki, sięgające co najmniej metr w głąb sejfu. Jack dotknął drżącymi palcami jednego z plików. Studolarówki. Przeliczył je: sto banknotów, przewiązanych gumką.

Dziesięć tysięcy dolarów. Jack szybko policzył, ile stosików leży w sejfie. Z wrażenia zaschło mu w ustach. Dokładnie dwa miliony dolarów.

Czyli Dutton nie fantazjował. Jack przez chwilę miał ochotę zgarnąć to wszystko do plecaka. Ale nie był złodziejem. Był naukowcem. I zamierzał grać uczciwie.

Dzięki badaniom Jacka, Michael Dutton miał zdobyć Nagrodę Nobla.

Była ona warta około miliona dolarów. Dutton zasługiwał na część tej kwoty, bo to dzięki jego reputacji Jack mógł prowadzić swoje prace, no i korzystał z jego laboratorium. Nie był chciwy - postanowił, że zabierze mniej, niż mu się należy, i tylko tyle, ile będzie w stanie bez trudu unieść. Nie pieniądze stanowiły o

wartości Nagrody Nobla; podobnie łup, zabrany z domu Duttona miał być tylko środkiem do celu.

Z bijącym sercem Jack włożył rękę do sejfu i zaczął odliczać dwadzieścia pięć stosików.

Czterdzieści minut później w ciszę ciemnego laboratorium, ukrytego w piwnicy budynku imienia McCartneya, w którym mieściła się katedra biologii uniwersytetu Harvarda, wdarł się stukot butów uderzających o betonową podłogę. Jack Collier szedł szybkim krokiem przez labirynt porcelanowych blatów, stojaków ze sprzętem i umywalk z nierdzewnej stali.

Paski od plecaka, wypełnionego banknotami, wrzynały mu się w ramiona. Skóra Jacka była rozpalona, a po plecach spływały mu strużki potu. Spędził w tym labiryncie dwa lata swojego życia, a teraz, z dnia na dzień, stał się intruzem.

Zgodnie z zapowiedzią Duttona, karta identyfikacyjna nie zadziałała w drzwiach oddzielających laboratorium od reszty budynku. Jack obszedł zamek elektroniczny wywołując krótkie spięcie w baterii kadmowej w skonstruowanym przez siebie urządzeniu do otwierania sejfów. Musiał się włamać do własnego laboratorium, by uzyskać dostęp do wyników swoich własnych badań. Do swojego cudownego leku.

Jack zatrzymał się przed stalową lodówką ustawioną na sterylnym marmurowym blacie. Zobaczył w błyszczącej stali swoje odbicie; wyglądał, jakby przez te dwa dni przybyło mu kilka lat - ale, o dziwo, nie był już tak wściekły, zmęczony i pełen goryczy.

Otworzył drzwi lodówki. Ze środka buchnęło na niego schłodzone powietrze. Cztery stopnie Celsjusza, optymalna temperatura do zatrzymania wzrostu bakterii. Na drugiej półce leżały dwie płytki Petriego - pod przezroczystym plastykiem widać było żółtą pożywkę agarową i rosnące na niej małe białe kropki.

Jack uśmiechnął się bezwiednie. Wiedział, jak to dziwnie wygląda -człowiek uśmiechający się na widok bakterii, i to nie byle jakich.

Były to paciorkowce A, jedne z najbardziej drapieżnych i żarłocznych stworzeń w świecie mikrobów Prasa ochrzciła je mianem "pożeraczy ciała".

Powodowały martwicze zapalenie powięzi, przyczynę tysięcy gwałtownych zgonów każdego roku.

Jack wyciągnął rękę i wyjął z lodówki jedną z płytek. Nie miał na sobie rękawic, maski ani kombinezonu. Tylko kawałek plastyku dzielił go od czegoś, co do niedawna było jednym z najbardziej niebezpiecznych zabójców w świecie przyrody. Jack utkwiał wzrok w płytce, obracając ją w dłoniach. Po chwili westchnął.

Pomysł był naprawdę genialny. Zmienić zabójcę w lekarstwo. Nauczyć mikroby polować na nowotwory, zamiast na normalne komórki. Posłużyć się swoim własnym DNA, swoją krwią - w której zawarty był schemat układu odpornościowego - by skłonić paciorkowce A do odnalezienia i zniszczenia intruza: raka.

Jack wyjął z plecaka mały stalowy cylinder wielkości około

siedmiu centymetrów, z zakrętką jak z dziecięcego termosu. Z boku znajdował się przełącznik dekompresyjny; Jack upewnił się, że nie jest wciśnięty i otworzył pojemnik. Ostrożnie włożył płytkę z bakteriami do środka. Następnie zamknął cylinder i wcisnął przełącznik. Rozległ się przenikliwy świst; mała, zasilana baterią pompa oczyściła pojemnik z powietrza, tworząc w środku próżnię.

Jack drżącymi palcami schował pojemnik do plecaka. Bakterie mogły wytrzymać w stanie hibernacji co najmniej tydzień. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Wyjął z lodówki drugą płytkę Petriego. Wpatrując się w plamki bakterii, zaczął myśleć o Angie. Był ciekaw, czy czytała ten artykuł w "Science".

Na pewno nie zwróciłyby na niego większej uwagi, uznałyby, że to tylko kolejna niepotwierdzona sensacja, jakich wiele. Nie domyśliłyby się, że tym razem to prawda, że małe bakterie przedstawione na zdjęciu mogą uratować jej życie. I że to Jack stworzył je dla niej - tylko dla niej.

Dutton nie mógłby pojąć prawdy. Artykuł w "Science", Nagroda Nobla, sława, pieniądze, nawet Harvard - tak naprawdę nie liczyła się żadna z tych rzeczy. Istniał tylko jeden powód, dla którego Jack poświęcił ostatnie dwa lata swojego życia poszukiwaniu cudownego leku. Wszystko to robił dla Angie.

"Jest w jajnikach, Jack. Czwarte stadium. Wiesz, co to znaczy".

Jack zamknął oczy. Pamiętał tę rozmowę telefoniczną tak, jakby odbyła się wczoraj. Głos Angie wydawał się tak cichy, tak odległy.

"Góra trzy lata, Jack. Ani operacja, ani chemoterapia nie pomogą.

Zostały mi trzy lata. I nie zamierzam ich spędzić w szpitalu".

Wyjadę z tobą, powiedział Jack. Rzucę studia i wyjadę z tobą. Ale w jej głosie nagle zabrzmiała stanowcza nuta.

"Nie pozwolę na to. Nie zniszczę twojego życia razem z moim".

Angie, błagał. Moje życie bez ciebie i tak nie ma sensu.

"Proszę, nie szukaj mnie".

I rozłączyła się, a Jackowi pękło serce.

Z najwyższym trudem zmusił się, by nie ruszyć za nią w pościg, ale nie miał wyboru. Wiedział, co mówią statystyki. Gdyby pojechał za Angie, mógłby tylko patrzeć na jej powolne umieranie.

Teraz jednak sprawy miały się inaczej. Mógł ją uratować. Gdyby Angie zobaczyła jego nazwisko nad artykułem opublikowanym w "Science", przyjechałaby natychmiast. Ale w tej sytuacji to on musiał ją odnaleźć.

Palce Jacka zacisnęły się na płytce Duttona obchodząc tylko sława i kariera. Nawet nie wiedział o istnieniu Angie.

Jack miał ochotę cisnąć płytkę na podłogę, zmiażdżyć ją butem, zdemolować całe laboratorium i zniszczyć wszystko, co sam

stworzył. Mimo swojego geniuszu, Dutton musiałby spędzić wiele lat, by odtworzyć osiągnięcia Jacka. Zanim by mu się to udało, społeczność naukowa zaczęłaby powątpiewać w jego dokonania, a może nawet pojawiłyby się jakieś podejrzenia.

Może prawda wyszłaby na jaw.

Jack westchnął i spuścił głowę. Wiedział, że nie może tego zrobić. Choć nienawidził Duttona z całego serca, ten lek miał zbyt wielkie znaczenie. Nie tylko dla Angie, ale i dla milionów innych cierpiących ludzi.

Jack ostrożnie schował drugą płytkę do lodówki. Cofając rękę, poczuł dziwne mrowienie w nadgarstku, jakby przebiegło po nim kilkanaście niewidzialnych pajaków. Pomyślał, że nawet jego układ nerwowy zdaje sobie sprawę z powagi chwili. Dawny Jack Collier odszedł w zapomnienie.

Zamknął lodówkę i sięgnął po plecak. Potem ukląkł na jedno kolano i otworzył szafkę pod marmurowym blatem. Wyjął z niej małą zieloną torbę, spakowaną od wielu miesięcy. Miał ją pod ręką, by w każdej chwili mógł wyruszyć na poszukiwanie Angie. Nietrudno mu było zdecydować, co wziąć ze sobą; jego szafa świeciła pustkami, a oprócz butów nie posiadał nic cennego. Tak naprawdę, był gotów do ucieczki przez większą część swojego dorosłego życia.

Przeszedł spokojnym krokiem przez laboratorium, z plecakiem przewieszonym przez jedno ramię i torbą przez drugie. Zatrzymał się dopiero przy ogromnej tablicy wiszącej półtora metra od drzwi. Jego usta wykrzywił złośliwy uśmiech. Wziął do ręki kawałek jasnoniebieskiej kredy i napisał na tablicy krótką wiadomość - coś, co Dutton na pewno zrozumie. Potem upuścił kredę i ruszył do wyjścia.

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy w studolarowych banknotach. Płytką Petriego pełna bakterii. I torba z ciuchami.

Jack Collier nie był już naukowcem. Był zbiegiem z misją do wypełnienia.

Pora uciekać.

3

Brad, przestań. To wariactwo. Nie tutaj. Drzwi się zaraz otworzą.

Brad Kershaw dotknął językiem obnażoną pierś Jill Lawler i wziął do ust jej sutek. Stali przy drzwiach windy - ona oparta o nie plecami, on z rękami pod jej rozchylonym fartuchem. Koszula Jill była podciągnięta po samą szyję. Brad czuł wilgoć przesiąkającą przez jej cienkie białe majtki i nie zamierzał się hamować. Nie przeszkadzało mu to, że byli w windzie jadącej do piwnicy budynku imienia McCaffreya.

- Jill - szepnął - tu nie ma nikogo. Jest prawie wpół do dziesiątej.

Jutro Święto Dziękczynienia. Pewnie jesteśmy jedynymi ludźmi w całym kampusie. - Brad wsunął ręce głębiej w jej majtki i objął dłońmi pośladki.

Czuł, jak drzwi windy dygoczą pod jej plecami i wiedział, że rzeczywiście zaraz się otworzą. Zjechali już prawie do piwnicy. Ale nikogo tam nie będzie. Do licha, nawet ich nie powinno tu być. Profesor Dutton miał nie lada tupet, żeby dzwonić do Jill ze swojej cholernej komórki i prosić ją o taką przysługę w środku nocy.

- To po prostu nie jest dobre miejsce - powiedziała Jill, wywijając się z uścisku Brada. Odepchnęła go i obciągnęła koszulę na piersi. Brad wypuścił powietrze z ust. Wyciągnął ręce spod fartucha dziewczyny, cofnął się o krok i spojrzał na Jill. Nawet w wymiętym ubraniu wyglądała fantastycznie. Wysoka, dobrze zbudowana, o długich blond włosach i arystokratycznych protestanckich rysach.

- Coś ty taka drętwa? - Zniechęcony, kopnął wielki plastikowy pojemnik stojący na podłodze. - Ściągasz mnie tutaj, każesz taszczyć to cholerstwo przez cały kampus i jeszcze do tego pozbawiasz możliwości dochowania jednego z najważniejszych harwardzkich zwyczajów?

Jill przewróciła oczami.

- Najpierw mówiłeś, że musimy to zrobić w bibliotece. Potem na brzegu rzeki Charles. A teraz kolej na windę budynku biologii?

Brad wplótł palce w jej długie jasne włosy.

- Albo tu, albo na podłodze laboratorium Duttona. Wybór należy do ciebie.

Jill odwróciła się. W tej samej chwili drzwi windy otworzyły się.

- Ale z ciebie romantyk, Brad.

- Nie jestem może profesorem Duttonem, ale staram się, jak potrafię.

Brad pożałował tych słów, ledwie skończył mówić. Jill posłała mu wściekłe spojrzenie i wyszła na korytarz. Brad westchnął, podniósł ciężki pojemnik i ruszył za nią. Wiedział, że nie powinien był poruszać tego tematu. Od dłuższego czasu podejrzewał, że coś się dzieje między jego dziewczyną a szanownym panem profesorem, niech go diabli. Dutton był notorycznym uwodzicielem; jeśli krążące o nim opowieści choć w połowie pokrywały się z prawdą, to mniej znaczący członek harwardzkiego panteonu na jego miejscu już dawno wyleciałby stąd z hukiem. Co gorsza, Dutton nie miał najmniejszych oporów, żeby telefonować do Jill w środku nocy. Brad doszedł do wniosku, że ma prawo być podejrzliwy.

- Musisz przyznać, że ściągając nas tutaj postąpił jak palant. Tak jakby ta sprawa nie mogła poczekać.

Jill szła szybkim krokiem w stronę zamkniętych drzwi na drugim końcu wąskiego korytarza. Słowa Brada wyraźnie wyprowadziły ją z równowagi.

W uszach Jill - a także w uszach większości członków wspólnoty akademickiej - ironiczne uwagi na temat Duttona brzmiały bluźnierczo.

- Nie, to nie mogło poczekać. Z powodu rozgłosu wokół jego

cudownego leku, profesor Dutton chce jak najszybciej przenieść się do nowego laboratorium. To zaszczyt dla nas, że będziemy teraz pracować na górze, a ty powinieneś okazywać trochę więcej szacunku. Jeśli profesor Dutton osiągnie sukces, i nam będzie łatwiej zrobić karierę.

Brad nie odezwał się. Mimo przełomowych dokonań profesora nie był pewien, czy chce umieścić jego nazwisko w swoim życiorysie. Znalazł lekarstwo na raka, niech mu będzie. Nie zmieniało to faktu, że prawdopodobnie przelatywał jego dziewczynę.

Brad zachował te wątpliwości dla siebie. Jill przeciągnęła kartę przez szparę w zamku. Po chwili podniosła głowę.

- Coś jest nie tak. Drzwi się nie otwierają.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział Brad, przekładając pojemnik z jednej ręki do drugiej. Jill powtórnie przeciągnęła kartę przez otwór Elektroniczny zamek i tym razem nie zadziałał. Jill wzruszyła ramionami i oparła się o drzwi. Ku zdumieniu Brada, otworzyły się.

- Pewnie ktoś tu niedawno był - powiedział. - Może woźny zrobił spięcie w zamku.

Jill skinęła głową i weszła do pogrążonego w mroku laboratorium. Wcisnęła włącznik światła. Rozległy się trzaski towarzyszące zapalaniu się lamp fluorescencyjnych. Laboratorium miało kształt prostopadłościanu o wysokich, gładkich ścianach i betonowej podłodze. W powietrzu unosił się charakterystyczny sterylny zapach i słychać było szum wentylacji.

Przestronne pomieszczenie podzielone było na stanowiska robocze biegnącymi równoległe do siebie rzędami marmurowych blatów, stojaków z probówkami i umywalek.

Brad ruszył za Jill przez ten labirynt, nie odrywając oczu od krągłości rysujących się pod jej kitem. Skoro Dutton i tak zepsuł mu wieczór, trzeba było przynajmniej spróbować jak najlepiej wykorzystać sytuację.

- Ile tego gówna mamy zatańczyć na górę?

- Tylko próbki bakteriologiczne - odparła Jill, skręcając ku środkowi laboratorium. - Obie płytki ze zmodyfikowanym paciorkowcem A i próbki kontrolne. Aha, chce też, żebyśmy zabrali wszystko, co zostawił tu Jack.

Brad uniósł brwi.

- Chce przenieść rzeczy Jacka do nowego laboratorium? Po cholere?

Przecież Jack wyleciał z uczelni.

-Nie wiem, nie pytałam. Ale skoro prosił, widać ma w tym jakiś cel. Jill zatrzymała się przed stalową lodówką z próbkami. Brad postawił pojemnik na podłodze i oparł się o marmurowy blat.

- To dziwne. Po co profesorowi wyniki badań Jacka? Dutton nie ruszył palcem, żeby mu pomóc, kiedy komisja od rozdziału grantów...

- Brad - ucieła Jill, otwierając drzwi lodówki. - Załatwmy to szybko i już. Otwórz pojemnik.

Brad uklęknął na jedno kolano i zaczął zdejmować pokrywę pojemnika.

To było naprawdę dziwne. Dutton odkrył lekarstwo na raka; po kiego grzyba mu materiały chłystka, który wyleciał ze studiów? Z drugiej strony, Bóg jeden wie, nad czym pracował Jack Collier. Był odludkiem i niewątpliwie geniuszem. Szkoda, że okazał się takim frajerem. Brad wzruszył ramionami i otworzył pusty pojemnik. Kątem oka patrzył, jak Jill wkłada rękę do lodówki - i cofa ją jak oparzona.

- Jezu!

- Co? - Brad podniósł głowę, zaskoczony. Jill cofnęła się chwiejnym krokiem, z prawą dłonią podniesioną do twarzy.

- Jill?

Zbladła. Brad spojrzał na jej dłoń i strach ścisnął go za gardło.

Pokrywały ją jasno czerwone krosty. Były okrągłe, prawie takie jak przy poparzeniu, o ciemnych, poszarpanych obwódkach. Na oczach Brada zaczęły się powiększać.

- O Boże! Co jest, do licha?

Jill zaczęła wrzeszczeć, wymachując ręką. Brad zerwał się na równe nogi, chwycił ją za nadgarstki i krzyknął, żeby się uspokoiła.

Nagle jego lewą rękę przeszył silny ból. Brad spojrzał w dół i ogarnęło go przerażenie.

Na jego lewej ręce, tuż nad nadgarstkiem, wykwitła krostka rozmiarów dziesięciocentówki. Za chwilę, kilka centymetrów dalej, pojawiła się następna, a po niej trzecia. Ręka bolała, jakby w skórę wbijały się żądła tysięcy insektów. Brad potoczył się na marmurowy blat, z ręką wyciągniętą do przodu.

Jezu Chryste! Pierwsza krostka osiągnęła już rozmiary ćwierćdolarówki.

Była tak głęboka, że na jej dnie widać było biel kości. Z ust Brada wyrwał się krzyk, a jego oczy zaczęły szukać Jill.

Po chwili zobaczył ją, klęczącą przy plastikowym pojemniku. Nawet przez przesłaniającą oczy mgłę bólu zauważył, że coś jest nie tak. Kiedy uświadomił sobie, co, jęknął cicho.

Jill nie miała twarzy.

Ale nie to było najgorsze.

4

Przedmieścia oglądane z samochodu pędzącego sto czterdzieści na godzinę wyglądały o wiele korzystniej. Michael Dutton trzymał nogę na gazie, przedzierając się niebieskim BMW przez luksusowe, pełne zieleni osiedle. Choć było dopiero parę minut po trzeciej nad ranem, czuł się doskonale. Miał mnóstwo energii, niczym narkoman na kokainowym haju. Stracił pięć tysięcy dolarów grając w blackjacka w Foxwoods, ale wcale się tym nie przejął. Tak to jest z hazardem; raz się wygrywa, raz przegrywa. Dutton częściej wygrywał. Nie tylko w kasynie -także w życiu.

Roześmiał się i zabębnił palcami w kierownicę. Sięgnął po telefon komórkowy. W czasie dwugodzinnej jazdy zdążył zadzwonić do trzech dziewczyn pracujących w jego laboratorium. Jack Collier przepadł bez śladu po tym, jak został wywalony ze studiów; najprawdopodobniej był już w drodze do swojej rodzinnej pipidowy. Mimo to Dutton na wszelki wypadek polecił Jill Conway przenieść wszystkie najważniejsze próbki do nowego laboratorium na drugim piętrze budynku imienia McCaffreya. Póki co, odrobina paranoi nie zaszkodzi.

Skრęcając w ulicę Brattle Dutton wystukał kolejny numer. W Los Angeles było już po północy, więc nie zdziwił się, że poczta głosowa jego agenta włączyła się dopiero po trzecim sygnale. Dutton przecesał palcami włosy.

Dotknął policzka rękawem koszuli od Armaniego; ładunek elektryczny przeskoczył z chłodnego jedwabiu na skórę.

- Przemyslałem to, Aaronie, i wydaje mi się, że najlepiej będzie zacząć od "Dateline". Potem "20/20" i talk-showy. Przejrzałem też poprawiony plan- dobrze się spisałeś. Jutro będę przez cały dzień w domu, więc zadzwoń, kiedy będziesz mógł.

Dutton, zadowolony, wyłączył telefon. Profesor biologii z hollywoodzkim agentem - już sobie wyobrażał, jak mu wszyscy będą zazdrościć. Nie było to dla niego nic nowego; zajmował najwyższy szczebel hierarchii harwardzkiej od drugiego roku profesury, kiedy to sławy przysporzył mu artykuł o przepływie krwi w nowotworach. Tym razem jednak nie skończy się na liście kandydatów do Nobla czy pochvale z Akademii Nauk; tym razem Dutton miał szansę na zapewnienie sobie nieśmiertelności. Wszystko, czego dokonał w życiu, bladło w porównaniu z cudownym lekiem. Tym razem Nobel będzie jego - a wraz z nim, miejsce w historii.

Po policzkach naukowca przemknął cień niepokoju. Nieważne, jak osiągnął to, co osiągnął; liczyły się efekty. Było to największe naukowe odkrycie ostatniej dekady - a któż bardziej od niego zasługiwał na laury?

Zatrzymał się na podjeździe przed swoim domem przy ulicy Brattle.

Potrzebował drinka dla uspokojenia nerwów. Niewiele spał przez ostatnich kilka dni i zaczynał się obawiać, że jego zachowanie staje się nieco zbyt maniakalne.

Może tak właśnie objawia się poczucie winy? - pomyślał, wysiadając z wozu. Jego głośny śmiech wdarł się w cichą, podmiejską noc. Z jakiego powodu miałby czuć się winny?

Wybrał Jacka Colliera spośród setek studentów biologii. Dał temu gnojowi swobodę prowadzenia badań w swoim laboratorium. A potem, jak na dobrego przełożonego przystało, trzymał się na uboczu, ukradkiem naprowadzając Jacka na właściwy trop. Nie było to łatwe zadanie - Jack starał się, jak mógł, utrzymać swoje badania w tajemnicy: przychodził do laboratorium późną nocą, rozmyślnie błędnie znakował próbki, a nawet ukrywał preparaty w swoim pokoju w akademiku. Dutton jednak czuwał, zaglądał mu przez

ramię, pilnował, by chłopak nie zboczył z właściwego kursu. A kiedy nadeszła pora działania, Dutton zrobił to, co zrobiłby każdy dobry naukowiec.

Jack był jeszcze gówniarzem; nie poradziłby sobie z konsekwencjami swojego odkrycia. Dutton miał doskonałą reputację i cieszył się ogólnym szacunkiem, mógł więc w pełni wykorzystać możliwości, jakie dawał cudowny lek. Naukowy świat spodziewał się po nim takiego odkrycia, a on nie zamierzał zawieść pokładanych w nim nadziei.

Wszedł do pogrążonego w ciemnościach przedpokoju. Zdjął sfatygowaną zamszową kurtkę, rzucił ją na podłogę i skierował kroki do salonu.

Wiedział, że pod jedną z kanap leży butelka glenfiddich, schowana tam przed ostatnią wizytą jego starszego brata. Evan był leczącym się alkoholikiem i nie mógł pojąć, że ludzie czasami mogą chcieć się napić w zaciszu własnego domu.

Nie rozumiał też, że hazard był sportem intelektualnym, demonstracją kontroli opartej na matematyce, a nie chorobą. Taki już był Evan; dla niego wszystko musiało być czarne lub białe.

Oddychając ciężko, Dutton wszedł do salonu. Był ciekaw, co powiedziałyby Evan, gdyby poznał całą prawdę o artykule w "Science". Na pewno potępiłby go. Nazwałby jego czyn niesprawiedliwym i niegodnym.

Niczego by nie zrozumiał.

Dutton zwolnił krok i utkwiał wzrok w kanapie, od której dzieliło go kilka metrów. A czy było sprawiedliwe, że to właśnie Jack Collier wpadł na ten pomysł? Czy było sprawiedliwe, że Dutton dwa razy trafił na listę kandydatów do Nobla, ale nagrody nigdy nie dostał, podczas gdy jakiś gnój ze slumsów w wieku dwudziestu trzech lat przypadkiem stanął u wrót sławy?

W myśli Duttona wdarł się dziwny odgłos. Dopiero po chwili zlokalizował jego źródło. Spojrzał w dół, na dywan - i zobaczył błysk. Potłuczone szkło.

Otworzył szeroko oczy. Poczował, że chłodny podmuch szarpie jego jedwabną koszulę. Odwrócił się do okna. Było szeroko otwarte i brakowało w nim dużego kawałka szyby.

- O cholera! - Dutton przebiegł przez salon, o mało nie wpadając na jedną z antycznych kanap. Dopadł schodów i popędził na górę, nie zważając na ból w kolanach. Nigdy nie był szczególnie wysportowany, a przez ostatnie lata jego ciało wyraźnie zwiotczało; teraz cały urok Duttona tkwił wyłącznie w mocno zarysowanej szczęce i zielonych oczach. Kiedy wbiegł na piętro, jego policzki były czerwone z wysiłku.

Mocno zasapany, popędził w głąb korytarza. Serce w nim zamarło, gdy podszedł do otwartych drzwi gabinetu. Był pewien, że zamknął je przed wyjazdem do Foxwoods. Wpadł do środka i zastygł w bezruchu.

- Cholera! Cholera! Cholera! - Obraz leżał na biurku, a sejf był otwarty.

Włamywacz wiedział, gdzie szukać pieniędzy. Dutton wbił

pięści w oczy, przeklinając się w duchu. Bóg jeden wiedział, ilu paniom powiedział o swoim skarbie. Świadczyło to o jego potwornej głupocie, ale Dutton nie potrafił utrzymać języka za zębami, zwłaszcza w towarzystwie młodych głupiutkich dziewczyn.

Zgarbiony, powlókł się w stronę sejfu. Nagle, przystanął i uniósł brwi.

W sejfie zostało jeszcze mnóstwo forsy. Kto, do diabła, włamuje się do domu, otwiera sejf i zostawia pieniądze w środku? To nie miało sensu.

Dutton zaczął powoli liczyć pliki banknotów.

Po minucie cofnął się o krok. Myśli kłębiły mu się w głowie. Brakowało dokładnie dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Złodziej zostawił w sejfie milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dziwne. Dutton miał ochotę krzyknąć z radości. Wciąż był bogatym, bardzo bogatym człowiekiem.

To, co się stało, nie miało sensu.

Pozostawało znaleźć odpowiedź na pytanie: kim był włamywacz? Cóż za głupiec zostawiłby tyle pieniędzy? I co Dutton mógł zrobić w związku z tym włamaniem? Dwa miliony w sejfie były owocem dwudziestu lat hazardu. Nie powiadomił o nich Urzędu Skarbowego, nie zapłacił z nich ani centa podatku. Nie mógł wezwać policji; nie mógł wspomnieć o kradzieży nawet swojemu bratu.

Nagle zamarł. Jego spojrzenie zatrzymało się na obrazie leżącym na mahoniowym biurku. Spod ramy wystawała krawędź błyszczącej okładki jakiegoś pisma.

Dutton, zaciekawiony, wyciągnął je spod obrazu i serce mu zamarło.

- Ty cholerny gówniarzu. Powinienem być się domyślić.

Jack Collier nie wrócił do swojej zakichanej pipidówki. Jack Collier włamał się do gabinetu Duttona i ukradł dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Czemu nie zabrał reszty - Dutton nie miał pojęcia. Może coś go spłoszyło.

Może zamierzał tu wrócić. To nie miało znaczenia. Dla takiego dzieciaka jak Jack, tyle pieniędzy to prawdziwa fortuna. A Dutton nie mógł zgłosić kradzieży na policji. Jack był cwany, trzeba to przyznać. Prawdziwy geniusz, niech go szlag trafi.

Nagle Duttonowi przyszła do głowy przerażająca myśl. A jeśli Jackowi nie chodziło tylko o pieniądze? Oczywiście, nie mógł w żaden sposób udowodnić, że to on jest prawdziwym twórcą cudownego leku; Dutton już się o to zatroszczył. Ale mógł zniszczyć to, co stworzył.

Dutton, przerażony, rzucił się biegiem do drzwi.

Tym, co zwróciło uwagę Duttona po wejściu do laboratorium był zapach, jakby jakiegoś gazu, podobnego do metanu, ale nieporównanie bardziej odrażający. Wydawał się niemal namacalny, jakby całe powietrze było nim przesiąknięte. Z każdym krokiem w głąb laboratorium, robił się coraz silniejszy.

Co zrobił Jack, do licha? Wrzucił tu świecę dymną? Zniszczył laboratorium? Dutton skrzywił się, zasłaniając usta i nos rękawem jedwabnej koszuli. Tego gnojka byłoby stać na coś takiego. Dutton

czytał akta Jacka; wiedział wszystko o jego dzieciństwie, o pobycie w poprawczaku. To głównie dzięki temu tak łatwo było go wrobić w popełnienie plagiatu. Przecież ten gówniarz był zwykłym wyrzutkiem społeczeństwa.

Skręcił za róg, zagłębiając się coraz dalej w labirynt. Smród stał się tak silny, że zrobiło mu się niedobrze. Zakrztusił się, przetykając żółć, ale zmusił się, by iść dalej. Przy dwóch stalowych umywalkach skręcił jeszcze raz, odwrócił się w stronę lodówki z próbkami - i wybałuszzył oczy.

Zakrył usta dłońmi. Matko Boska! Przerazenie chwyciło go za gardło, nie mógł złapać tchu. Potykając się, zrobił kilka kroków do tyłu.

- Jezu Chryste!

Na podłodze, półtora metra przed nim, leżały dwa białe szkielety.

Jeden z nich był skulony, odwrócony plecami do stalowej lodówki. Drugi, zgięty w pół, siedział przy marmurowym blacie, z rozrzuconymi rękami. Obydwa miały na sobie jasnoniebieskie fartuchy i białe kitle. Na żadnym nie było ani śladu ciała ani mięśni, nawet centymetra skóry. Wyglądały, jakby zostały dokładnie wyszorowane.

Przez ułamek sekundy Dutton zastanawiał się, czy to nie jakiś chory żart. Wtedy jednak zobaczył włosy. Obok szkieletu leżącego przy lodówce piętrzył się stos pięknych, długich, jasnych kosmyków. Dutton od razu rozpoznał te złote włosy. Pamiętał, jak przeczesywał je palcami, pamiętał ich zapach. Włosy Jill Conway.

Przenikliwy chłód przeszył go od stóp do głów. Przeniósł wzrok na czaszkę, na otwory w miejscach, gdzie kiedyś były oczy Jill. Z jednego z oczodołów wypływał gęsty płyn, podobny do śluzu. Słysząc było cichy syk, a na powierzchni cieczy pojawiały się małe bąbelki.

Duttona ogarnął paniczny strach. Odwrócił się i pobiegł przed siebie.

Wpadł na stojak z próbkami. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, ale Dutton nie zatrzymał się, nie zwrócił nawet uwagi na to, co się stało.

Jego usta były szeroko otwarte, w gardle uwiązł krzyk. Przedzierał się przez labirynt, zakręcił po zakręcie, nie zwalniając ani na chwilę. Kiedy rzucił się ku otwartym drzwiom laboratorium, kątem oka zauważył wiszącą na ścianie tablicę.

Widniał na niej jakiś napis, wykonany jasnoniebieską kredą. Mój Boże!

Nogi ugięły się pod Duttonem i runął na podłogę, wpatrzony w niebieskie litery. Drżącymi ustami odczytał straszne słowa.

To się nazywa karma, profesorze.

Mam nadzieję, że pożre pana żywcem.

Mogło być gorzej, doktor Ross. Mógłbym siedzieć w domu z rodziną, jak w ostatnie święto Dziękczynienia. Dzięki Bogu za F-Bi-aI. - Martin Caufield mrugnął do niej porozumiewawczo. Drzwi windy zaczęły się rozsuwać. Tyler Ross popatrzyła na chaos panujący w piwnicy i cień zniechęcenia przemknął po jej twarzy o nordyckich rysach. I znów to samo.

Położyła dłoń na ramieniu tęgiego technika.

- Panie Caufield, jeśli woli pan być tutaj niż w domu, mam nadzieję, że nigdy nie poznam pańskiej rodziny.

Minęła go i wyszła z windy. Wyprostowała się. Gwar rozmów nagle ucichł i wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku. Tyler poczuła się nieswojo, ale zachowała kamienną twarz. Przy swoim wzroście - prawie metr osiemdziesiąt - zdążyła przywyknąć do tego, że przyciąga wzrok, choć spojrzenia skierowane na nią w tej chwili miały więcej wspólnego z jej pozycją niż posturą.

Błyszcząca srebrna odznaka przypięta do kłapy ciemnoszarego kaszmirowego żakietu świeciła jak latarnia w korytarzu pełnym białych kitli, zielonych kombinezonów i niebieskich mundurów policyjnych. Jak zawsze, Tyler była wyższa rangą od wszystkich w zasięgu wzroku, co oznaczało, że nie miała szans wtopić się w tłum - nawet gdyby tego chciała. Co gorsza, była kobietą. Wysoką kobietą o krótko przystrzyżonych blond włosach i lazurowych oczach.

-Pulpit sterowniczy jest już prawie gotowy - powiedział Caufield, wychodząc z windy. Był barczystym mężczyzną, niższym od Tyler i zbudowanym jak hydrant. Miał okrągłą pomarszczoną twarz.

- Sonda jest w środku, można zaczynać.

Skinęła głową, rozglądając się wokół. Na korytarzu było co najmniej trzydziestu ludzi, głównie techników z wydziału naukowego F-Bi-aI.

Kilku umundurowanych policjantów z bostońskiej policji obserwowało całe zamieszanie z głębi korytarza, trzymając się jak najdalej od plastikowego tunelu prowadzącego do otwartych drzwi. Przy przezroczystych płachtach znajdował się pulpit sterowniczy - prostokątna stalowa szafka na ośmiu żelaznych kołach, najeżona dźwigniami, przelącznikami i przyciskami; z jej środka wystawał ekran prawie metrowej wysokości. Tyler zauważyła, że był to najnowszy, "płaski" model, grubości nie więcej niż dwu centymetrów. W tej chwili ekran świecił łagodnym niebieskim blaskiem; w prawym dolnym rogu widoczny był mały zegar.

- Co z tym profesorem Michaeliem Duttonem? - spytała Tyler, podchodząc do pulpitu. Dwaj technicy w identycznych kombinezonach odsunęli się na bok, odsłaniając ekran. - Tym, który znalazł zwłoki?

Caufield wycelował palec w sufit.

- Trzymamy go w prowizorycznej izolatce na drugim piętrze, razem ze strażnikiem i dwoma policjantami. Tylko oni byli wewnątrz laboratorium; gdy zadzwoniła do nas policja, od razu wszystko szczelnie zamknęliśmy.

Przeszli już wstępne przesłuchania...

- Czytałam akta sprawy w samolocie - przerwała mu Tyler Właściwie zrobiła to dwa razy; najpierw w limuzynie, która przewiozła ją z Quantico na lotnisko Dulles, a potem podczas krótkiego lotu do Logan. - Przerażające.

Powiedziała to bez emocji. Miała trzydzieści sześć lat; od prawie dziesięciu pracowała w wydziale zagrożeń biologicznych F-Bi-aI. Nie uważała siebie bynajmniej za osobę uodpornioną na wszelkie okropności, ale nie mogłaby robić tego, co robiła, gdyby nie nauczyła się zachowywać pewnego dystansu.

Ostatnio jednak zauważała, że coraz trudniej jej to przychodzi, zwłaszcza gdy śledztwo przybiera niepomyślny obrót. Ostatni facet Tyler mówił jej, że mięknie z upływem lat, ale wiek niewiele miał z tym wspólnego.

- Z bliska wygląda to o wiele gorzej - powiedział Caufield tonem, który wzbudził niepokój Tyler. Ten barczysty technik, były futbolista z głębokiego Południa, nie zaliczał się do osób, które byle co jest w stanie poruszyć. - Myślę, że mamy do czynienia z czymś zupełnie nowym.

Tyler otrząsnęła się z zadumy i podeszła do pulpitu. Caufield stanął przy niej i jego potężne dłonie zaczęły tańczyć wśród dźwigni i przełączników.

Po kilku sekundach na ekranie pojawił się czarno - biały obraz o rozdzielczości wyższej niż w najlepszych magnetowidach.

- Sonda jest około trzech metrów od miejsca zdarzenia - powiedział Caufield, otwierając klapkę na środku pulpitu. Wskoczył z niej dziesięć centymetrowy drążek na pneumatycznych sprężynach. - To cholerny labirynt. Mocno się napociliśmy, żeby doprowadzić sondę w to miejsce. Ze starym modelem by się nam nie udało. Za to ten to super - machina.

Dzięki Bogu za IRA.

Tyler uśmiechnęła się. Caufield ciągle dziękował za coś Bogu. Nie mogła się z nim jednak nie zgodzić. Gdyby nie walki w Irlandii, ta sonda nigdy by nie powstała. Był to robot wielkością i kształtem przypominający mały kosz na śmieci. Sterowana przez radio sonda o tytanowym pancerzu poruszała się na czterech gąsienicach i zawierała trzynaście najnowocześniejszych silników z napędem obrotowym. Wyposażona była w dwie kamery światłowodowe i wciągany chwytник. Zaprojektowana przez brytyjską armię, miała być wykorzystywana do rozbrajania bomb; teraz z podobnych modeli korzystano we wszystkich większych miastach Stanów Zjednoczonych.

Poprzednik Tyler, Arthur Feinberg - obecnie zastępca dyrektora F-Bi-aI i jej bezpośredni przełożony - jako pierwszy wpadł na pomysł wykorzystania sondy w sytuacjach zagrożenia biologicznego, takich jak ta. Podobnie jak wszystkie propozycje Feinberga, i ta miała swoje głębokie uzasadnienie; po co narażać agenta na niebezpieczeństwo, skoro zadanie to równie dobrze mogła wykonać mieszanina stali i mikroprocesorów, warta kilka milionów dolarów. Choć pobieraniem próbek wciąż musieli się zajmować agenci z krwi i kości, ubrani w kombinezony, wstępne oględziny można było prowadzić z bezpiecznej odległości.

- Proszę bardzo - powiedział Caufield, wskazując dźwężek. Tyler uświadomiła sobie, że na korytarzu za jej plecami zapadła cisza; oczy wszystkich utkwione były w płaskim ekranie. Przynajmniej wreszcie przestali się na nią gapić. Ujęła dźwężek w palce, rozluźniając ramiona.

Sonda gwałtownie ruszyła do przodu. Obraz na ekranie zadygotał. Minęło kilka sekund, zanim Tyler udało się dobrać odpowiednie tempo ruchu urządzenia. Na ekranie pojawiło się wnętrze laboratorium. Dla Tyler był to znajomy widok; większość swojego dorosłego życia spędziła w laboratoriach biologicznych, najpierw na uniwersytecie w Yale, potem przez dwa lata podyplomowych studiów w Columbii. Następnie wylądowała w Akademii F-Bi-aI w Quantico, gdzie przez cztery lata prawie nie opuszczała laboratorium Arthura Feinberga na piątym piętrze siedziby wydziału naukowego.

Widok pojawiających się na ekranie wąskich przejść działał na nią dziwnie kojąco.

Gdy sonda wykonała ostry zakręt i zatrzymała się, czar przysł.

Tyler wypuściła dźwężek z dłoni i otworzyła szeroko oczy.

Caufield miał rację; z bliska wyglądało to o wiele gorzej. Dwa szkielety na podłodze laboratorium były jak wyjęte z horroru. Nie został nawet skrawek skóry, mięśni czy narządów wewnętrznych. Jedynie z oczodołów wypływała organiczna substancja - gęsta, bulgocząca maź niewiadomego pochodzenia.

Tyler przetarła oczy. Ciarki przeszły jej po plecach. Choć zachowała kamienną twarz, jej nerwy były napięte jak postronki.

Przypomniała sobie, że ten sam obraz widzą wszyscy zgromadzeni na korytarzu. To do niej należało wytworzenie atmosfery śledztwa.

Musiała sprawiać wrażenie osoby silnej - twardej agentki F-Bi-aI, którą wszyscy powinni szanować. Wypuściła powietrze z ust, opanowując nerwy.

- No dobrze, potrzebne nam będą próbki wydzieliny wpływającej z oczodołów, a także kości i szpiku. Trzeba będzie też dokładnie obejrzyć wszystko, co jest w lodówce, a zwłaszcza preparaty bakteriologiczne.

Caufield skinął głową i powtórzył jej polecenia stojącym z tyłu dwóm technikom w kitlach. Kombinezony czekały w przebieralni na piętrze, wraz z pojemnikami na próbki i aparaturą do analiz. Tyler wiedziała, że najważniejsze będzie następnym kilka godzin; w sprawach takich jak ta, odpowiedzi pojawiały się szybko albo wcale.

Oddychając głęboko, znowu popatrzyła na szkielety. Próbowwała sobie wyobrazić, jaki mikroorganizm mógł dokonać czegoś takiego. Wiedziała wszystko o badaniach profesora Duttona; jego artykuł w "Science" przeczytała na długo przed telefonem z biura F-Bi-aI w Bostonie. Dlatego właśnie przyjechała osobiście, zamiast przekazać sprawę komuś z podwładnych z Quantico.

Kiedy wpatrywała się w ogołoczone kości ofiary, obudziło się

w niej podejrzenie, że z cudownym lekiem Duttona stało się coś niedobrego.

Starła się nie dać po sobie poznać, jak bardzo ta myśl ją zaniepokoiła.

Zacisnęła wargi i za pomocą drążka podprowadziła sondę do jednego ze szkieletów - Widziała pani kiedyś coś takiego? - spytał Caufield zniżonym głosem.

Tyler potrząsnęła głową. Przez dziesięć lat pracy w F-Bi-aI była świadkiem wielu okropności. Widziała ludzi umierających w straszny sposób, ciała nękane wirusami, bakteriami i związkami chemicznymi. Nigdy jednak nie miała do czynienia z ofiarą, z której zostały same kości.

- Wiadomo, kim są ofiary?

Caufield skinął głową.

- Strażnik zajrzał do kieszeni ich fartuchów, zanim zdążyliśmy zaplombować pomieszczenie. Obydwie ofiary były doktorantami. Ten szkielet pod stołem to niejaki Brad Kershaw Wysoki, przystojny chłopak; pochodził z Belmont. Niedawno skończył dwadzieścia sześć lat.

- A druga ofiara? - spytała Tyler z ciężkim sercem. Jej młodszy brat był zaledwie kilka lat starszy. Natychmiast odpędziła tę myśl: w chwili, kiedy zaangażuje się w tę sprawę emocjonalnie, będzie musiała zrezygnować, zarówno z prowadzenia śledztwa, jak i - być może - z pracy w F-Bi-aI.

Caufield odkaszlnął znacząco.

- I tu właśnie zaczyna się robić ciekawie. Ofiara leżąca przy lodówce była kobietą, miała dwadzieścia pięć lat, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu.

Nazywała się Jill Conway.

Tyler to nazwisko nic nie mówiło. Spojrzała pytająco na Caufielda.

- Jill Conway była córką Toma Conwaya, senatora Toma Conwaya.

Tyler odchyliła się do tyłu. Cholera! Conway był od trzech kadencji republikańskim senatorem z Kalifornii, skrajnym konserwatystą związanym z prawicowymi organizacjami religijnymi. Służył w Korei i Wietnamie, za co otrzymał wiele odznaczeń - teraz wspierał wojsko finansowo i reprezentował jego interesy w Senacie. Przyjaźnił się z Haleem Fairbanksem, dyrektorem F-Bi-aI.

- No to domyślałam się, że wszyscy wiemy, co to oznacza - powiedziała Tyler Tęgi technik skinął głową i wyraźnie posmutniał.

- Wielki Brat patrzy.

W wydziałowym żargonie tak nazywano sprawy, w które osobiście angażowały się osoby z najwyższych szczebli władzy. Tyler wiedziała, że szefostwo F-Bi-aI będzie się jej bacznie przyglądać; istniało też spore prawdopodobieństwo, że śledztwem zainteresuje się sam senator Conway. Trudno sobie wyobrazić gorszy początek. Tyler poczuła, że ucisk w żołądku staje się coraz silniejszy.

-No dobrze - powiedziała, odwracając się od ekranu. Technicy powrócili do swoich zajęć, przygotowując się do pobrania próbek i pełnego odkażenia laboratorium. Planowano tam rozpylić przeszło dwadzieścia różnych środków antywirusowych i antybakteryjnych, a potem poddać pomieszczenie napromieniowaniu. - Bierzmy się do roboty. Domyślam się, że sztab główny mieści się gdzieś w tym budynku?

W F-Bi-aI przyjęto, że w razie zagrożenia biologicznego należy pracować jak najbliżej jego epicentrum. Caufield wyciągnął ręce nad głowę; potężne mięśnie schowane pod zielonym kombinezonem napięły się lekko.

- Czwarte piętro, przystosowana do naszych potrzeb sala konferencyjna. Kawę i pączki dostarczono godzinę temu. Domyślam się, że indyk pojawi się na stole dopiero po południu.

Tyler parsknęła śmiechem, wyładowując napięcie.

- W Boże Narodzenie pączki były czerwone i zielone. Trudno oczekiwać, że w Święto Dziękczynienia będzie lepiej. Czy jest już mój partner?

Zgodnie z przepisami wewnętrznymi, sprawy takie jak ta prowadzone były przez dwie osoby. Tyler zajmowała się aspektem naukowym; miała za zadanie dojść do tego, co właściwie wydarzyło się w laboratorium i ocenić czy zagrożenie już minęło, czy nie. Jej partner natomiast odpowiedzialny był za aspekt kryminalny. Innymi słowy, to do niego należało aresztowanie podejrzanego lub podejrzanych i oddanie ich w ręce wymiaru sprawiedliwości.

- Czeka na panią na górze - powiedział Caufield. - Jego ludzie urządzają się tam od piątej rano.

- To dobrze - stwierdziła Tyler. - Wygląda na to, że ruszymy z kopyta.

-Na pani miejscu nie byłbym taki zadowolony.

Tyler zaniepokoiła się, słysząc dziwnie zmieniony głos Caufielda.

- Dlaczego?

Caufield westchnął.

- Ściągnęli Vincenta Moona. Przywieźli go tu prywatnym odrzutowcem szefa, razem z tymi jego oprychami w czarnych garniturach.

Tyler zamknęła oczy. Nigdy nie spotkała Wincenta Moona osobiście, ale w Quantico krążyły na jego temat legendy. Zresztą, znany był nawet poza murami głównej siedziby F-Bi-aI. Choćby nawet tylko dziesięć procent opowieści o nim było prawdziwe, to Tyler nie mogła sobie wyobrazić gorszego partnera przy takim śledztwie, jak to. Chryste, tylko tego mi jeszcze brakowało, pomyślała.

- Powiedz panu Moonowi, że już do niego idę. - Westchnęła i ruszyła w stronę windy. - I poprosz, żeby do tego czasu nikogo nie zabijał.

Caufield nie żartował, mówiąc o czarnych garniturach. Przystępując próg Tyler od razu poczuła się obco. Wokół długiego stalowego stołu siedziało czternastu agentów - sami mężczyźni,

wszyscy o nienagannym wyglądzie i ubraniu na czarno. Najstarszy z nich wyglądał na jakieś trzydzieści lat, a większość sprawiała wrażenie żółtodziobów, którzy dopiero ukończyli szkolenie. Dzieciaki, niektóre nawet młodsze od ofiar. Ich świeże, pełne życia twarze jaskrawo kontrastowały z białymi czaszkami leżącymi na podłodze laboratorium.

Tyler otrząsnęła się z zamyślenia i weszła do sali konferencyjnej.

Pomieszczenie było skąpane w jasnym świetle; dwie lampy fluorescencyjne wzmocniały naturalny pomarańczowy blask sączący się przez ogromne okno, zajmujące prawie całą ścianę. Oprócz stalowego stołu i ławy z przekąskami, w pokoju nie było żadnych mebli. Tyler skierowała się w stronę najbliższej siedzących agentów, kiedy z drugiego końca sali dobiegł gruby, chrapliwy głos.

- Witam w sztabie głównym, doktor Ross. Niech pani zajmie miejsce, to wreszcie będziemy mogli zacząć.

Tyler, zaskoczona tym chłodnym powitaniem, spojrzała w tamtą stronę.

U szczytu stołu stał dobrze zbudowany mężczyzna. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, zaczynał tysiąc i nosił druciane okulary.

Wyglądał na pięćdziesiąt lat; jego szerokie ramiona były lekko pochylone.

Mimo to prezentował się imponująco, niczym bokser wagi ciężkiej.

- Dzień dobry, panie Moon - powiedziała Tyler i ruszyła w stronę jedyne wolnego krzesła po przeciwnej stronie długiego stołu. Mimo niezbyt uprzejmego powitania, postanowiła przyjąć pojednawczą postawę. - Cieszę się, że wreszcie pana poznałam, choć żałuję, że w takich okolicznościach.

Mam nadzieję, że nasza współpraca będzie się układać pomyślnie i razem wyjaśnimy sprawę.

Kiedy szła w stronę swojego miejsca, Vincent Moon bacznie jej się przyglądał. Pozostali agenci milczeli, niczym dobrze wyszkolone psy czekające na komendę pana. Wreszcie Moon skinął głową.

- Jestem pewien, że sobie poradzimy, doktor Ross. Czytałem pani akta i nie mam żadnych wątpliwości co do pani kompetencji. Szczególnie mi pani zaimponowała swoim zdecydowanym działaniem w czasie kryzysu w Atlancie przed dwoma miesiącami.

Tyler już miała usiąść, ale usłyszawszy te słowa znieruchomiała. Przed dwoma miesiącami stała na czele zespołu zajmującego się rozpracowaniem sekty gromadzącej sarin w magazynach pod Atlantą. Zaledwie trzy dni po objęciu tej sprawy dowiedziała się, że sekta planuje przeprowadzić atak na jedno z największych centrów handlowych w mieście. Zmusiło to Tyler do zarządzenia nalotu na jej siedzibę. W czasie wymiany ognia zginęło siedmiu członków sekty, a dwóch agentów zostało ciężko rannych. Tyler uznała to za jedną z największych klęsk w swojej

karierze. Po wydarzeniach w Atlancie poszła nawet na trzy-tygodniowy urlop, w czasie którego poważnie zastanawiała się nad rezygnacją ze służby. Wtedy to zdała sobie sprawę z tego, że rozpadają się mury, które do tej pory chroniły ją przed stresem.

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy Moon chciał jej dogryźć.

Uświadomiła sobie jednak, że był to szczery komplement. Z tego, co słyszała o Moonie, siedem ofiar nic dla niego nie znaczyło.

Moon machnął ręką w stronę jednego z ubranych na czarno mężczyzn.

- Przekażmy doktor Ross wszystkie nasze ustalenia. Craig, rodzaj uaktualnione akta, żebyśmy mogli zacząć.

Podwładny Moona błyskawicznie zerwał się z krzesła ze stosem teczek w rękach. Szybko rozdał każdemu po jednej. Tyler przyglądała mu się z ciekawością; był młody, przystojny, miał niebieskie oczy i krótko przycięte włosy - typ agenta, którego zdjęcia trafiały do broszur reklamowych F-Bi-aI. Chodziły słuchy, że Moon osobiście dobierał sobie ludzi już w dwa miesiące po tym, jak rozpoczęli naukę w Quantico, by tym skuteczniej wpoić im własne zasady. Jego zespół uważany był za najbardziej lojalny i hermetyczny w całym F-Bi-aI.

Kiedy młody agent podszedł do niej, Tyler zauważyła zgrubienie rysujące się pod prawą połą jego marynarki. Swoją berettę 92F automatic zostawiła w sejfie w pokoju hotelowym. Nie zamierzała nosić jej przy sobie, dopóki nie stanie się to absolutnie konieczne. A już z całą pewnością nie przysłoby jej do głowy zabrać pistoletu na spotkanie w sztabie głównym. Młody agent uśmiechnął się do niej i położył na stole grubą teczkę.

Otwierając ją, Tyler czuła coraz większy niepokój. Spojrzała na stos fotografii. Od razu rozpoznała, co przedstawia pierwsza z nich - było to zbliżenie dwóch szkieletów z laboratorium, wykonane aparatem cyfrowym wysokiej rozdzielczości zainstalowanym w sondzie.

-Doktor Ross - Vincent Moon odchylił się na krześle. - Niech nas pani oświeci. Co, do licha, widzimy na tym zdjęciu?

Tyler odetchnęła głęboko. Patrząc na szkielety, była pewna tylko jednego: cokolwiek to zrobiło, musiało być głodne. Żarłoczne. Powoli potrząsnęła głową.

- Jest za wcześnie, by cokolwiek stwierdzić. Mój zespół dopiero zaczął pobierać próbki.

Moon pokiwał głową ze, zniecierpliwieniem.

- W tym laboratorium prowadzone były badania związane z niebezpiecznymi rodzajami bakterii, zgadza się? Chodziło o lek na raka stworzony na bazie zmutowanego szczepu paciorkowca A?

Moon mówił powoli i wyraźnie, jakby chciał podkreślić, że się na tym nie zna. Tyler splotła dłonie.

- Zgadza się. Profesor Dutton niedawno opublikował przełomową pracę dotyczącą wykorzystania zmutowanego szczepu bakterii, mogącego wykrywać i niszczyć nowotwory. W czasie

wstępnego przesłuchania zeznał, że w lodówce widocznej na tym zdjęciu przechowywane były dwie płytki Petriego zawierające próbki tychże bakterii.

Nie chciała powiedzieć nic więcej. Dopiero po otrzymaniu wyników analizy próbek pobranych w laboratorium mogła próbować zgadywać, z czym ma do czynienia. Do tego czasu nie zamierzała wyciągać pochopnych wniosków.

Ale Vincent Moon najwyraźniej nie zamierzał ustąpić.

- Czy paciorkowiec A nie jest nazywany pożeraczem ciał?

Natychmiast rozległ się szum głosów. Tyler szybko podniosła rękę. Nie zamierzała dopuścić do wybuchu paniki.

- Media, jak zwykle, wszystko przerysowują. Owszem, prawdą jest, że paciorkowiec A jest odpowiedzialny za martwicze zapalenie powięzi - bardzo niebezpieczne zakażenie skóry, mięśni i tłuszczu. Objawy tej choroby to fioletowe odbarwienie skóry, pęcherze i, w końcowym stadium, stan zgorzelinowy w miejscu zakażenia. Ale z całą pewnością nie mógłby spowodować czegoś takiego, co spotkało ofiary w laboratorium.

- Nie może być mowy tylko o zbiegu okoliczności - powiedział Moon, a wszyscy jego podwładni jak jeden mąż pokiwali głowami. - Jak rozprzestrzenia się to martwicze zapalenie powięzi?

- Zwykle przez bezpośredni kontakt ze skórą zainfekowanego nosiciela lub drogą kropelkową. Można się też zarazić przez kontakt z próbką kultury bakterii; zdarza się, że choroba atakuje studentów medycyny mających styczność z bakteriami rosnącymi na agarze.

Tyler zawiesiła głos, patrząc na Moona, Jeden z agentów pracownicy stuknął w klawisze małego laptopa, a inny zapisywał coś w elektronicznym notatniku. Tyler znów odczuła niepokój.

- Jak już mówiłam, jest o wiele za wcześnie, by wyciągać jakiegokolwiek wnioski...

- Ale gdyby musiała pani zgadywać? - spytał Moon. - Na podstawie tego, co pani dotąd widziała?

Tyler spojrzała na zdjęcie dwóch szkieletów i zacisnęła usta. Nie znosiła zgadywania. Zdawała sobie jednak sprawę, że musi Moonowi coś podsunąć.

- Istnieje możliwość, że ma to jakiś związek z paciorkowcem A. Jednak działanie bakterii zostało gwałtownie przyspieszone. Raczej wykluczone, by nastąpiło to w wyniku naturalnej mutacji; żaden mikrob nie mógłby tak drastycznie zmienić swoich właściwości. Musimy powtórnie przesłuchać profesora Duttona...

- Oczywiście - Moon machnął ręką. - Kiedy tylko skończymy to spotkanie. Proszę pamiętać, że wyjaśnienie tego, co wydarzyło się w laboratorium, to tylko połowa zadania.

Moon przeniósł wzrok na teczkę. Tyler uniosła brwi, zirytowana. Nie lubiła, gdy jej przerywano. Miała ochotę coś powiedzieć, ale uznała, że szkoda nerwów. Wiedziała, że w czasie tego śledztwa jeszcze wiele razy pokłóci się z Moonem, więc mogła przynajmniej na początku okazywać mu uprzejmość.

Uspokoila się i spojrzała na drugą fotografię. Od razu

rozpoznała widoczną na niej tablicę i dwa zdania wypisane niebieską kredą.

Czytając je po raz kolejny czuła, że krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach.

Zagadkowa notatka. Sama z siebie wydawała się pozbawiona sensu. Jednak patrząc na nią przez pryzmat tego, co stało się w laboratorium, słowa nabierały złowrogięgo znaczenia.

- Analiza grafologiczna potwierdza zeznania Duttona - powiedział Moon. - Poza tym zebraliśmy już cztery różne odciski palców.

Zawiesił dramatycznie głos i wziął do ręki następne zdjęcie. Rozejrzał się po swoich podwładnych, omijając wzrokiem Tyler - Panowie, a oto nasz cel.

Tyler spojrzała na następne zdjęcie i zobaczyła przystojnego młodego mężczyznę o niebieskich oczach i potarganych, brudnych blond włosach.

- Jack Collier - ciągnął Moon monotonnym głosem. - Wiek dwadzieścia trzy lata. Niedawno wydany z wydziału biologii Harvardu za popełnienie plagiatu. Nie dajcie się zwieść jego niewinnemu wyglądowi; ten dzieciak to żaden aniołek. Dwukrotnie był aresztowany za kradzieże aut, trzy razy za włamania. Spędził tydzień w poprawczaku w Patterson, stan New Jersey.

Tyler słuchała go jednym uchem, wpatrzona w zdjęcie. W Jacku Collierze było coś intrygującego; nie chodziło tylko o jego wygląd.

TYler dostrzegała w jego twarzy coś, czego nie potrafiła na razie wyjaśnić; nie wiedziała, czy to gniew, pasja, czy też ból. W każdym razie nie był to zwykły młody chłopak.

- Według Duttona - mówił Moon, trzymając zdjęcie Jacka przed sobą jak menu w wytwornej restauracji - Collier zazdrościł mu sukcesów.

Po tym, jak stracił stypendium doktoranckie, zaczął rzucać rozmaite groźby; między innymi obiecał Duttonowi, że w jakiś sposób zniszczy wyniki jego badań.

Nie ulega wątpliwości, że znalazł sposób, by wcielić swoją groźbę w czyn.

Przy okazji pozbawił życia dwoje młodych naukowców. Ukradł jedną z płytek Petriego zawierających zmutowane paciorkowce Duttona. I wciąż pozostaje na wolności.

Tyler podniosła głowę znad zdjęcia. Moon pochylił się nad stołem i zaczął coś mówić półgłosem do agenta, który siedział po jego lewej ręce. Sztab wypełnił się szumem rozmów dotyczących poszukiwania zbiega.

Tyler wychwytywała tylko ich urywki - coś o rozlokowaniu agentów na wszystkich głównych stacjach kolejowych, dworcach autobusowych i lotniskach.

Nagle uderzyła ją pewna myśl. To się, o wiele za szybko dzieje. Jack Collier był tylko dzieciakiem, kilka lat młodszym od jej brata.

Jego życie wywróciło się do góry nogami - owszem, pewnie był

z tego powodu wściekły. Ale czy posunąłby się do morderstwa?

Tyler poruszyła się niespokojnie i znowu zaczęła się wpatrywać w zdjęcie Colliera. Wcześniej przeczytała zapis przesłuchania Duttona przez policję bostońską. Wiedziała więc o wydaleniu Colliera i jego nienawiści do profesora.

Wiedziała też o kryminalnej przeszłości chłopaka, jeśli tak to można nazwać.

Kiedy Collier wszedł w konflikt z prawem, miał trzynaście lat.

Wychowywał się w zastępczej rodzinie, w robotniczej dzielnicy. Owszem, popełnił błędy, ale za nie odpokutował. A potem zapracował sobie na darmowe studia w Harvardzie. Nawet gdyby rzeczywiście przepisał skądś swoją pracę kwalifikacyjną, czy można było go uznać za zdolnego do popełnienia morderstwa?

Tyler nie znała odpowiedzi na to pytanie. Nie podobał jej się jednak kierunek, w jakim zmierzało śledztwo. Moon wyciągał wnioski wyłącznie na podstawie zeznań Duttona - wnioski mające poważne konsekwencje.

To nie było w porządku. Należało nieco przyhamować, posuwać się naprzód krok po kroku.

- Chwileczkę - powiedziała wreszcie, nieco głośniejszym niż to było konieczne. Poczekaj, aż zapadnie cisza. - Nawet jeśli Jack Collier faktycznie w jakiś sposób zmodyfikował bakterie wytworzone przez Michaela Duttona, nie oznacza to, że jest mordercą. Równie dobrze mógł to być wypadek...

- Doktor Ross - przerwał jej Moon, odsuwając się od stołu. - Widziała pani wiadomość na tablicy. Collier wyleciał z Harvardu. Groził Duttonowi.

Szukał zemsty. - Tyler, coraz bardziej zirytowana, podniosła zdjęcie dwóch szkieletów.

Jeśli Moon dalej będzie jej przerywał, to tego pożałuje.

- Naprawdę wierzy pan, że to zostało zrobione rozmyślnie? Niby jak?

Sam pan mówił, że kiedy to się stało, oprócz ofiar w pomieszczeniu nie było nikogo.

Moon wzruszył swoimi potężnymi ramionami.

- Pewnie zastawił pułapkę. Uruchamianą mechanizmem zegarowym albo wyposażoną w czujniki ruchu. A teraz podejrzany ma przy sobie drugą płytkę z bakteriami, więc należy uznać go za uzbrojonego i niezwykle niebezpiecznego.

Tyler zmrużyła oczy. Przekonanie, że Collier zamierza wykorzystać płytkę z bakteriami jako broń biologiczną, było co najmniej przedwczesne.

- Jakie ma pan dowody na potwierdzenie tej teorii?

Vincent Moon na wpeł podniósł się z krzesła. Po jego minie można się było od razu zorientować, że nie przywykł, by ktokolwiek kwestionował jego wnioski. Agenci siedzący najbliżej niego jakby się skurczyli; na ich twarze padł ogromny cień szefa.

- Mamy odciski palców Colliera. Mamy motyw. I mamy przyznanie się samego Colliera, wypisane kredą na tablicy na

miejscu zbrodni: "To się nazywa karma, profesorze. Mam nadzieję, że pożre pana żywcem". Więcej dowodów nam nie potrzeba.

Tyler poczuła, że płoną jej policzki. Nie zamierzała dać się zastraszyć.

Wstała z krzesła i wyprostowała się.

- Możemy udowodnić, że Jack Collier był w laboratorium jakiś czas przed śmiercią tych dwojga. Poza tym, nie mamy nic konkretnego.

Zgadzam się, że trzeba go zatrzymać i przesłuchać, ale coś mi się zdaje, że pan już w tej chwili jest gotów skazać go za zabójstwo.

Moon był wyraźnie zaskoczony jej wybuchem.

- Wydaje mi się, że kto jak kto, ale pani nie powinna ulegać współczuciu. Ten terrorysta nie dość, że zamordował dwoje swoich znajomych, to jeszcze rozmyślnie zniszczył lekarstwo na raka. Wielu ludzi będzie cierpieć przez Jacka Colliera.

Oczy Moona na chwilę spoczęły na piersi Tyler. Natychmiast poczerwieniała, ale oparła się pokusie, by zapiąć kaszmirowy żakiet. Nie była pewna, czy w jej aktach zostało opisane to, co przeżyła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, ale Moona nie powinno to nic a nic obchodzić.

A jednak, jego uwaga trafiła w czuły punkt. Choć próbowała zachować obiektywizm, ta sprawa miała dla niej znaczenie osobiste. Nie zamierzała jednak pozwolić, by emocje wzięły górę nad rozsądkiem.

- Moje życie osobiste nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała zniżonym głosem. - Jestem agentem federalnym, podobnie jak pan.

Staram się zwracać uwagę przede wszystkim na fakty.

Cisza, jaka zapadła w pomieszczeniu, oznaczała, że jej słowa padły w próżnię. Vincent Moon został przydzielony do tego śledztwa właśnie dlatego, że nie słuchał innych; to nie wchodziło w zakres jego zadań.

W żargonie F-Bi-a1 Moona nazywano strzelcem. Przejmował najpaskudniejsze śledztwa - brutalni zbiedzy, seryjni mordercy, uzbrojeni po zęby terroryści. Na trzydzieści sześć prowadzonych przez niego spraw tylko trzy zakończyły się aresztowaniami. Pozostałe miały krwawe finały. Nie było powodu, by ten przypadek miał się zakończyć inaczej.

Moon położył swoje wielkie dłonie na stole.

- Dopóki ktoś nie udowodni, że jest inaczej, będę uważał Jacka Colliera za mordercę. Zabił dwoje ludzi przy użyciu niezidentyfikowanej broni biologicznej. Jest na wolności i jest niebezpieczny. Takie są fakty, doktor Ross.

Tyler rozejrzała się po sali, po twarzach ubranych w identyczne czarne garnitury młodych pachołków Moona. Czują w sobie nakręconą do oporu, sprężynę, która lada chwila mogła pęknąć. Doskonale wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. Wielki Brat grał znaczonymi kartami. Tyler Ross i jej ludzie z wydziału naukowego byli jedynie kwiatkiem do kożucha. Tu rządził Vincent

Moon. A to mogło oznaczać tylko jedno.

Winny czy niewinny, Jack Collier nie miał prawa ująć z życiem.

6

Za kilka minut zatrzymamy się na Penn Station. Przy opuszczaniu pociągu prosimy sprawdzić, czy mają państwo wszystkie bagaże. Ej, ty, ze zrabowanymi dwustu pięćdziesięcioma tysiącami dolarów, mówię do ciebie...

Jack zerwał się, otwierając oczy. Przez ułamek sekundy nie miał pojęcia, gdzie jest. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy usłyszał cichy stukot kół pociągu. Upewnił się, że ma na kolanach swój plecak. Następnie rozejrzał się po zatłoczonym wagonie, czekając, aż jego wzrok przyzwyczai się do matowego pomarańczowego światła.

Pociąg wjechał już w labirynt tuneli przed stacją i przejścia między siedzeniami wypełniały się ludźmi, ściągającymi bagaże z półek. Jak na tak wczesną porę i Święto Dziękczynienia panował spory tłok. Jack miał szczęście, że udało mu się znaleźć dwa wolne miejsca. Najdziwniejsze było to, że w czasie podróży zasnął, choć strach nie opuszczał go nawet na chwilę.

Czekając na odjazd pociągu z South Station, przeżył najdłuższe minuty w swoim życiu. Nawet teraz obawiał się, że lada chwila pociąg się zatrzyma, a do wagonu przez okna wpadną uzbrojeni antyterrorysty.

Bzdura. Nawet gdyby profesor Dutton wrócił z Foxwoods i odkrył, że brakuje części jego pieniędzy, i tak nie mógłby nic zrobić. Policji przecież nie wezwie. Jackowi na razie nic nie groziło, a im dalej od Harvardu, tym bardziej prawdopodobne, że nigdy już nie zobaczy Duttona.

Wyciągnął swoje długie nogi. Chrzanić Duttona. Chrzanić wszystkich.

Po raz pierwszy od lat czuł się doskonale. Był wypoczęty, wolny i bogaty. Co ważniejsze, wyruszył na poszukiwanie Angie. Po długim, męczącym roku, wreszcie po nią jechał. I był pewien, że postępuje słusznie.

Mimo to minie dużo czasu, zanim będzie mógł znów wziąć ją w ramiona.

Angie z pewnością nie została w Nowym Jorku - nienawidziła tego miasta.

Ale musiała tu być - w Nowym Jorku mieszkał jej brat, Justin, i Angie bez wątplenia poszła do niego po pieniądze, zanim wyruszyła w dalszą drogę.

Nie żeby Justin Moore płacił się w luksusach; z tego, co Jack wiedział, nigdy w życiu nie miał stałej pracy. Ale był starszym bratem Angie i przyjacielem Jacka z dzieciństwa. Siostra na pewno zwróciła się do niego o pomoc i dlatego Jack musiał złożyć mu wizytę. Im wcześniej znajdzie Justina, tym bliżej będzie odszukania Angie. A musiał ją znaleźć jak najszybciej -

zanim paciorkowiec, którego miał w plecaku, zacznie obumierać.

Dzięki pieniądzom skradzionym z sejfu Duttona mógł przylecieć do Nowego Jorku pierwszą klasą i zaoszczędzić cztery cenne godziny. Nie był jednak głupi; i choć czasu zostało niewiele, nie zamierzał niepotrzebnie ryzykować.

Aby wejść na pokład samolotu, trzeba było okazać dowód tożsamości; a gdyby zapłacił za bilet gotówką, na pewno by go zapamiętano. Podróż pociągiem to zupełnie co innego. Można było przejść przez Penn Station w samych majtkach i następnego dnia nikt by tego nie pamiętał.

Z zamyślenia wyrwał go pisk hamulców. Jack sięgnął po torbę, schowaną pod siedzeniem, przewiesił plecak przez ramię i wstał. Czując dygotanie podłogi pod nogami, wyobraził sobie wielkie stalowe koła krzesające iskry z szyn. Wyrzał przez okno po prawej stronie i przez chwilę obserwował niebieskie światło odbijające się od kamiennej ściany tunelu.

Jego twarz odrętwiała w blasku. Było to znajome uczucie, nie mające nic wspólnego z tym, przed czym uciekał ani z tym, dokąd zmierzał. Było to coś zwykłego, błahego.

Ojciec Jacka, emigrant z Kanady, przez przeszło dwadzieścia lat spawał szyny dla Amtraka. Większość życia spędził w odlewni stali pod Patterson i zawsze był dumny ze swojej pracy. Z pewnością spawałby szyny przez następnych dwadzieścia lat, gdyby jedna z nich nie urwała się z dźwigu i nie rozwalila mu czaszki.

Jack zamrugnął oczami, czując, że w miejsce odrętwienia pojawia się coś o wiele gorszego - wspomnienia. Było to w piątek, dwa dni przed jego siódmymi urodzinami. Jack został niespodziewanie zwolniony z lekcji; po powrocie do domu dziwił się, że kręci się tam tylu ludzi. Odszukał matkę, która siedziała przy stole w kuchni. Płakała, co do tej pory nigdy jej się nie zdarzało. Obok, z ręką na jej ramieniu, stał człowiek z Amtraka. Miał w kieszeni czek na dziesięć tysięcy dolarów.

Na tyle mogła liczyć twoja rodzina, gdyby szyna spadła ci na głowę.

Wtedy wydawało się, że to sporo pieniędzy. Pół roku później matka Jacka przeszła pierwszy zawał i wylądowała w szpitalu. Dziesięć tysięcy dolarów rozeszło się w kilka tygodni, a matka długo już nie pożyła. On sam trafił w końcu do rodziny zastępczej, bez choćby jednej walizki.

Jack znów zamrugnął oczami, w które uderzył błysk jasnoniebieskich iskier. Ten blask przypominał o bólu, schowanym gdzieś w głębi jego duszy.

A niech to diabli, tak wiele już w życiu stracił.

Pociąg zatrzymał się powoli. Pasażerowie ruszyli w stronę wyjścia i Jack dał się ponieść rzece ludzi. Czuł na twarzy wilgotne powietrze, przesycone zapachem nowojorskiego metra. Wyszedł na zatłoczony peron. Między nim a ruchomymi schodami prowadzącymi do głównej hali dworca było ze dwustu ludzi. Świadomość, że jest tylko jedną z setek twarzy w tłumie, dodała mu otuchy; opuściło go odrętwienie. Nagle zaświtała mu pewna

myśl.

Skręcił gwałtownie w prawo, przebijając się przez tłum.

Wysoki mężczyzna w szarym garniturze popatrzył na niego z wściekłością. Jack z trudem zwalczył pokusę, by spojrzeć na niego w podobny sposób. Nie powinien nawiązywać kontaktu wzrokowego z nikim, kto mógłby go zapamiętać. Pochylił głowę. Zbliżył się do krawędzi peronu. Przed nim rozciągała się głęboka wyrwa, w której leżały tory. Po drugiej stronie były schody dla pracowników obsługi. Nie zauważył tam nikogo, nie nadjeżdżał też żaden pociąg. Doskonale.

Jack zaczął czekać, aż tłum przewali się obok niego; po czym ostrożnie zsunął się na tory. Bał się, że lada chwila ktoś zacznie na niego krzyczeć, jednak nikt go nie zauważył. Szybko przebiegł przez tory, nie zwracając uwagi na uciekające przed nim szczury. Poczł zapach palonego oleju, a na twarzy -chłodny podmuch. Tunel wyglądał jak wielka, bezzębna paszcza; Jack był ciekaw, dokąd prowadzi. Pewnie do Filadelfii, a dalej do Waszyngtonu i tysiąca innych miejsc, w których łatwo można zniknąć, zwłaszcza gdy ma się wystarczającą ilość gotówki.

Kiedy już odnajdzie Angie, to właśnie zrobią. Wezmą pieniądze i gdzieś się zaszyją. Może na jakiejś tropikalnej wyspie, a może w Meksyku. W każdym razie daleko stąd.

Jack ruszył w górę kręconymi schodami. Na końcu czekały stalowe drzwi.

Od ścian echem odbijały się odgłosy Penn Station: tysiące dźwięków miesających się ze sobą, skrzypienie wózków bagażowych i szuranie butów -symfonia transportu publicznego. A przez cały ten gwar przebijały się komunikaty, odczytywane głosem przypominającym zgrzyt zardzewiałych łożysk:

"Pociąg do Bridgewater odjedzie z toru trzynastego. Pociąg do Waszyngtonu odjedzie z toru jedenastego. Pociąg z Bostonu wjedzie na tor dziesiąty".

Jack otworzył drzwi, ogarniając spojrzeniem morze ludzi. Nad ruchomymi schodami, oddalonymi od niego o niecałe dwadzieścia metrów wisiała strzałka, wskazująca drogę na tor dziesiąty. Rozpoznał kilku swoich współpasażerów, wyjeżdżających z podziemi. Już miał się odwrócić, kiedy zobaczył coś, co sprawiło, że serce zamarło mu w piersi.

Około dwóch metrów od szczytu ruchomych schodów stało dwóch umundurowanych policjantów. Nie byli to strażnicy z ochrony kolei, ale prawdziwe nowojorskie gliny. Towarzyszył im barczysty mężczyzna w ciemnym garniturze, trzymający komórkę przy uchu i obserwujący ludzi wjeżdżających schodami do hali dworca. Wyglądał młodo, miał krótko przystrzyżone włosy i skupione niebieskie oczy. Kiedy zamknął komórkę i wcisnął ją do kieszeni, jego marynarka zafalowała lekko, odsłaniając kawałek skórzanej kabury.

Chryste. Facet był agentem federalnym, łowcą zbiegów albo detektywem. Obserwował pasażerów przyjeżdżających z Bostonu, a dwaj mundurowi służyli mu za obstawę.

Krew odpłynęła z twarzy Jacka. Czyżby ten facet w czarnym

garniturze szukał jego? Wydawało się to niemożliwe. Przypomniawsobie, że jest w Nowym Jorku - stolicy zbiegów z całego świata. Miał szczęście, że zdecydował się wejść na górę schodami dla obsługi. Nie podobały mu się nerwowe miny gliniarzy i to, że ich dłonie bez przerwy spoczywały na rękojeściach trzydziestek ósemek. Ten, kogo szukali, musiał być niebezpieczny. A nie było groźniejszego stworzenia od wystraszonego nowojorskiego gliniarza.

Jack szybko ruszył w przeciwną stronę, przekradając się wzdłuż tylnej ściany poczekalni. Przed nim rozciągała się gigantyczna hala, wypełniona setkami ludzi. Podróżni wpatrywali się w zwisającą z sufitu wielką tablicę, na której miejsca odjazdu pociągów podawane były na minutę przed ogłoszeniem ich przez głośniki. Te bezcenne sześćdziesiąt sekund oznaczało różnicę między wygodnym siedzeniem przy oknie, a sześcioma godzinami na zatłoczonym korytarzu. Przechodząc pod tablicą Jack czuł się tak, jakby był niewidzialny; nawet gdyby miał w plecaku karabin maszynowy, nikt by nie zwrócił na niego uwagi.

Na środku hali Jack obejrzał się. Stąd nie widać już było ani umundurowanych policjantów, ani mężczyzny w czarnym garniturze. Oddzielał go od nich ocean miejskich migrantów. Większość podróżnych stanowili młodzi ludzie w bluzach, marynarkach i džinsach. Jack wyglądał jak jeden z nich: wytarte levisy, brązowe traperki, szara bluza, grube rękawice i obszerna brązowa kurtka. Starał się zapomnieć o tym, co ma w plecaku, iść takim samym, nonszalanckim krokiem, jak wszyscy wokół. Przestępcy wpadali w ręce policji, gdy zaczynali się zachowywać jak przestępcy; kluczem do sukcesu było przekonanie samego siebie o swojej niewinności.

Jack uśmiechnął się. Że też akurat teraz zebrало mu się na wspomnianie porad Justina Moorea; tym bardziej że kiedy ostatnim razem go posłuchał, obydwaj wylądowali w poprawczaku. W tamtych czasach Jack podziwiał Justina i chciał być taki jak on.

Jack westchnął i wszedł do dworcowego szaletu. Pomieszczenie miało kształt podkowy, a ściany wyłożone kafelkami. W powietrzu unosił się smród antybakteryjnych płynów do czyszczenia. Po prawej stronie znajdował się rząd umywalk, a po lewej kilkanaście pisuarów. Większość z nich była zajęta; pod trzema ostatnimi spał bezdomny mężczyzna w podartym ubraniu, zawinięty w kilka brudnych koców. Ktoś rzucił mu banknot pięciodolarowy, który teraz pokryty był mokrymi śladami butów i przykleił się do podłogi pokrytej cienką warstwą moczu.

Jack ruszył w stronę kabin, zajmujących tylną ścianę szaletu. Pierwsze trzy były zamknięte, czwarta otwarta, ale nie nadająca się do użytku - ze środka bił odór starego kału, rzygowin i Bóg wie, czego jeszcze. Jack ominął następne dwie i wszedł do ostatniej kabiny.

Zdjął rękawice i schował je do kieszeni, a plecak powiesił na haku na drzwiach. Przykucnął i delikatnie ustawił torbę na czubkach butów.

Spuścił spodnie do kostek i niepewnie usiadł na desce klozetowej, starając się nie myśleć o hordach zarazków znajdujących schronienie w ciepłych szczelinach między komórkami naskórka. Gdyby zaczął się tym przejmować, wkrótce popadłby w obsesję, od której już prosta droga do obłędu. Świat był pełen brudu; czemu ludzki tyłek miałby być czysty?

Kilka kabin dalej ktoś nucił jakąś piosenkę, którą Jack znał, ale nie mógł sobie przypomnieć tytułu. Męski baryton zagłuszył zgrzyt suwaka torby. Jack wsunął do niej rękę i wyciągnął mały czarny notes. Rozłożył go na kolanach i zaczął przerzucać mapy regionów Stanów Zjednoczonych, przyczepione spinaczem do pierwszej strony. Powyrywał je z atlasów w bibliotece przekonany, że kiedyś mu się przydadzą. Przed swoją chorobą Angie często mówiła, że chciałaby pojechać na Zachód; zamierzali wybrać się tam razem.

Jack uznał, że właśnie gdzieś tam powinien jej szukać.

Z ciężkim sercem wyjął spod mapy schowaną tam pocztówkę. Spojrzał na nią. Dwa rozkoszne kociaki w koszyku. Sentymentalny kicz, na widok którego jego serce przeszył ból. Odwrócił pocztówkę.

Została wysłana z Chicago przeszło pół roku temu. Nie było na niej ani adresu nadawcy, ani podpisu, ani nazwiska. Ale kiedy tylko Jack zobaczył kociaki na okładce, od razu odgadł, kto napisał te słowa:

Wciąż czuję się dobrze i tęsknię za Tobą. Czasami myślę, że nie powinnam była wyjeżdżać. Czasami mam nadzieję, że nie pogodziłeś się z moim odejściem, że nikogo sobie nie znalazłeś. Czasami udaję, że nie umieram, że lada dzień wrócę do domu.

Jack kocham Cię.

Jack drżącymi palcami schował kartkę z powrotem do notesu. Jak ona mogła myśleć, że on pogodzi się z jej odejściem? że kogoś sobie znajdzie?

Jak można łapać ćmy, kiedy miało się w dłoni prawdziwego motyla?

Przypomniał sobie, jak wyglądała, gdy widział ją po raz ostatni, tamtego ranka przed jej zniknięciem. Leżała w jego łóżku. Patrzył na jej długie ciemne włosy, pełne kształtne wargi, na jej bezbronne ciało skulone pod kocem. Jack miał ją chronić. Obiecał jej to, kiedy przyjechała w ślad za nim do Harvardu.

Chcąc odpędzić natrętne wspomnienia, Jack zaczął wertować mapy.

Znalazł plan Nowego Jorku. Odszukał skrzyżowanie dwóch ulic w Chelsea, nie więcej niż dziesięć minut drogi od dworca. Adres Justina znalazł w pamiętniku Angie, który chował w zamkniętej skrzynce razem z resztą jej rzeczy. Skrzynka stała w kącie piwnicy bloku, w którym Jack mieszkał w Cambridge; może któregoś dnia trzeba będzie kogoś po nią wysłać. A może nie?

Dzięki pieniądzom Duttona, Jack mógł kupić Angie wszystko, czego zapragnie. Nowe ciuchy, buty, nowy pamiętnik, a może nawet parę kociaków w zakochanym koszyku... Łzy pociekły mu po

policzkach, dłonie zacisnęły się w pięści. Przeklął w duchu najpierw siebie, a potem Angie. Po cholere wyjeżdżała? On mógłby spróbować być silny. Mógłby spróbować.

Otarł łzy z oczu. Nie, Angie miała rację. Gdyby została, on umarłby razem z nią. I nigdy nie odkryłby cudownego leku.

Jack odetchnął głęboko, po czym zamknął notes i schował go do torby.

Potem wstał, spuścił wodę i szybko zapiął spodnie. Pora działać.

Przewiesił plecak przez ramię i pospiesznie wyszedł z kabiny, o mało co nie wpadając na mężczyznę w jasnoniebieskim garniturze. Facet był gruby i łysy, o obwisłych, błyszczących od potu policzkach. Przeszył Jacka gniewnym spojrzeniem i zaczął gwałtownie gestykulować rękami.

- Uważaj, jak chodzisz, dupku.

- Przepraszam - wymamrotał Jack, przeciskając się obok niego. Choć czuł na karku jego nienawistny wzrok, nie odwrócił się. - Miłego srania, palancie.

Cóż, w końcu to Nowy Jork.

7

Steve Myers zatrzasnął drzwi kabiny. Co za bezczelność! Cholerny piękniś, włóczący się po mieście, jakby do niego należało! Za kogo ten gnój się uważa? I czemu te kabiny są tak cholernie ciasne?

Myers z trudem zdjął marynarkę, uderzając łokciami w stalowe ściany.

Z kabiny po prawej stronie dobiegły głośnie przekleństwa. W tym mieście roiło się od palantów. Było tu coraz gorzej, mimo starań burmistrza Giulianiego, tego makaroniarza. Nauczyć tych bydlaków manier? Akurat Myers wreszcie uwolnił się z marynarki i powiesił ją na haku na drzwiach.

Potem wziął się za rozpinanie paska. Sprzączka była jakaś dziwna, europejska chyba, i minęła minuta, zanim doszedł do tego, jak to cholerstwo działa.

Dostał pasek od żony na czterdzieste szóste urodziny, z pewnym opóźnieniem, co prawda; pewnie wygrzebała go w którymś z tych drogich sklepów na Madison. W każdym razie, prezent był do dupy. Ta zdzira znowu próbowała go zmusić, żeby się ubierał tak jak ci jej znajomi z galerii, te długowłose pedały. Całe szczęście, że w Święto Dziękczynienia wszystkie biura na Morgan były zamknięte, podobnie jak giełda; w przeciwnym razie inni maklerzy mieliby z niego nie lada ubaw.

Wreszcie udało mu się rozpiąć sprzączkę i zsunął spodnie poniżej kolan. Skrzywił się na widok swoich ud; były wielkie, białe i pomarszczone jak twaróg. Dzień w dzień obiecywał sobie, że wybierze się do siłowni, ale nigdy nie starczało mu czasu. A im dłużej czekał, tym mniejszą miał na to ochotę. Przybierał na wadze, odkąd skończył studia; jego ciało rozdymało się jak

ogromny balon. Myers zmeł w ustach przekleństwo. Wyobraził sobie, jak wyglądałby niesiony na sznurku przez idiotów poprzebieranych za Świętych Mikołajów - z pedalskim paskiem od żony na wierzchu, by wszyscy mogli nim nacieszyć oczy. Znając jego szczęście, na pewno wpadłby na balon w kształcie zamyślonego piękniejsia, nadlatujący z przeciwnej strony.

Miłego srania, palancie".

Myers z trudem usiadł na zimnej desce i oparł łokcie na kolanach.

Sedes zaskrzypiał pod jego ciężarem. Przepełniona koszula przywarła mu do pleców. Wiedział, że kiedy przyjedzie do rodziców do New Jersey, będzie wyglądał okropnie. Mimo to, mogło być gorzej. Mógł w tej chwili jechać z żoną na Florydę. Mógł spędzić cały weekend z teściami w tym wariatkowie, które oni nazywali osiedlem dla emerytów.

Dzięki Bogu, że giełda miała być otwarta w piątek. W przeciwnym razie tkwiłby w kiblu w samolocie, zamiast rozkoszować się luksusami szaletu na Penn Station. Usadowił się wygodniej - gdy nagle poczuł, że coś ostrego wbija się w jego lewy pośladek.

-Cholera - zaklął. Zupełnie jakby usiadł na kawałku szkła. Poruszył się jeszcze raz - i poczuł następne ukłucie, w innym miejscu niż poprzednio.

Zanim zdążył zareagować, ból objął całe pośladki.

Zerwał się z sedesu i zaczął klepać dłońmi bolące miejsca. Uświadomił sobie, że z jego skórą coś jest nie w porządku. Pośladki i górna część ud wydawały się chropowate i klejące, tak, jakby poodpadały z nich całe płaty skóry. Podniósł ręce do oczu i zobaczył na środku prawej dłoni jasnoczerwoną krostę.

Ból, do tej pory ostry, teraz stał się nie do wytrzymania. Myers czuł się, jakby przeszywały go dziesiątki sztyletów. Otworzył usta i z jego piersi wyrwał się przeciągły krzyk, który odbił się echem od ścian. Potem na chwilę zapadła pełna napięcia, złowieszcza cisza.

- Pomocy! - krzyczał Myers. - O Boże, pomocy!

Zatoczył się do przodu, potykając o spuszczone spodnie. Uderzył ramieniem w drzwi; zawiasy nie wytrzymały. Wytoczył się z kabiny i runął na podłogę. Jego skórę pokrywały szybko rosnące czerwone plamy. Wstrząsany konwulsjami, zaczął się czołgać w stronę wyjścia. Słyszał wokół siebie tupot nóg, ale nie wiedział, czy otaczający go ludzie chcą mu pomóc, czy też uciekają w popłochu. Zebrawszy siły, podniósł głowę i zdał sobie sprawę, że coś się stało z jego oczami. Widział wszystko jak przez roztopione szkło. Wokół niego zgromadziła się grupka ludzi. Ich twarze były blade, a oczy szeroko otwarte.

- Jezu Chryste - wyszeptał ktoś.

- Proszę - wykrztusił Myers. Zobaczył mężczyznę w ciemnym płaszczu, który ukląkł przy nim i położył mu dłoń na ramieniu, po czym szybko ją cofnął. Myers jednak już tego nie zauważył. Jego głowa opadła na podłogę i rozległ się zgrzyt nagiej kości trącej o porcelanę. A potem wszystkie inne dźwięki zostały zagłuszone

przez krzyk, W ostatniej sekundzie życia Myers uświadomił sobie, że to nie on krzyczy...

8

Prosiak był zaintrygowany. I głodny, oczywiście, ale głodny to on był zawsze. Podniósł się na zadzie i poruszając ryjkiem zaczął węszyć w czystym sterylnym powietrzu. Czuł jakiś intrygujący, stęchły zapach; nie był jeszcze pewien, czy to jedzenie. Chrząknął i otarł się o drzwi klatki. Ku jego zaskoczeniu, otworzyły się.

Podkscytowany, przebiegł przez laboratorium, stukając racicami w błyszczącą posadzkę. Wiedział, że nikogo tu nie ma, bo dziwne pomarańczowe stwory przed chwilą wyszły drzwiami po drugiej stronie.

Takich istot jak te jeszcze nigdy w życiu nie widział; na szczęście, zostawiły go w spokoju, jakby nawet nie wiedziały, że tu jest. Stwory nie miały twarzy, a to oznaczało, że nie miały też oczu, uszu ani nawet ryjów. Prosiak nie był pewien, jak w związku z tym udawało im się przeżyć, ale prawdę mówiąc, nic go to nie obchodziło. To nie jego broszka. On był tylko prosiakiem.

Zatrzymał się na środku laboratorium i zastrzygł różowymi uszami. Na taborecie, półtora metra przed nim, stała przezroczysta plastikowa miska, pozostawiona tam przez pomarańczowe stwory. Znowu zaczął węszyć; stęchły zapach był tu o wiele silniejszy. Zaburczało mu w brzuchu; ta woń z całą pewnością wydobywała się z miski, a to był bardzo dobry znak. Zawsze doskonale sobie radził ze znajdowaniem jedzenia we wszelkich naczyniach, bez względu na ich kształty czy rozmiary.

Jego serce zabiło mocniej. Potruchtał w stronę taboretu i ku swojemu zadowoleniu zauważył, że miska stoi na idealnej dla niego wysokości.

Jeszcze raz wciągnął powietrze do ryjka i nachylił się nad plastikowym naczyniem.

Na jego dnie było coś żółtego z białymi plamkami. Prosiak nigdy jeszcze czegoś takiego nie jadł. Ale co tam. Wszystkiego trzeba w życiu spróbować.

Przechylił łeb na bok i wystawił ozór.

- O Boże - wyszeptał profesor Dutton, blednąc. - O mój Boże.

Tyler patrzyła na jego odbicie w szybie z pleksiglasu. Nie miała wątpliwości, że nie udawał. Wyglądał tak, jakby chciał się wtopić w ścianę; stał oparty o nią, z bezradnie zwieszonymi rękami. Jego włosy były mokre od potu, a pod zielonymi oczami pojawiły się grube ciemne kręgi.

Tyler przeniosła wzrok na scenę rozgrywającą się po drugiej stronie szyby. Czuła ucisk w żołądku, patrząc na prosiaka rzucającego się w konwulsjach po podłodze. Zeszła z niego już większość skóry; na łbie nie było po niej ani śladu. Oczy rozpląły się, a na ich miejscu pojawiła się taka sama czarna maź, jak u pozostałych ofiar. Kości czaszki były już wyraźnie

widoczne, lśniąco białe w świetle lamp fluorescencyjnych.

Po dwudziestu sekundach drgawki ustały i to, co zostało z prosiaka, legło nieruchomo na podłodze.

- Trzy minuty - powiedział Vincent Moon, który stał po prawej stronie Tyler. Opierał się o metalowy taboret, a na stole przed nim walały się papiery. Jego twarz nie zmieniła się ani na chwilę w czasie trwania eksperymentu; wyglądała jak wyciosana w kamieniu. - Sto osiem sekund od pierwszego kontaktu do całkowitego zniszczenia. Interesująca kuracja.

Tyler posłała mu gniewne spojrzenie, ale on już zatopił się w swoich papierach. Zwróciła się więc twarzą do Duttona, przecierającego oczy obiema rękami. Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Tyler współczuła mu. Wyobrażała sobie, co przeżywa. Na jego oczach wszystko to, czemu się poświęcił, rozsypało się jak domek z kart.

- Profesorze Dutton - powiedziała łagodnym tonem - może chciałby pan chwilę odpocząć? Moglibyśmy zamówić kawę.

Dutton spojrzał na nią wilgotnymi oczami. Zauważyła, że jego dolna warga drży; wyglądał tak, jakby nie spał od co najmniej dwudziestu czterech godzin. Mimo to podobał jej się. Wysoki, szerokie ramiona i lekko rozwiane, kasztanowate włosy. Choć był co najmniej piętnaście lat starszy od Tyler, musiała przyznać, że ją pociągał. Zawsze miała słabość do geniuszy. A badania prowadzone przez Duttona czyniły go w jej oczach kimś.

Przypomniała sobie radość, jaką czuła po przeczytaniu jego artykułu w "Science". Nie mogła wtedy uwierzyć, że to naprawdę możliwe - że to naprawdę koniec lęku, jaki nosiła w sobie przez ostatnich sześć lat.

Cóż,
przeżyła kolejny w swoim życiu zawód; ale nie Dutton był temu winien.

W pewnym sensie był ofiarą, tak jak ona.

-Nie, dziękuję - odpowiedział wreszcie. - Wlałem w siebie tyle kawy, że starczyłoby tego na zabicie wszystkich szczurów w laboratorium.

Chcę tylko wrócić do domu.

Tyler uśmiechnęła się.

- Rozumiem. Uważamy jednak, że na wszelki wypadek powinien pan jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny pozostać pod obserwacją lekarzy.

Póki co, chciałabym zadać panu kilka pytań.

Dutton zerknął na Moona, który wciąż siedział z nosem w papierach.

- Powiedziałem już agentowi Moonowi wszystko, co wiem o Jacku Collierze. O tym, jak groził, że mnie zniszczy...

- Wiem - przerwała mu Tyler, odsuwając się od szyby. Podeszła do stojącego pod drzwiami dużego pojemnika na wodę, jedynego mebla w całym pomieszczeniu nie pomalowanego na żółto. - Mnie bardziej interesują pańskie badania.

Tyler naląła wody do papierowego kubka. Dutton patrzył na

nią nieufnie.

- Doktor Ross, czy jest pani specjalistką od nowotworów?

Tyler zauważyła, że Moon uniósł głowę. Zignorowała go i podała Duttonowi kubek. Wziął naczynie drżącą ręką.

- Właściwie nie - odparła Tyler. - Doktoryzowałam się z mikrobiologii, a w F-Bi-aI przeszłam szkolenie z zagrożeń biologicznych, wirusowych i bakteryjnych. Trochę jednak znam się na onkologii i staram się być na bieżąco z najnowszymi odkryciami w walce z rakiem.

Mówiąc te słowa, czuła mrowienie w piersi. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć więcej, czy nie wspomnieć o własnych doświadczeniach, ale w końcu uznała, że to nie jest konieczne.

Tak jak już wspomniała Moonowi, była to sprawa osobista.

Usiadła na taborecie po drugiej stronie stołu. Słyszała dochodzące zza szyby odgłosy kroków; to Caufield i jego ludzie, ubrani w pomarańczowe kombinezony, zbierali próbki w laboratorium. W pracy Tyler próbki były najważniejsze.

Jak na razie, nie powiedziały jej one zbyt wiele o straszliwej chorobie, która zrodziła się z cudownego leku Michaela Duttona. Wiadomo było, że jest pochodzenia bakteryjnego i ma jakiś związek ze zmodyfikowanym przez Duttona paciorkowcem A. Działała błyskawicznie; bakterie pożerały żywą tkankę w zastraszającym tempie, pochłaniając białko komórkowe i jednocześnie zakłócając wszystkie najważniejsze funkcje komórek. Po wyczerpaniu źródła pokarmu bakterie szybko ginęły, pozostawiając za sobą nieszkodliwy, choć paskudnie wyglądający konglomerat martwych tkanek. Caufield znalazł proste wytłumaczenie umiejscowienia tej mazi; czaszka zawierała ostatni fragment jadalnej tkanki - mózg. Żarłoczne bakterie w poszukiwaniu pokarmu podążały wzdłuż kręgosłupa ku górze, przez rdzeń kręgowy i po wchłonięciu mózgu, umierały z głodu.

Sama maź nie była groźna; nie znaleziono też żadnych żywych bakterii ani na szkieletach, ani w ich pobliżu. Zmutowane bakterie miały niewielkie szanse przetrwania; pożerały ofiarę tak szybko, że nie były w stanie znaleźć nowego źródła pokarmu. Wyglądało na to, że jedynym możliwym sposobem zakażenia jest bezpośredni kontakt, jak w przypadku prosiaka.

Badania wykazały, że w przypadku dwójki studentów infekcja przeszła z jednej ofiary na drugą przez dotyk. Tyler nie miała powodu by wierzyć, że bakterie mogłyby się rozprzestrzeniać przez kontakt pośredni. Jak na razie wszystkie dowody przemawiały przeciwko temu.

Tyler nadal nie wiedziała, czy Jack Collier jest odpowiedzialny za stworzenie zmutowanego paciorkowca A i za śmierć studentów. Z całą pewnością nie znalazła jednak żadnych dowodów, które przekonałyby ją, że miało tu miejsce morderstwo. Według ekipy śledczej, Colliera nie było w laboratorium w czasie, gdy umierali ci dwoje. A było raczej mało prawdopodobne, by wiedział na pewno, że jedno z nich dotknie płytki Petriego - a potem swojego towarzysza.

Mimo to, jeśli Collier sabotował prace Duttona, będzie musiał za to odpowiedzieć przed sądem. A jeśli zrobił to, bo chciał zabić Duttona, można go było oskarżyć o zamiar popełnienia morderstwa. Na razie zadaniem Tyler było dowiedzieć się, czy wkurzony dwudziestotrzyletni chłopak naprawdę mógł wyprodukować tak mordercze bakterie. Aby tego dokonać, musiała zacząć u źródła.

- Czytałam pański artykuł w "Science" - powiedziała, patrząc Duttonowi w oczy - i mniej więcej rozumiem podstawowe zasady, na których opiera się pański lek. Miałam jednak nadzieję, że opowie mi pan coś więcej o stworzonych przez siebie bakteriach, to znaczy polujących na nowotwory paciorkowcach A.

Dutton potarł szczękę, rozglądając się po pomieszczeniu. Wydawał się nerwowy, niespokojny i Tyler znowu zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio spał.

W czasie przesłuchania przez bostońską policję powiedział, że znalazł ciała po powrocie z kasyna w rezerwacie indiańskim. W świetle akt przygotowanych przez Moona nie zdziwiłaby się, gdyby Dutton miał potężnego kaca.

Podwładni Moona przez ostatnie dwie godziny sprawdzali przeszłość pana profesora. Rozmawiali z jego współpracownikami i jak należało się spodziewać, kilku z nich, kierowanych zawiścią, skorzystało z okazji, by wyliczyć wady Duttona.

Tyler wiedziała, że nie jest święty. Dużo pił, uprawiał hazard i miał słabość do młodych naiwnych studentek. Władze uniwersytetu przymykały oko na wybryki profesora, jako że, prawdę mówiąc, w żadnym stopniu nie umniejszały one jego zasług. O dziwo, nie czyniły go też mniej atrakcyjnym.

Tyler przez większą część dorosłego życia pociągali mężczyźni będący na bakier z prawem. Domyślała się, że ma to po rodzicach. Jej ojciec, były pilot sił powietrznych, do emerytury pracował w Narodowym Biurze Bezpieczeństwa Transportu. Prowadził tam śledztwa w sprawie wypadków lotniczych. Był niespokojnym duchem, który nigdy nie przystosował się do życia rodzinnego. Kiedy jej rodzice się rozwiedli, Tyler, będąca wtedy na ostatnim roku studiów, nie zastanawiała się, dlaczego do tego doszło, tylko jak jej matce w ogóle udało się okiełznać Billyego Rossa.

Tyler odziedziczyła po niej pragnienie ujarzmania niespokojnych dusz.

Pewnie dlatego mimo swoich trzydziestu sześciu lat wciąż była panną.

W Michaelu Duttonie widziała wyzwanie - co jednocześnie ją niepokoiło i podniecało. W jej wieku, w jej zawodzie i bez tego miała dosyć wyzwań.

Usiłując zebrać myśli, wsłuchiwała się w głos Duttona.

- Jeśli wie pani coś o raku, doktor Ross, pewnie słyszała pani, że każda postać tej choroby powstaje w wyniku tego samego podstawowego zaburzenia: niepohamowanego rozrostu komórek. Komórki namnażają się, zapewniając sobie nieśmiertelność kosztem otaczającej je tkanki. Kiedy te szalejące dzikie komórki osiągają

określoną wielkość, stają się nowotworami. To właśnie nowotwory określają raka. To nowotwory zabijają.

Tyler zadrżała, bezwiednie zaciskając dłonie. Na sam dźwięk tego słowa wypełniało ją obrzydzenie. Nowotwory. Zamykając oczy, widziała je: czarne pulsujące skupiska komórek, w swoim niepoohamowanym rozroście wdzierające się w niewinną tkankę. Te ohydne bestie rosły dotąd, aż nie zostawało nic poza nowotworem. Przenosiły się przez układ krwionośny i limfatyczny do innych organów, tworzyły własne układy krążenia, by zdobywać pokarm i rosnąć, rosnąć, rosnąć. "Trzeba będzie amputować" - powiedział chirurg. "Nie ma innego wyboru". "No to obetnij pan to cholerstwo" - odparła wtedy. Obetnij to cholerstwo.

Tyler zacisnęła zęby. Ze złością odpędziła wspomnienia. Nie było to ani odpowiednie miejsce, ani odpowiednia pora na rozpamiętywanie przeszłości.

- A więc na tym koncentrowały się pańskie badania: na samych nowotworach.

Dutton skinął głową. Jego spojrzenie powędrowało na chwilę ku laboratorium po drugiej stronie szyby, gdzie jeden z naukowców pochylał się nad szkieletem prosiaka.

- Mój projekt właściwie oparł się na dwóch przełomowych odkryciach, z których każde godne było Nagrody Nobla.

Powiedział to bez cienia arogancji. Było to stwierdzenie faktu, i tyle.

A jednak, wydawało się, że to wyznanie kosztowało go wiele sił, jakby mówienie o swoim sukcesie było dla niego równie męczące jak sam sukces.

Przezeszał palcami włosy.

- Wszystko zaczyna się od układu odpornościowego, doktor Ross. A dokładnie, od limfocytów T.

Tyler pokiwała głową ze zniecierpliwieniem. Chciała mu okazać, że nie powinien odnosić się do niej z wyższością, zwłaszcza że całą rozmowę słyszał Moon. A z drugiej strony - co uświadomiła sobie po chwili - pragnęła zrobić na nim wrażenie.

- Limfocyty T stanowią najważniejszą linię obrony organizmu. Ich zadaniem jest wykrycie i zniszczenie wszelkich intruzów - powiedziała.

Dutton wypił wodę jednym haustem, zgniół papierowy kubek i rzucił go na podłogę.

- Zgadza się. Limfocyty T zawierają mikroskopijne receptory, które uaktywniają się przy wejściu w kontakt z określonymi ligandami, to znaczy sekwencjami białek, występującymi na powierzchni obcych komórek.

Innymi słowy, po odnalezieniu ligandu, zidentyfikowanego jako obcy, limfocyt T wysyła sygnał przez układ odpornościowy, że trzeba coś z tym fantem zrobić, i to natychmiast.

Tyler zauważyła, że Moon podniósł głowę znad papierów. Słuchał Duttona z kamiennym wyrazem twarzy.

- Mniej więcej dwa i pół roku temu - ciągnął Dutton -

odkryłem dotąd nieznaną ligand występujący w ponad dziewięćdziesięciu procentach nowotworów. Mikroskopijną sekwencję białek obecną na zewnętrznej powierzchni komórek rakowych.

Tyler próbowała sobie wyobrazić radość Duttona po dokonaniu tego epokowego odkrycia. Ono samo wystarczyłoby, aby posunąć badania nad rakiem dziesiątki lat naprzód. Ale Dutton tym się nie zadowolił; dla niego był to dopiero początek drogi.

- A potem wrócił pan do badań nad układem odpornościowym - powiedziała niemal szeptem - a właściwie, nad limfocytami T.

Dutton skinął głową, wyraźnie zadowolony.

- Od tego momentu wszystko wydawało się banalne. Sklonowałem receptor z mojego układu odpornościowego, który rozpoznał ten ligand jako obcy materiał. Następnie pobrałem DNA limfocytów T z mojej własnej krwi, wprowadziłem je do plazmidu, po czym umieściłem ten plazmid w bakterii paciorkowca typu A. Kiedy DNA limfocyta T zostało odwzorowane na odpowiednio wysokim poziomie, paciorkowiec A stał się receptorem dla bakterii.

To, co profesorowi wydawało się "banalne", było tak naprawdę przykładem niezwykle pomysłowego wykorzystania inżynierii genetycznej;

Dutton połączył jeden z podstawowych elementów ludzkiego układu odpornościowego z jednokomórkową bakterią, tworząc genetyczną hybrydę - paciorkowiec A zmieszany z limfocytami T.

- Oczywiście, bakterie namnażały się jak szalony - ciągnął Dutton, wymachując ręką tak, jakby odpędzał natrętą muchę - jak to bakterie.

Wkrótce całkowicie losowa mutacja sprawiła, że receptor włączył się do bakteryjnego układu patogenności.

Zawiesił głos dla wzmocnienia efektu. Było oczywiste, że skrupulatnie przygotował tę mowę - w końcu jeszcze niedawno stał u progu światowej sławy.

- Rozumiecie państwo oczywiście - zakończył - że patogenność paciorkowca sprowadza się do pożerania komórek. Mój nowy, zmodyfikowany paciorkowiec A zawierał receptor specyficznego typu komórek, komórek rakowych. Innymi słowy, mój paciorkowiec A miał pożerać nowotwory; taka była zasada działania tego cudownego leku.

Skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na zegar wiszący nad drzwiami.

Moon odchrząknął znacząco.

- I tu pojawia się Jack Collier, zgadza się, profesorze?

Dutton przeniósł wzrok z Moona na Tyler. Jego policzki płonęły gniewem.

- Ten drań nie mógł pogodzić się z moim sukcesem. Wyleciał z uczelni i wpadł we wściekłość. Zrobił coś z moim lekiem. Nie wiem, co, nie wiem, jak. Ale stworzył... to. - Dutton wyciągnął rękę w stronę laboratorium.

Caufield właśnie ostrożnie zawijał szkielet prosiaka w przezroczysty plastik. Tyler była w stanie zrozumieć gniew Duttona, ale zamierzała pozostać obiektywna.

- Zanim zaczniemy kogokolwiek obwiniać - powiedziała, kierując te słowa raczej do Moona niż do Duttona - musimy dowiedzieć się, jak przebiega proces sekwencjonowania zmutowanych bakterii. Przy pańskiej pomocy, profesorze, będziemy mogli dowiedzieć się, w jaki sposób pański lek zmienił się w zabójcę, i to działającego w tak błyskawicznym tempie.

Nie ulega wątpliwości, że paciorkowiec A przestał przyjmować sygnały z ludzkiego układu odpornościowego...

Nagle coś jej przyszło do głowy.

- Profesorze, dlaczego zdecydował się pan użyć DNA limfocytów T ze swojego układu odpornościowego?

Dutton, wciąż zaabsorbowany tym, co działo się za szybą, prawie jej nie słuchał. Moon wstał od stołu i zaczął zbierać papiery, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Za dużo gadania, zdawały się mówić jego zgarbione ramiona.

Pora stąd wyjść i wreszcie kogoś zastrzelić.

- Już to tłumaczyłem - odparł Dutton. - Limfocyty T wyszukują obce komórki...

- Nie, nie o to mi chodzi. Dlaczego posłużył się pan własną krwią? Czy w badaniach laboratoryjnych nie wykorzystuje się zazwyczaj przebadanej krwi z banku próbek?

Dutton przez chwilę milczał. Sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego. Zaraz jednak odzyskał panowanie nad sobą.

- Pewnie spieszyłem się, żeby szybciej zakończyć eksperyment. Wydawało mi się, że wygodniej będzie posłużyć się własną krwią.

Tyler spojrzała na niego, ale Dutton odwrócił głowę. W jego odpowiedzi było coś dziwnego; nie chodziło o samo wyjaśnienie, które wydawało się dość rozsądne, ale o to, że można było odnieść wrażenie, iż wymyślił je na poczekaniu. Miała przeczucie, że Dutton coś przed nią ukrywa.

To ją zaniepokoiło. Zawsze ufała swojemu instynktowi. A jednak była pełna podziwu dla Duttona, podobał jej się jako mężczyzna i bardzo chciała mu uwierzyć. Może po prostu próbował zachować ostrożność. Tyler wiedziała, jak zawistni potrafią być naukowcy. Zdawała sobie sprawę, że dyskrecja ma ogromne znaczenie, zwłaszcza w badaniach nad rakiem.

Może Dutton był ostrożny. A może miał coś do ukrycia Tyler już chciała o coś zapytać; kiedy rozległ się przenikliwy terkot.

Odwróciła się do Moona, który sięgał po telefon komórkowy, przypięty do paska. Nie minęła minuta, a rzucił się do drzwi. Jego oczy błyszczały.

- Pożeracz Karmy znów zaatakował.

Tyler dopiero po chwili zrozumiała, o co chodzi. Był to stary zwyczaj obowiązujący w F-Bi-aI - przez nadawanie podejrzanym idiotycznych przydomków depersonalizować ich, czynić z nich oprychów z podrzędnego komiksu.

Tyler tego nie znosiła. Depersonalizuje się kogoś, kogo chce się zabić.

- Panie Moon, co się stało?

- Siedem trupów w szalecie na Penn Station w Nowym Jorku.

Wszystkie w przeciągu kilku minut zmieniły się w szkielety.

Tyler poczuła, że coś ściska ją za gardło. Podniosła się. Ale Moon jeszcze nie skończył.

- Dobra wiadomość - ciągnął z zadowoleniem. - Trzej świadkowie rozpoznali naszego chłoptasia na fotografii. Przyjechał pociągiem z Bostonu, dziesięć minut przed wybuchem epidemii. Czy to dla pani wystarczający dowód, doktor Ross, czy też nadal uważa pani, że ścigamy aniołka?

Tyler zamknęła oczy. Co za koszmar. Siedem następnych szkieletów i Jack Collier widziany w pobliżu. Bez względu na to, czy był winien, czy nie, z pewnością miał w tym jakiś udział. Co gorsza, zagrożenie wyszło poza mury harwardzkiego laboratorium.

Plaga zaatakowała Nowy Jork.

9

Agenci nieruchomości pracujący w tej części Chelsea stosowali pewną sztuczkę. Oprawdzali potencjalnych klientów po mieszkaniach tylko wtedy, gdy wiatr wiał od wschodu. Wówczas proponowane przez nich komorne wydawało się niewiarygodnie niskie; za duże przestronne apartamenty z drewnianymi podłogami i wykuszowymi oknami, raptem dwie stacje metra od centrum Manhattanu, kosztowały tyle, co mieszkanie w Brooklynie. Okolica była cichą, spokojną enklawą nowoczesnych budynków i starszych kamienic, oazą wolną od żebraków okupujących ulice całego miasta.

Dopiero kiedy zmieniał się kierunek wiatru, niskie ceny - i brak włóczęgów - zaczynały być zrozumiałe. Czując na twarzy silny podmuch, Jack zasłonił nos schowaną w rękawicy dłonią. Mimo to, oczy zaszyły łzami, a żołądek podszedł do gardła. Tego zapachu nie dało się pomylić z żadnym innym; przywoływał na myśl odrażający obraz niezliczonych rzędów zakrwawionych, opuchniętych ścierv zwisających z masywnych stalowych haków Jack popatrzył w stronę rysujących się na horyzoncie, przypominających pudła budynków o wielkich kominach i stalowych bramach. Nie był to przyjemny widok. Na planie miasta miejsce to opisywały dwa obrzydliwe słowa: zakłady mięsne. W rzeczywistości cywilizacja osiągnęła tutaj swoje najbardziej barbarzyńskie wcielenie, cuchnący koszmar systematycznej brutalności. Prawie pięć śmierdzących kilometrów chłodni i krajalni, ciągnących się od Chelsea po samą rzekę Hudson.

Pokaszując w rękawicę, Jack podszedł do drzwi budynku, w którym mieszkał Justin. Na myśl, że Angie wchodziła tymi samymi schodami, krztusząc się tym samym cuchnącym powietrzem, ogarnął go gniew. Z drugiej strony, pewnie nie została tu na długo. Nie dość, że nie znosiła Nowego Jorku, to jeszcze była zagorzałą wegetarianką.

Jack wcisnął guzik, przy którym widniało nazwisko Justina.

Kiedy przez kilka sekund nie było reakcji, wcisnął go jeszcze raz, zaskoczony.

Było Święto Dziękczynienia, ale to nie powinno mieć znaczenia. Kiedy ojciec Angie wyrzucił z domu ją i jej brata - miało to coś wspólnego ze skradzionym samochodem, wizytą miejscowej policji i bójką między ojcem a synem - Justin pojechał do Nowego Jorku; to miasto było ostatnią deską ratunku dla wielu młodych ludzi z New Jersey. Ostatnio, zdaje się, pracował na pół etatu w jednej z kawiarni. Światła wielkiego miasta. Lepsze to niż harówka w magazynie stali w New Jersey.

Jack zaczekał jeszcze minutę, po czym włożył rękę do małej kieszeni z boku torby. Wyjął stalową pęsetkę i miniaturowy śrubokręt. Obejrzał się przez ramię, choć nie było to konieczne. O tej porze większość ludzi siedziała w domu ze swoimi rodzinami. Gdyby nawet ktoś akurat tędy przechodził, byłby zbyt zaabsorbowany smrodem; by zwrócić uwagę na jakiegoś gówniarza z pęsetką.

Pół minuty później Jack był już wewnątrz budynku. Nie pobił swojego rekordu - z takim zamkiem miał do czynienia po raz pierwszy - ale i tak spisał się nieźle. Uśmiechnął się na wspomnienie wrażenia, jakie zrobił na swoich współlokatorach na pierwszym roku studiów, kiedy włamał się do biblioteki o czwartej w nocy, używając wyniesionej ze stołówki na wpół przeżutej wykałaczki. Wtedy wydawało mu się to absurdalne: dwaj piątkowi studenci z Harvardu, w wieku dwunastu lat grający Mozarta, zafascynowani nieletnim przestępcą z New Jersey tylko dlatego, że potrafi poradzić sobie z dwudziestoletnim zamkiem. Może o to chodziło autorom broszur reklamowych, kiedy rozwodzili się nad korzyściami z "różnorodności" środowiska studenckiego. Na piątym roku obydwaj współlokatorzy Jacka potrafili rozpracować zamek w niecałe dwie minuty. A on potrafił rozpoznać Symfonię Jowiszową po trzech taktach.

Jack ruszył wąskimi schodami w górę. Słyszał głosy dochodzące zza cienkich ścian, mieszające się z brzękiem sztućców i szumem lejącej się wody.

Im wyżej wchodził, tym powietrze robiło się cieplejsze, a smród z zewnątrz wreszcie zaczął się rozrzedzać.

Kiedy Jack wdrapał się na górę, był mokry od potu. Rozpiął kurtkę, zdjął rękawice i schował je do kieszeni. Na drzwiach nie było numerów, ale od razu rozpoznał paciorkową wycieraczkę leżącą na końcu korytarza; matka Angie podobne wycieraczki rozdawała wszystkim znajomym. Na tej, która znalazła się pod drzwiami Justina, widniał obrazek jasno czerwonego szarżującego byka; pod spodem był napis w języku hiszpańskim: "Szukaj swego przeznaczenia". Ciekawe, czy ojciec Angie powiedział to swoim dzieciom, kiedy wyrzucał je z domu.

Jack wytarł buty i zapukał do drzwi. Ku jego zdumieniu, otworzyły się.

Ze środka płynęły dźwięki latynoskiej muzyki i pikanie taniego budzika.

- Justin, jesteś tu?

Przestąpił próg mieszkania. Krótki korytarz prowadził do małego salonu. Panował tu niewyobrażalny wprost bałagan: poprzewracane meble, poplamiony dywan, potłuczone butelki po piwie, lampa tkwiąca w rozbitym blacie szklanego stolika. W pierwszej chwili Jack pomyślał, że miało tu miejsce włamanie; zaraz jednak zauważył pudełka z niedojedzonymi chińskimi potrawami, walające się pod zasłoniętymi oknami. Nawet najbardziej bezczelny złodziej nie zamawiałby chińszczyzny w czasie roboty.

Jack upuścił torbę pod drzwiami i szybkim krokiem przeszedł przez salon. Minął małą łazienkę; w środku panował podobny chaos: porozrzucane butelki, potłuczone szkło i kałuża na podłodze - zaschnięte wymiociny, mocz albo jedno i drugie. Stanął pod drzwiami sypialni. Ze środka dobywał się odór niemal równie paskudny, jak ten, którym przesiąknięte było powietrze w całej okolicy; smród piwa, moczu, brudu i dymu. Po podłodze walały się brudne ciuchy, a na ścianach widniały napisy wykonane mazakami.

Większość z nich była w wyrafinowanym slangu; Jack rozpoznał kilka fragmentów wierszy z pamiętników Justina, tych, które chował przed rodzicami. Zdaniem Jacka, były równie dobre jak te, które czytał w różnych książkach; kiedy jednak próbował namówić Justina, żeby je gdzieś opublikował, starszy przyjaciel roześmiał się i potrząsnął głową: "W Patterson jest miejsce tylko dla jednego geniusza, bracie, i już je zająłeś".

Jack pamiętał, jak się czuł, kiedy usłyszał te słowa z ust swojego idola.

Uświadomił sobie wtedy, że świat nie kończy się na Patterson i że on sam wkrótce wyjedzie, zostawiając Justina i wszystkich innych znajomych. Wcale nie miał na to ochoty. Czuł się jak dezertier. Kiedy przyjechała do niego Angie i zaczęła waletować w akademiku, miał wrażenie, że ją wykradł, jedyną różę z plugawego ogrodu ich dzieciństwa.

Początkowo Justin też tak uważał. Przyjechał w ślad za nią, owładnięty zawiścią i gniewem. Pobiłby się z Jackiem, gdyby nie rozdzieliła ich Angie.

To była jej decyzja, krzyczała na brata. Jej życie. I choć Justin w końcu pogodził się z tym, czego nie mógł zmienić, Jack zawsze miał wyrzuty sumienia, że odebrał mu Angie.

To uczucie przybrało na sile, gdy zobaczył swojego dawnego bohatera, leżącego na materacu w kącie sypialni - miał odchyłoną głowę, otwarte usta, ręce i nogi wykrzywione jak kończyny zdychającego insekta. Jego skóra przybrała niezdrowy blady odcień, a policzki porastał dwudniowy zarost. Boże, wyglądał fatalnie; przez chwilę Jack zastanawiał się, czy w ogóle żyje - ale zobaczył, że pierś unosi się i opada, palce poruszają się, a pomiędzy pełnych warg wypływa strużka śliny. Żył, tylko wyglądał jak śmierć.

- Stary, coś ty z siebie zrobił - powiedział Jack, spodziewając się, że obudzi Justina. Przyjaciel jednak nawet nie

drgnął. Jack już miał podnieść głos, kiedy zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

Ramię Justina, tuż nad łokciem, przewiązane było żółtą gumową rurką. Pod nią na skórze widniały dziesiątki czerwonych punkcików, ciągnących się aż po tatuaż po wewnętrznej stronie przedramienia. Rysunek przedstawiał jakiegoś ptaka, z zakrzywionymi szponami i ostrym dziobem.

Tuż obok dzioba, na poplamionym materacu, leżała pusta strzykawka.

- Cholera jasna, Justin - jęknął Jack, opierając się o powykrzywianą, sfatygowaną szafę. - Mało miałeś kłopotów?

Justin poruszył się i spojrzał na Jacka zamglonymi oczami. Na jego usta wypląnął tępy uśmiech.

- Hej, Jack. Przyjechałeś odpocząć? Bierz strzykawkę i baw się dobrze.

Znow zamknął oczy, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Jack zaklął w duchu. Nie podejrzewał, że brat Angie jest ćpunem. Kiedy wylądowali razem w poprawczaku, jeden starszy chłopak próbował wcisnąć Jackowi jakieś prochy; Justin dał gnojowi taki wycisk, że we troje spędzili resztę tygodnia w odosobnieniu. Co więc teraz znaczyła ta strzykawka?

- Musisz się trochę umyć, stary. Pomogę ci.

Jack zrobił krok do przodu, ale zatrzymał się. Jakże miał do tego prawo?

Przecież opuścił Justina dawno temu.

I choć Justin był kiedyś jego bohaterem, Jack nie dlatego przyszedł tutaj w odwiedziny. Musiał się skoncentrować; ważna była każda chwila.

- Co, jesteś aniołem, Jack? - wymamrotał Justin. - Przyszedłeś mnie stąd zabrać?

- Szukam Angie. Muszę ją jak najszybciej znaleźć. To w związku z jej chorobą.

Wydawało się, że na dźwięk imienia Angie Justin trochę otrzeźwiał. Od razu było widać, że ona jest dla niego wszystkim, jedyną różą w jego zasranym ogrodzie.

- Była tu - wybełkotał - przez chwilę. Potem wyszła.

Jack skinął głową. Jego przypuszczenia się potwierdziły.

- Mniej więcej pół roku temu dostałem kartkę z Chicago. Nie było na niej adresu nadawcy. Justin, wiesz, gdzie ona jest?

Głowa Justina opadła na materac, i zamknął oczy. Wyglądał, jakby zapadał w sen.

- Niech to szlag! - prawie krzyknął Jack. - Justin! Chicago!

Stary, no, nie zasypiaj. Chodzi o zdrowie Angie.

Oczy Justina otworzyły się.

- Zdrowie Angie. Angie umiera, Jack. Taki jest ten pieprzony świat.

Rak, rak kiedyś dostanie nas wszystkich. Wszystkich nas zeżre.

Jack zaczął dygotać jak w febrze. Choć Justin był naćpany, tym razem mówił z sensem. "Rak kiedyś dostanie nas wszystkich".

Kiedy Angie zachorowała, Jack nie mógł się pogodzić z tym, że los zwrócił się przeciwko niemu. Potem jednak dokładnie przyjrzał się statystykom: trzydzieści osiem procent kobiet zapadało na raka; jedna na sześć wykrywała u siebie podskórne zgrubienie; u jednej na dwadzieścia, jak u Angie, fragment układu rozrodczego zmieniał się w truciznę. Gazety rozpisywały się o AIDS - ale to rak był prawdziwą plagą, która prędzej czy później dotykała wszystkich.

Tyle że Jack wiedział, jak z nią walczyć. cisnął pasek plecaka.

- Justin, czy ona jest w Chicago?

Mężczyzna spojrzał prosto na niego. Przez ułamek sekundy sprawiał wrażenie całkowicie trzeźwego.

- W klinice. W jakiejś klinice, gdzie stosują alternatywne metody leczenia. Fundacja Helio. Widziałem, jak wypełniała formularz.

Jack energicznie pokiwał głową. To miało sens; Angie zainteresowała się alternatywną medycyną. Lekarze skazali ją na śmierć, więc postanowiła poszukać innych dróg leczenia. Większość pacjentów chorych na raka postępowała podobnie, kiedy okazywało się, że tradycyjna nauka nie zna wszystkich odpowiedzi.

- Alternatywny styl życia - mruknął Justin, opadając na materac. - To jest to, Jack. Weź sobie strzykawkę...

Jack odetchnął głęboko. Radość prysnęła. Spojrzał na Justina. Angie mógł uratować, ale jej brata...?

Jack zamknął oczy i wrócił pamięcią do dnia jej pierwszej biopsji, kiedy trzymał dłoń Angie kilka minut po zabiegu. Pozostawała wtedy w cieniu dzielącym ją od snu, a słowa płynące z jej ust brzmiały jak fragmenty wierszy Justina.

- Wszystko rozumiem, Jack. Wreszcie wszystko rozumiem.

- Co? Co rozumiesz?

- Równowaga, Jack. Chodzi o równowagę. Czyny i ich następstwa. Dobre i złe. Kiedy coś się psuje, musisz to naprawić. Karma, Jack.

Chodzi o karmę.

Karma. Niewinna umierająca Angie jak deski ratunku chwyciła się wiary w istnienie czegoś takiego jak sprawiedliwość. Wierzyła, że gdzieś, kiedyś, jej śmierć zostanie zrównoważona przez coś dobrego, coś prawdziwego. Jack również chciał uwierzyć, że reguły rządzące tym światem mogą być tak proste.

Zacisnął zęby i popatrzył uważnie w twarz Justina. Ze względu na Angie musiał mu jakoś pomóc.

Przyszedł mu do głowy tylko jeden pomysł. Otworzył plecak i wyjął pięć z dwudziestu pięciu paczek banknotów. Potem odwrócił się i wyciągnął górną szufladę drewnianej szafki. Wsuwając pieniądze pod stos majątek, poczuł pod palcami coś twardego i zimnego. Pistolet kaliber trzydzieści osiem:

Był ciężki i pachniał prochem. Jack spojrzał na półprzytomnego Justina, leżącego na materacu. Na samą myśl o pistolecie w ręku tego nieszczęśnika przeszedł go dreszcz.

Wcisnął broń do plecaka i zamknął szufladę.

- Kiedy się ockniesz - powiedział, odwracając się - rozpoczniesz nowe życie. Tym razem będzie dla ciebie bardziej sprawiedliwe.

Przez długą chwilę wpatrywał się w Justina. Chciałby zrobić dla niego coś jeszcze, ale pieniądze musiały wystarczyć. Angie czekała.

Pospiesznie wyszedł z sypialni, nie oglądając się za siebie.

Wiedział, że gdyby się obejrzał, załamałby się. Schylając się po torbę, usłyszał jakiś hałas.

W pierwszej chwili pomyślał, że to Justin. Zobaczył jednak kocura o sierści nieokreślonego koloru, wdrapującego się na rozbity stolik.

Zwierzak przyglądał mu się z zaciekawieniem. Jack uklęknął na jednym kolanie i wyciągnął ręce. Kot podszedł bliżej i zatrzymał się, jakby wyczuł w powietrzu coś niepokojącego. Jack wzruszył ramionami. Wstał.

- Opiekuj się moim przyjacielem - powiedział, kierując się do drzwi.

Kiedy wyszedł na korytarz, zauważył, że kot podąża za nim. Pochylił się z uśmiechem. Kocur się cofnął, ale w końcu pozwolił mu podrapać się za uszami.

- Widzisz - powiedział Jack - wcale nie gryzę.

Kot spojrzał na niego i nagle podniósł się na tylne łapy, głośno prychając. Odwrócił się i wpadł do mieszkania, roztrzaskując butelki po piwie.

Jack pokręcił głową. Znerwicowana mała bestia Wyjął rękawice z kieszeni, naciągnął je na dłonie i ruszył schodami w dół.

Dwadzieścia minut później Jack siedział już w kącie dworca autobusowego, z czapką zsuniętą na oczy. Trzymał plecak na kolanach, a torbę pod nogami. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek było tu tak tłoczno; ludzie mówili, że coś się stało na Penn Station, wyciek gazu czy coś takiego, i dworzec kolejowy został zamknięty po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Osobiście Jack nie miał nic przeciwko temu. Tak czy inaczej zamierzał w dalszą podróż udać się autobusem - nie mógł ryzykować lotu samolotem, a autobus dojeżdżał do Chicago trzy godziny wcześniej niż pociąg. Poza tym wydawał się bardziej anonimowym, bezpieczniejszym środkiem transportu.

Zwłaszcza dzisiaj.

Dzięki temu, że dworzec był tak zatłoczony, Jack bez trudu prześliznął się obok umundurowanych policjantów pilnujących głównego wejścia; trzymał się też z dala od trzech krótko ostrzyżonych mężczyzn stojących przy kasach biletowych, którzy na przemian rozmawiali przez komórki i pokrzykiwali na zirytowanych mundurowych.

Ciekawe, kogo szukali. Musiała to być jakaś duża operacja; atmosfera panująca wśród policjantów była napięta. Młodzi faceci z komórkami wydawali polecenia policjantom, co oznaczało, że byli agentami federalnymi - z F-Bi-aI albo Agencji ds. Narkotyków. Tak czy inaczej, Jack musiał ich za wszelką cenę unikać.

W tłoku nie było to trudne. Dopchał się w kąt poczekalni i znalazł wolne miejsce przy trzech staruszkach, ubranych w kolorowe zimowe płaszcze.

Podchodząc do krzesła, udawał, że mocno kuleje; torbę i plecak włókł za sobą po podłodze. Zwalił się ciężko na twarde siedzenie i napotkał spojrzenie staruszki zajmującej sąsiednie miejsce. Kiedy uśmiechnęła się do niego ze współczuciem, odkaszlnął lekko.

- Przepraszam, nie chciałem zawracać głowy... ale czy mogłaby pani coś dla mnie zrobić?

W chwilę później babcia, chętna do pomocy, już szła w stronę kasy biletowej, z dwoma banknotami studolarowymi w pomarszczonej dłoni.

- Widzą panie - powiedział jej przyjaciółkom, z wyrazem wdzięczności na twarzy - wiedziałem, że w Nowym Jorku mieszkają dobrzy ludzie.

Teraz, kiedy Jack miał już bilet w zasuniętej kieszeni kurtki, pozostawało mu tylko czekać na ogłoszenie odjazdu autobusu. Przez ten czas przeglądał mapy, sprawdzając liczącą półtora tysiąca kilometrów trasę, jaką miał przebyć. Elektryzowała go myśl o tak dalekiej podróży; nigdy w życiu nie wyjechał poza obręb Wschodniego Wybrzeża i świadomość, że już następnego ranka znajdzie się setki kilometrów od wszystkiego, co było mu znane, przyprawiała go o mocne bicie serca. A jednak wybrał się z Angie w tę wymarzoną podróż na Zachód, chociaż ona jeszcze o tym nie wiedziała.

Zatopiony w myślach, o mało nie przegapił komunikatu o odjeździe autobusu. Babcia trąciła go w rękę i uśmiechnęła się ciepło.

- Pański autobus. Stanowisko osiemnaste. Życzę dobrej zabawy w Chicago.

Jack podziękował jej i zebrał mapy. Przedzierając się przez tłum w stronę właściwego stanowiska, zwrócił uwagę na wysoką młodą kobietę idącą w tym samym kierunku, kilka metrów przed nim. Zaintrygował go jej wzrost i długie, ciemne włosy opadające na szyję. Przez ułamek sekundy myślał, że to może być ona; z wrażenia zaczął się pocić i zaschło mu w ustach.

Potem uprzytomnił sobie, że to bzdura. Od Angie dzieliły go tysiące kilometrów.

Jak będzie wyglądać ich spotkanie? Czy znajdzie odpowiednie słowa powitania, czy będzie tylko stał i patrzył? Czy zacznie jej wymyślać za to, że go opuściła? A może po prostu weźmie ją w ramiona?

Przełknął ślinę i otrząsnął się z zadumy. Wychodząc z dworca na zatłoczone stanowisko, stracił z oczu podobną do Angie kobietę. I dobrze.

Jej widok sprawiał mu ból. Jack dopchał się do wielkiego Greyhounda i wręczył bilet wyraźnie znudzonemu mężczyźnie w białej koszuli. Wszedł do środka i czując na twarzy podmuch suchego klimatyzowanego powietrza, ruszył wąskim przejściem w

głęb autobusu. Znalazł wolne miejsce w ostatnim rzędzie. Wrzucił torbę na półkę, zwałił się na fotel i położył plecak na kolanach. W przejściu między siedzeniami wciąż panował tłok - ludzi było dwa razy więcej niż miejsc.

- Do jutra stąd nie odjedziemy - wymamrotał pod nosem - Po co ten pośpiech? - dobiegł głos z lewej strony. - Ścigają cię za morderstwo czy jak?

Odwrócił się i serce zamarło mu w piersi. Była wysoka. Była piękna.

I siedziała obok niego.

10

o, no, czegoś takiego nie widzi się na co dzień.

Vincent Moon robił się coraz bardziej dowcipny. Tyler patrzyła na niego ze złością przez maskę z pleksiglasu. Ostrożnie ominęła rząd pisuarów.

Dostrzegła kątem oka swoje odbicie w lustrze i przystanęła, nieco zaskoczona. W kombinezonie wyglądała jak jasno pomarańczowy ufoludek, o grubych kończynach i gładkiej, połyskującej twarzy. Dwa zbiorniki z tlenem zamocowane na plecach ważyły co najmniej pięć kilo, a ciężkie plastikowe buty utrudniały poruszanie się. Choć wszystkie te zabezpieczenia prawdopodobnie nie były konieczne, odzwierciedlały powagę sytuacji. W świetle ostatnich wydarzeń ciągle żarciki Moona działały Tyler na nerwy; ludzie umierali, a on wydawał się tym w ogóle nie przejmować.

Ciekawe, czy ona sama też kiedyś była taka: twarda agentka, zdolna do dowcipkowania w publicznej toalecie pełnej szkieletów. Póki co, nie widziała w tej sytuacji nic śmiesznego. ;

- Całe szczęście, że to się stało w zamkniętym pomieszczeniu - powiedziała. Jej głos zadudnił we wnętrzu kasku. - Gdyby któreś z tych osób udało się stąd wyjść, zamiast siedmiu mielibyśmy sto trupów.

Tyler przeszła nad wyciągniętą, przypominającą szpon kościstą ręką, wspierającą się na pisuarze. Ruszyła w stronę kabin, gdzie wszystko się zaczęło. Moon stał półtora metra przed nią, na wprost punktu zerowego - kabiny, której drzwi zostały wyrwane z zawiasów. Ulubiony pacholek Moona - Craig Densmore, młody agent, żywcem wyjęty z broszury reklamowej - stał po prawej stronie Tyler. Pochylał się nad pierwszą z ofiar, szkieletem w jasnoniebieskim garniturze ze spodniami spuszczoneymi do kostek.

Któryś z członków ekipy śledczej przykleił do marynarki trupa żółtą plastikową kartę z ciemną strzałką wskazującą kierunek rozprzestrzeniania się bakterii. Pozostałe ofiary były podobnie oznakowane, zgodnie z przypuszczalną kolejnością, w jakiej umierały.

Wyglądało na to, że ekipa śledcza odwaliała kawał dobrej roboty. W jej skład wchodziło piętnastu ekspertów z Waszyngtonu i trzech dokooptowanych z policji nowojorskiej; pozostawiony przez nich szlak białych znaków wykonanych kredą i zalakowanych

woreczków był łatwy do rozszyfrowania.

Patrząc na leżące na podłodze szkielety i dowody zebrane przez ekipę, Tyler znów była pod wrażeniem szybkości, z jaką infekcja się rozprzestrzeniała. Wyobrażała sobie, jak to wyglądało: biznesmen wypadający z kabiny, krosty wyskakujące na całym jego ciele... mężczyzna wyciągający do niego rękę - kontakt fizyczny - i początek reakcji łańcuchowej... mikroskopijny zabójca przeskakujący z jednego ciała na następne. Żadnych wspólnych igieł, żadnej wymiany płynów - nic, tylko muśnięcie skóry o skórę.

- Nie ma wątpliwości, że to te same bakterie, które zabiły studentów - skwitował Moon. - Zgadza się pani ze mną, doktor Ross?

Tyler skinęła głową. Niewygodny kask obijał się jej o kark.

- Pierwsza ofiara musiała zostać zarażona w kabinie. Potem przeniosła bakterie na zewnątrz... agencie Densmore, proszę uważać. Stoi pan na jednym z dowodów.

Densmore podniósł nogę. Za późno. Drogi zegarek Cartier, prawdopodobnie należący do zmarłego biznesmena, leżał zmiażdżony na posadzce.

- Przepraszam - wymamrotał Densmore. Jego głos dochodzący przez głośnik przy uchu Tyler wydawał się niesamowicie piskliwy.

- Nie przyzwyczaiłem się jeszcze do kombinezonu.

- Do kombinezonu nie da się przyzwyczaić - odparła Tyler.

Spojrzała na Moona, który właśnie wchodził do ostatniej kabiny. - Panie Moon, widzi pan jakieś ślady środków przenoszenia bakterii?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Na pierwszy rzut oka nie - rozległ się w głośniku głos Moona, zniekształcony przez trzaski. - Świadkowie twierdzą, że sprawca przechodził przez dworzec tuż przed wybuchem epidemii. Być może nie zastosował żadnych środków przenoszenia; mógł osobiście umieścić tu bakterie i obserwować, co się dzieje.

Tyler nachyliła się nad martwym biznesmenem. Jej spojrzenie padło na błyszczącą sprzączkę. Wyglądała na strasznie trudną w obsłudze.

- Myśli pan, że zostawił bakterie na desce klozetowej?

Moon wyszedł z kabiny zamaszystym krokiem, kombinezon podkreślał każdy jego ruch.

- Na to wygląda.

- Ale po co miałyby to robić? - zastanawiała się Tyler na głos.

Moon rozłożył ręce.

- Może testował swoją broń w warunkach nielaboratoryjnych. Może znał którąś z tych siedmiu osób. A może po prostu chciał się zabawić.

Tyler zamyśliła się. Nie sądziła, by Jack Collier znał którąkolwiek z ofiar; byłby to zbyt duży zbieg okoliczności. Póki co, nie dało się zweryfikować trzeciej hipotezy - że Collier był po prostu psychopata, który zabijał dla przyjemności.

Natomiast nie można było wykluczyć, że rzeczywiście postanowił przeprowadzić próbny atak. Sekta z Atlanty wypróbowała

swój system przenoszenia sarinu w nieużywanym magazynie na przedmieściach. Za krótki doświadczalny posłużyło im kilka psów z miejscowego schroniska. Była to jednak zupełnie inna sytuacja.

- Jeśli chciał wypróbować broń - powiedziała - wybrał sobie dziwne miejsce. Zwykle robi się to na odludziu, by zmniejszyć do minimum ryzyko wypadki. Szalet dworcowy raczej nie jest miejscem odludnym.

Tyler przypomniała sobie o tłumie dziennikarzy koczujących przy wejściu na Penn Station; wymyślona historyjka o wycieku gazu nie uspokoiła ich. A kiedy wreszcie udało jej się dopchać do budynku dworca i usłyszała swój głos odbijający się echem od ścian przestronnej hali, uświadomiła sobie, że czeka ją ciężka przeprawa z mediami. W laboratorium w Harvardzie nietrudno było utrzymać wszystko pod kontrolą. Dutton na pewno nie zamierzał rozgłaszać tego, co się stało; w końcu chodziło o jego cudowny lek. A poza nim niewiele osób z zewnątrz widziało ciała dwójki studentów.

Ale to była Penn Station. To był Nowy Jork.

- Może on nie chce utrzymać tego w tajemnicy - podsunął agent Densmore. - Przecież zostawił wiadomość na tablicy. Pewnie zależy mu na rozgłosie. Próbuje wywołać panikę.

Tyler potrząsnęła głową.

- To wszystko wydaje mi się zbyt przypadkowe. Collier musiałby przedsięwziąć spore środki ostrożności, żeby się zabezpieczyć przed groźbą infekcji; te bakterie rozprzestrzeniają się w błyskawicznym tempie.

Nie wyobrażam sobie, jak mógłby zostawić je na desce klozetowej, nie stwarzając jednocześnie zagrożenia dla siebie.

- Cóż - przerwał jej Moon, nie skrywając zniecierpliwienia - bez względu na to, jak tego dokonał, bez wątplenia jest człowiekiem wysoce niebezpiecznym. I musimy znaleźć go jak najszybciej, bo w przeciwnym razie wkrótce zobaczymy następne szkielety.

Tyler po raz kolejny odniosła wrażenie, że Moon zupełnie nie liczy się z jej zdaniem. Tak palił się do schwytania Colliera, że gotów był nie zwracać uwagi na fakty. Póki co, Tyler nie pozostawało nic innego, jak tylko mu się podporządkować. Nie potrafiła wysnuć na podstawie dowodów żadnych konkretnych wniosków, a to oznaczało, że mogła się opierać tylko na swojej intuicji.

Nie wierzyła, by to, co zaszło w szalecie, było zwykłym zabójstwem.

Ale nie miała dowodów na poparcie tej tezy.

- Craig - ciągnął Moon - sprawdziliście, czy Collier ma jakichś znajomych w Nowym Jorku?

Densmore skinął energicznie głową, niczym wytresowany pies liczący na pochwałę swojego pana.

- Na jego rachunkach telefonicznych powtarzał się jeden nowojorski numer. To telefon mieszkania w Chelsea, wynajmowanego przez dwudziesto-dziewięcio-letniego mężczyznę, niejakiego

Justina Moorea. Moore i Collier pochodzą z tego samego miasta, a nawet siedzieli razem tydzień w poprawczaku.

Moon stał pochylony nad jedną z umywalek. Tyler po raz pierwszy przyszło do głowy, że jego zgarbione plecy mogą być pozostałością po jakimś dawnym urazie. Akta nie wspominały o jakichkolwiek ranach odniesionych przez Moona na służbie, ale przed wstąpieniem do F-Bi-aI spędził sześć lat w wojsku.

- Interesujące - stwierdził Moon, patrząc w lustro. - Może Collier przyjechał do Nowego Jorku, żeby spotkać się ze swoim dawnym współnikiem.

Może coś razem szykują.

Tyler uniosła brwi.

- Wspólnikiem? Czytałam akta tej sprawy, panie Moon. Kiedy ci dwaj trafili do poprawczaka, mieli trzynaście lat. Ukradli samochód sąsiada i zostali schwytani dwie przecznice dalej, w przydrożnym rowie. Nie dajmy się ponieść emocjom.

Moon nie odwrócił się.

- Doktor Ross, byłbym wdzięczny, gdyby podchodziła pani do tego z większą powagą.

Tyler spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Słucham?

- Mam wrażenie, że stara się pani zbagatelizować naszego przeciwnika i popełnione przez niego zbrodnie. Nie wiem, czy to wpływ matczynego instynktu czy jakichś romantycznych ciągotek, ale uparcie powstrzymuje się pani od dostrzeżenia w nim potwora, jakim bez wątpienia jest.

Tyler poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Miała ochotę rozerwać Moonowi kombinezon. Szowinistyczny palant. A Densmore pewnie szczerzy się jak idiota pod tą swoją maską. Wyciągnęła drżący palec w stronę Moona.

- Tym razem posunął się pan za daleko, panie Moon. Niczego nie bagatelizuję; po prostu staram się właściwie interpretować dowody. Pana tymczasem dowody nic nie obchodzą. Jeśli ktoś z nas jest napalony na Jacka Colliera, to pan. A teraz czekam na przeprosiny.

Moon odepchnął się od umywalki. Choć był tylko kilka centymetrów wyższy od Tyler, w kombinezonie wydawał się ogromny.

- Prawdę mówiąc, doktor Ross, nie obchodzi mnie, co pani sobie myśli.

Może sobie pani gadać o dowodach do woli. Proszę jednak pamiętać, że pani ma za zadanie ślęczyć nad próbkami i mikroskopami, a ja muszę aresztować Colliera. Niech więc pani zrobi mnie i sobie przysługę i odczepi się ode mnie.

Ominął Tyler i ruszył w stronę drzwi.

- Craig, wyślij ludzi po Justina Moorea. I niech uważają: on może być współnikiem Pożeracza Karmy.

Tyler obserwowała ich przez maskę. Gniew rozsadzał jej piersi. Moon zaatakował ją bez pardonu, spodziewając się, że ona, Tyler Ross, ustąpi bez walki. Nie doceniał jej.

Kiedyś Tyler spojrzała pewnemu człowiekowi w oczy i

powiedziała, by odciął jej lewą pierś. Nie bała się Vincenta Moona.

Zacisnęła drżące dłonie w pięści i ruszyła za nim.

Czterdzieści minut później Tyler, wciąż wściekła, szła za Moonem w stronę przypominającej celę sali przesłuchań na drugim piętrze komisariatu w Chelsea. Przyjechali tu z Penn Station oddzielnie; Tyler skorzystała z okazji, by w drodze porozmawiać przez telefon z Arthurem Feinbergiem, swoim bezpośrednim przełożonym w F-Bi-aI. Feinberg potwierdził jej podejrzenia:

Moon został przydzielony do tego śledztwa przez samego dyrektora F-Bi-aI.

Wszelkie konflikty między śledczymi będą automatycznie rozstrzygane na jego korzyść. Innymi słowy, Tyler nie mogła liczyć na pomoc z Waszyngtonu. Musiała poradzić sobie z Moonem sama.

Feinberg okazał jej współczucie, ale nie mógł nic więcej zrobić. Ten drobny, życzliwy, sześćdziesięcio-kilkuletni człowiek był od trzydziestu lat kierownikiem wydziału naukowego F-Bi-aI. Rozumiał zasady wewnętrznej polityki Biura i dawno temu postanowił odizolować się od świata w podziemnych laboratoriach Quantico, gdzie nie musiał stykać się z takimi ludźmi jak Moon. Czasami Tyler zazdrościła mu tego pustelniczego trybu życia.

Pewnego dnia mogła skończyć tak jak on - wśród próbek i zapakowanych w plastik próbek.

W połowie drogi do Chelsea rozmowa zesłała na temat naukowych aspektów śledztwa. Feinberg potwierdził to, czego Tyler dowiedziała się od Caufielda. Analiza genetycznej struktury zmutowanego paciorkowca A przyniosła niewiele informacji o śmiertelnej chorobie. Podstawą był zmodyfikowany przez Duttona paciorkowiec A, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Jednak do genomu bakterii wplotły się długie nitki niezidentyfikowanego materiału genetycznego, zmieniając jego strukturę. Pozostawało niejasne, jak tajemnicze DNA zmieniło paciorkowca w tak brutalnego zabójcę.

Tyler musiała przerwać rozmowę, zanim zdążyła zapytać Feinberga, czy jego zdaniem dwudziestotrzy-letni doktorant byłby w stanie zmodyfikować bakterie w tak wymyślny sposób. W pierwszej chwili zdenerwowała się, słysząc głos Densmorea na drugiej linii; zainteresował ją dopiero raport z oględzin mieszkania Justina Moorea. Trop wiodący do Nowego Jorku okazał się właściwy. Oprócz odcisków palców Colliera, śledczy znaleźli w mieszkaniu coś, co ich zdumiało i przeraziło zarazem. Była to kolejna ofiara bakterii-mutantów. Tym razem nawet Moon nie potrafił wyjaśnić, dlaczego Collier wybrał sobie taki właśnie obiekt ataku.

Tyler zamieniła kilka słów z Moonem w czasie jazdy windą na drugie piętro komisariatu. Domyślała się, że jest równie mocno zbity z tropu, jak ona, ale zachowywał kamienną twarz. Praktycznie zignorował małą grupkę ubranych na czarno agentów, którzy czekali na górze i ruszyli za nim, gdy skierował się w stronę pokoju przesłuchań na końcu korytarza. Tyler musiała

przyspieszyć kroku, żeby nie zostać w tyle z jego świtą.

Pod nieoznakowanymi drzwiami na końcu korytarza Moon. Wreszcie raczył na nią spojrzeć. W oczach miał głęboki niesmak.

- Kiedy nasi ludzie go znaleźli, był na heroinie. Daliśmy mu dwie dawki narcanu i zastrzyk adrenaliny, więc pewnie będzie trochę roztrzęsiony. Gdyby zaczął szaleć, proszę schować się za moimi plecami.

Tyler nie odpowiedziała. Nie potrzebowała ochrony Moona. Przeszła w Quantico kurs przetrwania. Jednak gdy Moon otworzył drzwi i wszedł do środka, poczuła przyływ adrenaliny.

W pokoju przesłuchań o rozmiarach siedem na siedem metrów wszystko wydawało się surowe, od jasnych lamp halogenowych po nagie betonowe ściany. Powietrze było gęste od woni potu i strachu. Tyler usiadła obok Moona. Opuściły ją wszelkie emocje. Przebywała już w setkach podobnych pomieszczeń, ale tym razem czuła się inaczej niż zwykle. Może wynikało to z natury śledztwa, z wrogiego nastawienia Moona, a może z faktu, że był to Nowy Jork; w każdym razie miała wrażenie, że skrupulatnie usunięto stąd wszystko, co mogłoby wydawać się sztuczne. Ten pokój służył do łamania ludzi.

Patrząc na Justina Moore'a, Tyler starała się nie okazywać po sobie współczucia. Chłopak siedział za wielkim stalowym biurkiem na środku pokoju, z kościstymi rękami skrzyżowanymi na piersi. Jego czarne włosy, wciąż mokre po zimnym prysznicu, jaki urządzono mu w komisariacie, były zaczesane do tyłu - zachodziły za duże uszy, niczym śnieżne zasy pokryte warstwą smoły.

Miał na sobie jasnoniebieski fartuch przewiązany w pasie, luźno spowijający jego długie chude kończyny. Ubranie Moore'a zostało schowane do plastikowego worka w sali dowodów; specjaliści zamierzali poddać je badaniu na obecność próbek DNA, podobnie jak wszystko, co znajdowało się w mieszkaniu w Chelsea.

- Dzień dobry, Justin - powiedział Moon bez cienia sarkazmu, opierając się biodrem o krawędź biurka, jakiś metr od chłopaka. - Nazywam się Moon, jestem agentem F-Bi-aI. To moja współpracowniczka, doktor Ross.

Chcemy zadać ci kilka pytań na temat martwego kota, którego znaleźliśmy w twoim mieszkaniu.

Małe czarne oczy Justina spoczęły na twarzy Tyler. Nie odwróciła wzroku. Patrząc na przesłuchiwanego, oparła się o zimną klinkierową ścianę.

Chłopak był przerażony, ale ze wszystkich sił starał się to ukryć.

Zwrócił się twarzą do Moona.

- Chcę adwokata - prawie warknął. - Mam prawo do adwokata.

Moon skinął głową; ale nie odszedł od stołu.

- Owszem, Justin, zapewnimy ci adwokata, ale dopiero po naszej krótkiej pogawędce.

Justin zbladł. Nie pierwszy raz został aresztowany i znał swoje prawa.

Jednak tym razem znalazł się w innej niż zwykle sytuacji.

Miał do czynienia z F-Bi-aI, a śledztwo dotyczyło podejrzenia o biologiczny terroryzm.

W takim przypadku zasady można było naginać do woli.

- Nie mam wam nic do powiedzenia - zaczął Justin łamiącym się głosem. - Nie wiem, co się stało z moim kotem. Spałem, kiedy wasze oprychy się do mnie włamały. Nie wiedziałem, że coś się stało kotu, dopóki mi go nie pokazali.

Tyler spłotła dłonie na karku. Wbiła wzrok w twarz Justina Moorea. Miała wrażenie, że chłopak mówi prawdę. Ale Moon najwyraźniej tak nie uważał.

- No pewnie, Justin. Założę się, że nic nie wiesz o tych bakteriach.

Justin spojrzał na niego.

- O co ci, kurde, chodzi?

Moon się wyprostował. Cień jego potężnej sylwetki spoczął na bladym chłopaku. - Gdzie Jack Collier, Justin? Co zamierza zrobić z bakteriami?

Dlaczego zabił twojego kota? Na twarzy Justina odbiło się zdumienie. Moon powoli obszedł biurko.

Tyler czuła, jak w pokoju rośnie napięcie. Słyszała bicie swojego serca.

- A te pieniądze, Justin? Pięćdziesiąt tysięcy dolarów w twojej szafce?

Skąd taki gnojek jak ty ma tyle forsy? Zamierzacie z Jackiem sprzedać te bakterie? Czy o to chodzi?

Tyler przechyliła się w prawo, by lepiej widzieć reakcję Justina.

Na jego twarzy znów pojawiło się zdumienie.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów - powtórzył w zamyśleniu. - W mojej szafce? Wciskacie mi kit czy co?

Tyler odkaślięła znacząco. Nie ulegało wątpliwości, że groźby nic nie dadzą.

- Justin, musisz zrozumieć, że to sprawa niezwyklej wagi. Wiem, że chcesz chronić swojego przyjaciela, ale nie pomożesz mu, okłamując nas.

Jeśli naprawdę ci na nim zależy, musisz nam powiedzieć wszystko, co wiesz.

Justin spuścił głowę. Górna szuflada biurka była lekko uchylona; wydawało się, że chłopak pragnie wczłgać się do niej i zniknąć.

- Przysięgam na Boga, że nie wiem, co jest grane. Do cholery, spałem sobie spokojnie w swoim pokoju, kiedy nagle do mieszkania wpadli jacyś dziwnie ubrani pojebańcy z F-Bi-aI i zaciągnęli mnie tutaj. Potem pokazali mi szkielet w plastikowym worku i powiedzieli, że to mój kot. A teraz ten dupek twierdzi, że znaleźliście pięćdziesiąt tysięcy dolarów w mojej szafce.

Wiecie, ile hery mógłbym kupić za pięćdziesiąt patoli?

Chłopak napotkał spojrzenie Tyler. Wiedziała, że mówi prawdę. Ale nie całą prawdę.

- Justin, wiemy, że Jack Collier był dziś rano w twoim

mieszkanii. Czego chcial? I gdzie jest teraz?

Justin wbił wzrok w ścianę.

- Bez adwokata nic więcej nie powiem.

Tyler westchnęła ciężko.

- Justin, jeśli będziesz milczał, możesz zostać uznany współwinnym morderstwa.

- Powiedziałem, że nie mam już nic do dodania.

Tyler spojrziała na Moona. Wyglądało na to, że nic więcej z niego nie wyciągną. Moon jeszcze się jednak nie poddał. Podeszedł do krzesła, na którym siedział Justin. Bez słowa pochylił się, złapał chłopaka za nadgarstek i odwrócił jego rękę. Na białej jak porcelana skórze Moorea widoczny był kolorowy tatuaż.

- To kolory gangu, Justin? Ty i Collier zabawiacie się ze starymi kolesiami z Jersey?

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Justin uśmiechnął się szeroko.

-No. Zarzynamy koty i obdzieramy je ze skóry. To nas rajcuje.

Moon odwzajemnił uśmiech. Nagle wykręcił Justinowi rękę i wcisnął jego dłoń do otwartej szuflady biurka, którą następnie zatrzasnął kolaniem.

Rozległ się obrzydliwy trzask, a z gardła chłopaka wyrwał się przeraźliwy krzyk.

-Niech cię szlag! Nic nie wiem! Przysięgam! Nic nie wiem!

Tyler z oburzeniem zerwała się z krzesła. Moon oparł dłonie na ramionach Justina, odchylił go do tyłu i zbliżył twarz do jego twarzy.

- Lepiej przestań kłamać, chłopcze, póki czas. Została ci jeszcze jedna ręka.

Tyler stanęła na środku pokoju.

- Panie Moon. Proszę ze mną. Już - wykrztusiła, z trudem zachowując panowanie nad sobą.

Odwróciła się i podeszła do drzwi. Z piekącym karkiem czekała, aż Moon ruszy za nią. Wreszcie usłyszała jego ciężkie, nierówne kroki.

Otworzyła szeroko drzwi i wypadła na korytarz. Przy monitorze telewizji wewnętrznej połączonym z kamerą wiszącą na suficie pokoju przesłuchań stał Densmore z grupką mundurowych. Kiedy zobaczyli minę Tyler, natychmiast się rozeszli. Zaczekała, aż Moon zamknie za sobą drzwi.

-Nie zamierzam uczestniczyć w torturach - powiedziała wreszcie, z trudem opanowując emocje. - Nie obchodzą mnie pańskie znajomości. Nie pozwolę, żeby się pan znęcał nad tym chłopcem.

Nie była naiwna. Wiedziała, że pewna doza przemocy przydaje się, zwłaszcza gdy w grę wchodzi ludzkie życie. Pracując w F-Bi-aI brała udział w kilku dość brutalnych przesłuchaniach. W czasie żadnego z nich nie doszło jednak do tak rażącego naruszenia praw podejrzanego, jak przed chwilą.

Moon przewrócił oczami.

-Ten śmieć się z nami bawi. Wie, gdzie jest jego przyjaciel. Wie o bakteriach.

-Nie obchodzi mnie, co on wie. Jeśli jeszcze raz pan go choćby dotknie, zrezygnuję z prowadzenia tego śledztwa i złożę w wydziale wewnętrznym raport na temat pańskiego zachowania. Zrozumiano?

Tyler dygotała na całym ciele. Jeszcze nigdy nie pracowała z kimś, kogo tak bardzo nienawidziła. W jej uszach wciąż brzmiał trzask miazdżonego nadgarstka Justina Moorea.

Moon wzruszył ramionami.

- Dobrze. Opuścę temu palantowi. Ale jeśli Collier znów zaatakuje, to pani będzie za to odpowiedzialna.

Tyler miała ochotę uderzyć go w twarz. Zamiast tego, odetchnęła głęboko.

- Jeśli Justin Moore wie, gdzie jest Collier, nie powie nam tego, bez względu na to, jak bardzo będzie pan naciskał.

- A pieniądze? - spytał Moon. - A kot? Myśli pani, że Justin Moore naprawdę nic nie wie?

Tyler spojrzała w monitor. Justin płakał cicho, przyciskając zmiażdżony nadgarstek do piersi. Tyler poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Tak, panie Moon, tak właśnie myślę. Martwy kot do niczego mi nie, pasuje, a jeśli te pieniądze mają coś wspólnego z Collierem i bakteriami, Justin Moore nic o tym nie wie.

Moon zdjął okulary i wytarł je w koszulę.

-Niepotrzebnie pani to wszystko komplikuje, pani doktor.

Tyler zacisnęła zęby.

- A pan albo celowo udaje tępego, albo taki jest. Jeśli pan uważa, że Jack Collier i Justin Moore, dwójka dzieciaków z New Jersey, uknuła tak przemyślny plan zdobycia pieniędzy,..

Urwała w pół zdania, bo zauważyła, że Moon wpatruje się w monitor telewizji wewnętrznej. Justin Moore stał na środku pokoju przesłuchań i patrzył wyzywająco w kamerę.

- Nie mam pojęcia, po cholere go ścigacie - krzyknął. Jego głos płynący z głośników był zniekształcony przez trzaski. - Ale go nie złapiecie!

Możecie napuścić na Jacka całe cholerne F-Bi-aI, a on i tak was wszystkich przechytry!

Moon włożył okulary i spojrzał na Tyler.

-Jack Collier to nie jest jakiś tam dzieciak z New Jersey. A ja nie jestem głupi, tylko obiektywny. Jeśli nie mamy już sobie nic do powiedzenia, to chyba możemy kontynuować przesłuchanie?

W oczach Tyler błysnął gniew.

-Najpierw nastawimy mu nadgarstek. I ściągniemy tu adwokata.

Moon zatrzymał się w pół kroku i potrząsnął głową.

- Z adwokatem trzeba poczekać. Ten chłopak jest agresywnym narkomanem. Jak pani sama widzi, już zdążył zrobić sobie krzywdę, stawiając opór przy aresztowaniu; a chyba nie chcemy narażać adwokata na niebezpieczeństwo, prawda?

Tyler spojrzała na Moona z niedowierzaniem. Obiektywny, a jakże.

Moon był psychopatą i tyle. Wszystkie krążące o nim

opowieści były prawdziwe.

Historie o nieuzbrojonych ludziach zastrzelonych podczas rutynowych aresztowań, o przesłuchaniach zmieniających się w krwawe jatki, zatuszowanych przez koleśków Moona z F-Bi-aI. I opowieść o czymś, co zdarzyło się przed dwoma laty, opowieść, która zmroziła Tyler krew w żyłach, Działo się to w Portland, w stanie Maine. Pewien handlarz narkotyków, niejaki Alex Turner, wziął w czasie strzelaniny w sklepie żelaznym trzech zakładników. Moon i jego ubrani na czarno podwładni postanowili rozwiązać problem po swojemu i nakazali oddziałowi antyterrorystycznemu wycofanie się. Moon wszedł do sklepu - sam - z obrzynem przypiętym do pleców.

Po dziesięciu minutach Turner już nie żył. Jego nogi i ręce były oderwane od torsu, a z głowy została krwawa plama na ścianie. Sekcja zwłok wykazała, że ostatni pocisk został wystrzelony z odległości kilkunastu centymetrów od potylicy zmarłego.

Wkrótce potem dwaj zakładnicy zaczęli rozgłaszać, że zanim Moon otworzył ogień, Turner próbował się poddać. Jeden ze świadków obrazowo przedstawił tę scenę: Turner na kolanach, błagający o litość i Moon, zbliżający się do niego z obrzynem w dłoni, głuchy na wszelkie prośby.

F-Bi-aI rozważało zawieszenie Moona w czynnościach służbowych, ale obaj zakładnicy nieoczekiwanie zmienili zeznania. Tyler mogła sobie tylko wyobrazić, jak nocna wizyta dwóch ubranych na czarno agentów może wpłynąć na ludzką pamięć.

Teraz, kiedy zobaczyła Moona w działaniu, przekonała się, że jest skłonny do nadużywania przemocy. Uważał przemoc za coś naturalnego, za nieodzowny element swojej pracy. Kolejnym celem miał być Jack Collier - i nic nie mogło stanąć mu na przeszkodzie.

Nawet dwa dowody, które do niczego nie pasowały: martwy kot i stos studolarowych banknotów.

11

Autostrada przypominała dwujezdniową strzałę z czarnego asfaltu, obsadzoną drzewami. Zaczynał się zachód słońca i przyciemniane okna autobusu przybrały dziwny ciemnopomarańczowy kolor, o niemal takim samym odcieniu jak whisky. Jak się okazało, dziewczyna miała w plecaku dwie butelki tego szlachetnego trunku; napoczęli je gdzieś na zachód od Pittsburga, a od Cleveland pili już jak dwa dzieciaki w drodze na studniówkę.

Miała na imię Kate, była naprawdę piękna i dopiero po sześciu godzinach picia, rozmowy i wzajemnego badania się zadała to pytanie.

- Skoro cię kochała, to jak mogła cię zostawić?

Jack zamknął oczy i osunął się na oparcie.

- Jack? - powiedziała Kate. Zapach jej perfum mieszał się ze smrodem spalin. - Jeśli nie chcesz, nie musisz o tym mówić.

Jack przetarł oczy dłonią i pociągnął łyk whisky, Poczul znajome pieczenie w przetyku, kontrastujące z chłodnym podmuchem muskającym jego policzki. Ktoś uchylił okno, żeby przewietrzyć autobus, ale sprawiło to tylko, że zrobiło się zimniej, a smród jeszcze bardziej dawał się we znaki.

Jack był już jednak zbyt pijany, żeby się tym przejmować.

A jednak to, że zbliżył się tak bardzo do osoby zupełnie obcej, nie było tylko zasługą wypitego alkoholu. Nawet fakt, że ta dziewczyna tak bardzo przypominała Angie, nie miał z tym nic wspólnego. Nie chodziło też o to, że jej oczy uśmiechały się, nawet gdy próbowała zachować powagę, ani o jej wydęte usta. Była dużo młodsza od Angie i jeszcze bardziej wrażliwa.

Opowiedziała mu historię swojego życia, zanim autobus dotarł do granicy Pensylwanii i chwilami wydawało się, że jest o krok od załamania.

Może właśnie dlatego pozwolił jej się tak bardzo do siebie zbliżyć. Już dawno nie miał tak silnego wrażenia, że w pełni panuje nad sytuacją.

- To znaczy - ciągnęła, gdy nic nie mówił - nie chciała z tobą zostać do samego końca?

Jack popadł w zadumę. Gdyby to był film, a na jego miejscu siedziałby Leonardo DiCaprio i cała scena rozgrywałaby się na pokładzie samolotu, transatlantyku albo zakichanego wahadłowca, udzieliłby Kate zgrabnej, wyświechtanej odpowiedzi, coś w stylu: "Opuściła mnie właśnie dlatego, że mnie kochała. Prawda jednak była taka, że Jack znajdował się w cholernym autobusie, więc i odpowiedź nie mogła być aż tak romantyczna.

- Rak - powiedział wreszcie i zabrzmiało to absurdalnie. - Ta choroba cię zmienia, Kate. Czujesz ją w sobie. Nie chodzi mi o ból; po prostu czujesz się chora. A wszyscy dookoła udają, że wcale się nie zmieniłaś, choć to nieprawda.

Nawet jemu samemu wydawało się, że to, co mówi, brzmi dziwnie. Był pijany i w końcu musiało mu się wyrwać coś głupiego, ale miał to gdzieś.

Dobrze było porozmawiać, nawet z kimś całkowicie obcym. Przez ostatnie dwa lata dusił wszystko w sobie.

- Możesz być najpiękniejszą, najśladszą istotą na świecie, ale w chwili, gdy dowiadujesz się, że masz raka, poznajesz smak nienawiści.

- Ale dlaczego poddała się tak łatwo? - spytała naiwnie Kate. - Dlaczego nie poszła do szpitala, żeby chociaż spróbować? Co miała do stracenia?

Jack potrząsnął głową. Kate nic nie rozumiała. Wierzyła w te brednie, którymi opinia publiczna karmiona była przez źle poinformowane media.

- Istnieją tylko trzy oficjalne sposoby walki z rakiem: nóż, trucizna i ogień, czyli zabieg chirurgiczny, chemoterapia i naświetlanie.

Jeśli nowotwór jest w zbyt zaawansowanym stadium albo utkwiał w narządach, które są zbyt ważne dla całego organizmu, by je

niszczyć, możesz robić, co chcesz, a i tak umrzesz. Angie o tym wiedziała i dlatego uciekła.

Kate przez chwilę milczała. Autobus zmienił pas i Jack zauważył drogowskaz do Ann Arbor. Chicago było już niedaleko.

- To właśnie studiowałaś na Harvardzie? - spytała Kate. - To znaczy, prowadziłaś badania nad rakiem?

Jack dotknął plecaka leżącego pod fotelem. Wyczuł pod palcami pieniądze i twardy plastik próżniowej płytki Petriego. Jego policzki były czerwone od wypitej whisky.

- Mniej więcej. Już wcześniej interesowałam się ludzkim układem odpornościowym. Kiedy Angie zachorowała, stało się to w pewnym sensie moją obsesją.

Kate popatrzyła na niego, potem wyjrzała przez okno.

- Przy tobie czuję się jak dziecko szczęścia. Wszystkie rozmowy moich rodziców kończą się rękoczynami, połowę swojego życia spędzam w rozjazdach między mieszkaniem ojca w Nowym Jorku a motelem prowadzonym przez matkę pod Gary, odkąd skończyłam szesnaście lat, nie spotykałam się z żadnym chłopakiem dłużej niż przez dwa tygodnie i muszę przyznać, że w porównaniu z tobą jestem cholernie szczęśliwa.

Jack uśmiechnął się. Spodobała mu się ta dziewczyna. Po chwili przywołał się do porządku. To jest tylko spotkanie w podróży; są dwójką pijanych młodych ludzi w autobusie przemierzającym jakieś pustkowia.

Kate zabębniła palcem w szybę. Robiło się ciemno, drzewa zlewały się ze sobą, reflektory samochodów przecinały autostradę, niczym światła odbijające się od rozbitej lustrzanej kuli.

- Słuchaj, Jack, chciałabym ci pomóc.

- Nie, muszę to załatwić sam - odparł. Pomyślał o plikach studenckich banknotów i przewożonych przez siebie bakteriach. Nie mógł mieszać w tę sprawę nikogo innego. - Nie powinienem mieć żadnych kłopotów ze znalezieniem tej kliniki w Chicago. Jutro rano będę z Angie.

A przynajmniej taką miał nadzieję. Jedynymi wskazówkami, na jakich się opierał, były słowa narkomana i pieczętka na pocztówce sprzed pół roku.

Ale jeśli Angie jest w Chicago, znajdzie ją.

Kate nie zamierzała poddać się bez walki.

-Mógłbyś przemocować w motelu mojej mamy. Mam dziapa. Właściwie to gruchot, ale do Chicago dojedzie. Mogłabym cię tam podwieźć jutro rano.

Musisz się przespać, Jack. Przynajmniej przez kilka godzin. Nie widziałeś jej od dwóch lat.

Jack zauważył swoje odbicie w szybie i uznał, że Kate chyba ma rację.

Naprawdę potrzebował snu. Alkohol też zrobił swoje; jego oczy wydawały się opuchnięte, wargi nabrzmiały. Właściwie nie obchodziło go, jak wygląda, ale wiedział, że w Chicago będzie musiał być w pełni skoncentrowany.

Może należało skorzystać z propozycji.

- Twoja mama nie będzie miała nic przeciwko temu, że sprowadzasz sobie na noc jakiegoś włóczęgę?

Kate uniosła kącik ust w uśmiechu Mony Lisy.

- Mama wraca dopiero za dwa dni. Motel jest w remoncie, więc wyjechała ze swoim nowym facetem na Hawaje. Będziemy mieć cały dom dla siebie.

Jej uśmiech zmienił się lekko. W sercu Jacka coś drgnęło, ale zignorował to. Kate nie wydawała mu się już tak delikatna. Może przez cały czas łudził się, myśląc, że w pełni panuje nad sytuacją. Cma, przypomniał sobie. Nie mój motyl.

Motel był piętrowy, podobny do ranczo i ciągnął się przez sto metrów wzdłuż mało uczęszczanej drogi. W narożniku rozległego parkingu stały dwa buldożery, ustawione prostopadle do siebie, a duża część piętra schowana była pod płóciennymi płachtami. Obok maszyn wznosił się stos cegieł.

Migoczący neon obwieszczał: "Sleepy Hollow Motel. Kabłówka w każdym pokoju".

- To prawda - powiedziała Kate, idąc chwiejnym krokiem przez parking.

Miała na sobie dzinsy i grubą białą koszulę z długimi rękawami. - Może i utknąłeś w samym sercu syfiastej Indiany, ale przynajmniej masz kabłówkę.

Jack parsknął śmiechem, wspierając się na jej ramieniu. Plecak i torba ważyły chyba z tonę.

-Zdaje się, że to nie najlepsze miejsce na motel. Nie ma tu zbyt dużego ruchu.

W czasie dwudziesto minutowego marszu od przystanku - a właściwie stojącej na brzegu pola budki - nie natknęli się na ani jeden samochód. Wspominając swój pobyt w Bostonie i Nowym Jorku, Jack miał wrażenie, że znalazł się na powierzchni konającej gwiazdy. Cisza była wręcz przygniatająca, a powietrze tak przesiąknięte zapachem natury, że czuł, jak jego płuca domagają się choć odrobiny smogu.

- Za dwa lata - powiedziała Kate, rozkładając ramiona, jakby chciała objąć cały parking - będzie się tu roiło od ludzi.

-I twoja matka ma kryształową kulę? - spytał Jack, gdy weszli w cień buldożerów.

- Lepiej. Jej nowy facet jest członkiem miejskiej komisji budownictwa.

Trzydzieści kilometrów stąd ma powstać lotnisko cywilne. Na razie jest tam tylko pas startowy dla kurierów przewożących narkotyki i handlarzy, zbyt skąpych, żeby korzystać z usług normalnych linii lotniczych.

Niedługo to się zmieni. Ludzie będą jeździć na lotnisko i wpadać do nas na kabłówkę.

Kate potknęła się na cegle i runęła do przodu. Jack złapał ją za rękaw, o mało nie tracąc równowagi. Kiedy dziewczyna się wyprostowała, z jej torby wyleciała butelka whisky i potłukła się na chodniku.

- Cholera - powiedziała. - Skoro już skończyłeś moją drugą

flaszkę, ta miała być na śniadanie.

Jack był pewien, że nie żartowała. Jego spojrzenie powędrowało ku dwóm lampionom, oświetlającym wejście do motelu. Pod nimi stał dżip, zaparkowany przy niskich krzakach.

- Daj mi sekundę - powiedziała Kate, wysuwając się naprzód.
- Muszę zabrać z gabinetu mamy klucz do pokoju. Szkoda, że nie skończyli jeszcze apartamentu dla nowożeńców. Moglibyśmy razem ochrzcić wannę.

Uśmiechnęła się na widok jego przerażonej miny.

- Żartuję. Ten motel nie jest z takich. Poza tym mama zawsze mówiła mi, żebym nie kąpała się z obcymi. Wszyscy wiedzą, że bakterie najlepiej czują się w gorącej wodzie. Zaraz wracam. Ścisnęła jego schowaną w rękawicy dłoń i wbiegła do domu. Jack czekał na nią przy aucie, położywszy torbę na klapie silnika. W oknie przy drzwiach wejściowych zapaliło się światło, a na zaciągnięte zasłony padł cień poruszającej się sylwetki. Po pięciu minutach Kate wróciła z kluczami.

Pokój zajmował cały narożnik pierwszego piętra, choć nie oznaczało to, że był szczególnie przestronny. Stały w nim dwa podwójne łóżka, drewniana szafka i barek. Lustrzane drzwi prowadziły do małej, jasno oświetlonej łazienki. Podłogę na całym piętrze przykrywał ciemnozielony dywan, a na łóżkach leżały narzuty w kolorze wody morskiej, połyskujące w sączącym się przez okno świetle neonu; tak naprawdę ich barwa była zbliżona do beżu.

Kate rzuciła torbę na dywan i wskoczyła na jedno z łóżek. Kiedy leżała, wydawała się wyższa i bardziej smukła; patrzącemu na nią Jackowi nagle zrobiło się gorąco. Zdjął kurtkę i rękawice, a plecak i torbę postawił ostrożnie na drugim łóżku. Miał wrażenie, że podłoga kołysze się pod jego nogami i marzył tylko o tym, żeby się położyć. Zamiast tego poszedł do łazienki.

W lustrzanych drzwiach zobaczył Kate, która właśnie wchodziła pod koc.

Kiedy go podciągała, jej biała koszula podwinęła się, odsłaniając jeszcze bielszą skórę. Jack odetchnął głęboko i zamknął się w łazience.

Zaczynał trzeźwieć. Stanął nad umywalką, odkręcił kran, pochylił się i zanurzył twarz w zimnej wodzie. Przez chwilę otwierał i zamykał usta jak ryba chwytająca powietrze. Odrzucił głowę do tyłu i po jego karku spłynęły lodowate strużki. Zdjął ręcznik z wieszaka i wytarł włosy. Potem odwrócił się w stronę sedesu, podniósł deskę i opróżnił pęcherz.

Co ja tu robię, do licha? Domyślał się, że nie jest pierwszym człowiekiem, który zadaje sobie to pytanie stojąc w łazience obscurnego motelu.

Musiał dalej prowadzić swoją grę. Skoro policja szukała go w Nowym Jorku, na pewno będzie go też szukać w Chicago. Tamtejszy dworzec autobusowy był dla niego równie niebezpiecznym miejscem jak stacja Grand Central.

Kate miała dżipa; mogła podwieźć Jacka pod drzwi kliniki.

Wiedział jednak, że są to tylko usprawiedliwienia. Czuł żar

pełnący w górę brzucha. Przez ostatnie dwa lata prawie nie wystawiał nosa z laboratorium, a teraz za ścianą czekała na niego piękna pijana dziewczyna. Owszem, było to płytkie, ale ludzkie. Mógł wejść do sypialni i udawać, że jest z Angie, że wrócili tamte dni, kiedy jeszcze w ich życie nie wdarły się rak, łzy i strach. Że wróciła ta szczęśliwa Angie, której uśmiech rozświetlał pokój w akademiku i pozwalał zapomnieć o całym świecie.

Przypomniał sobie, jak udawali, że ich łóżko jest tratwą na środku oceanu, tysiące kilometrów od lądu. Kochali się po ciemku i Jackowi czasami wydawało się, że słyszy szum fal, że czuje słone morskie powietrze w kroplach potu spływających jak łzy po piersiach Angie. Tutaj nikt nam nie może przeszkodzić, mówiła mu, bo nikt prócz nas nie istnieje. Przyciągała go do siebie i ich nagie ciała łączyły się ze sobą w płomieniu miłości, a Jack naprawdę widział ocean oblewający krawędzie łóżka.

Z nikim innym nie mogło być mu tak, jak z Angie.

Jack pomyślał o dziewczynie w pokoju obok i zacisnął zęby. Ogarnęło go obrzydzenie. Udawać, że ona to Angie, by nadać treść pozbawionej znaczenia chwili w pozbawionym znaczenia miejscu, takim jak to?

Michael Dutton byłby w stanie zrobić coś takiego. Ale nie on, Jack Collier.

Otworzył drzwi łazienki. Popatrzył na łóżko i poczuł ulgę. Spod koca wystawała tylko głowa dziewczyny; jej oczy były zamknięte, a ciemne włosy rozrzucone na białych poduszkach niczym jedwab. Zapadła w głęboki, pijacki sen. Oszczędziła mu kłępujących rozmów, niezręcznych prób odmowy.

Jack podszedł do jej torby i wyjął z niej kluczyki. Potem zadzwonił z telefonu stojącego na stoliku przy szafce na informację. Po dwóch minutach uzyskał połączenie z kliniką Helio. Recepcjonistka o nic go nie pytała, podyktowała mu tylko adres i życzyła powodzenia. W końcu była to klinika alternatywna. Przez chwilę miał ochotę zapytać o Angie, ale uznał, że to bez sensu. Nawet jeśli się tam leczyła, na pewno nie podała swojego prawdziwego nazwiska; była uparta i wiedziała, co to znaczy zniknąć. A jeśli stamtąd wyjechała, Jack musiał się dowiedzieć, dokąd.

Wziął kurtkę i rękawice, plecak i torbę. W połowie drogi do drzwi jego spojrzenie jeszcze raz zatrzymało się na uśpionej dziewczynie.

Nagle opadły go wyrzuty sumienia - a może to był żal? Zatrzymał się, czując w dłoni ciężar skradzionych kluczyków. Potem podjął decyzję.

Otworzył plecak i wyjął jeden plik studenckich banknotów. Podszedł do łóżka i położył pieniądze na jego skraj. Potem pochylił się i delikatnie pocałował Kate w usta. Popatrzył na nią o sekundę dłużej niż to było konieczne i ruszył w stronę drzwi.

Kiedy wyszedł na schody, wydawało mu się, że zza drzwi pokoju dobiegł jakiś dźwięk, jakby cichy łomot. Potem znad

parkingu nadciągnął mroźny podmuch wiatru, który wyrwał mu drzwi z ręki i zatrzasnął je z hukiem. Jack wzruszył ramionami i poszedł w stronę dżipa.

Tymczasem po drugiej stronie drzwi podmuch wiatru przemknął nad ciemnozielonym dywanem, uniósł róg beżowej narzuty i rozrzucił leżące na łóżku studolarowe banknoty. Narzuta falowała przez chwilę, w końcu zerwała się, odsłaniając śnieżnobiały szkielet i pukiel długich czarnych włosów.

12

Duke Baxter, z niezapalonym cygarem w ustach, pędził swoim żółtym pikapem drogą numer dwadzieścia trzy. Był mniej więcej czterdzieści minut za Gary i prowadził szaleńczy wyścig ze świtem, a skaner policyjny leżący na siedzeniu obok skrzeczał mu w chore ucho. Skaner obudził go parę minut po czwartej i choć minęła już godzina, wciąż gadał jak najęty. Duke uśmiechnął się przez cygaro, wciśnięte między poślizgnięte sztuczne zęby przy samym dziąśle, skąd smak biegł prosto do mózgu. Kurka wodna, ależ miał ochotę, żeby je zapalić. Ale słowo to słowo i choć Marta odeszła przeszło pięć lat temu, Duke nie złamał ani jednej obietnicy danej tej starej prukwie.

Tym bardziej nie zamierzał tego zrobić dzisiaj.

Wchodząc w zakręt, bębnił powykrzywianymi palcami w kierownicę.

Na widok neonu, jaśniejszego niż wschodzące słońce, serce zabiło mu mocniej. Zaraz jednak przestrzegł samego siebie, by się za bardzo nie podniecać.

Zawsze mawiał, że nadzieja jest drogą do rozczarowania, a tych w ciągu sześćdziesięciu sześciu lat swojego życia miał aż nadto.

Dwa nieudane małżeństwa, zanim ta stara prukwa przyszła mu na ratunek; co najmniej tuzin dziennikarskich fuch, które nie dały mu nic oprócz kilku linijek w życiorysie i wreszcie kolejne degradacje w redakcji "Gary Gazette", które skończyły się tym, że teraz musiał spać z uchem przy skanerze policyjnym, trwając w mglistym przekonaniu, że może jednak los jest mu coś winny. Przeciętności nie trzeba się wstydzic, pocieszała go często stara prukwa, a on nie widział powodu, by się z nią o to kłócić.

Mimo to bezustannie czuwał - i dziś wreszcie pojawiła się szansa, że jego upór się opłaci.

Pikap podskoczył na krawężniku przy zjeździe na parking. Duke zaklął, obawiając się, że zniszczył oś. Miał wrażenie, że z każdym dniem coraz gorzej prowadzi; winą za to obarczał trzydziestoletni silnik forda, a nie własne sześćdziesięcio-sześćoletnie oczy. Jego syn Ronnie z pierwszego małżeństwa -jajowody starej prukwy były podwiązane wyżej niż pętla na szubienicy - od lat próbował namówić go do sprzedaży tego żółtego gruchota. Jednak Duke nie miał zamiaru z nim się rozstawać; marzył by któregoś dnia skonać na przednim siedzeniu i

spocząć w grobie razem z samochodem, jak jakiś faraon ze swoim wiernym rumakiem. Przeciętny faraon, nie żaden wielki; nie trzeba piramidy, wystarczy kilka kamieni na cmentarzu, obok starej prukwy, wieczny odpoczynek racz jej dać Panie.

-No, no, a to się narobiło - mruknął Duke, jadąc przez parking w stronę neonu. Wokół było jasno jak w dzień. Duke wypatrzył sześć wozów policyjnych, dwie karetki i jedną ciężarówkę straży pożarnej. Przy dwóch buldożerach ustawionych tuż obok hotelu stało kilku mundurowych z biura szeryfa w Gary. Duke zmrużył oczy i zauważył, że rozmawiają z dwoma mężczyznami w jasnoszarych kombinezonach. To pewnie robotnicy, od których wszystko się zaczęło. Według skanera, przyjechali o czwartej czterdzieści pięć, by kontynuować prace nad dachem motelu. Dziwny zapach doprowadził ich do pokoju na piętrze i po chwili, przerażeni, wezwali policję.

Duke wcisnął hamulec. Rozległ się przenikliwy pisk opon i twarze wszystkich zwróciły się w jego kierunku. Pomachał przyjaźnie do policjantów i kilku z nich odpowiedziało mu tym samym gestem, uśmiechając się.

Wszyscy byli dobrymi chłopcami z Gary.

-Dobrze ci się jechało, Scoop? - krzyknął jeden z ludzi szeryfa, młody chłopak nazwiskiem Purdue, który chodził do szkoły średniej z synem Dukea. - Na widok takiego odcienia żółci rzygać się chce. Zwłaszcza dziś rano.

- Co chcesz, moja szczeka ma taki sam kolor - odparł Duke przez opuszczoną szybę. Ostrożnie wyjął cygaro z ust i położył je na siedzeniu, obok skanera. Spojrzał ze smutkiem na niezapalony koniec, po czym westchnął i sięgnął do schowka. Wyjął z niego małą kartkę papieru i ogryziony ołówek.

Purdue podszedł do samochodu i otworzył drzwi. Kiedy Duke postawił nogi na asfalcie, jego kolana przeszył potworny ból, ale już dawno temu nauczył się go ignorować. Przypomniało mu się kolejne z wielu powiedzonek starej prukwy: "Poprzez artretyzm Bóg przypomina ci, że jeszcze żyjesz".

- Pewnie słyszałeś wszystko przez skaner - powiedział Purdue, stojąc z kciukami wsuniętymi pod pasek kabury. - To jakaś strasznie dziwna sprawa. Szeryf Carlson od czterdziestu minut siedzi w środku z koronerem; nadal nikt nie wie, co się właściwie stało.

Duke uniósł krzaczaste siwe brwi.

- Wydawało mi się, że dyspozytor kazał policji niczego nie ruszać przed przyjazdem federalnych. Myślałem, że o tej porze wszystko już będzie zaplombowane.

Purdue roześmiał się. Był o głowę wyższy od Dukea, nawet w czasach, kiedy ten miał jeszcze prosty kręgosłup. Kiedy Purdue się śmiał, jego szerokie ramiona odchylały się do tyłu niczym skrzydła pterodaktyla.

- Co, myślałeś, że szeryf zostawi wszystko federalnym? Uznał, że skoro robotnikom nic się nie stało, to można trochę powęszyc. My woleliśmy zostać tutaj i, że tak powiem,

zabezpieczyć teren.

Duke poczuł, że wiatr szarpie jego sztywne siwe włosy.

- To znaczy, nie dopuszczać dziennikarzy?

Purdue mrugnął porozumiewawczo.

- Otóż to. Nie chcemy wywoływać paniki, przynajmniej dopóki federalni nie powiedzą nam, co jest grane. Jeszcze by tego brakowało, żeby jacyś weterani z "Gary Gazette" wsadzali tu swoje nosy.

Duke schował notes do kieszeni ciemnozielonej koszuli.

Purdue położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

- Oczywiście, nie mamy nic przeciwko temu, żeby wpadł tu jeden z kumpli szeryfa od kręgli. Pod warunkiem, że nie napisze niczego w gazecie, dopóki nie dojdziemy z tym wszystkim do ładu.

Duke skinął głową. Wiedział, w czym rzecz. To dzięki znajomości z szeryfem nadal pracował w gazecie, mimo że już pięć lat temu powinien był przejść na emeryturę; nie zamierzał utrudniać życia policji z Gary, bo wtedy piłowałby gałąź, na której siedzi. Carlson da mu znać, kiedy będzie można puścić ten materiał. A skoro na straży stali Purdue i jego koledzy, Duke był pewien, że nikt go nie uprzedzi.

Kto wie, może przecucie go nie zawiedzie i tym razem zasłuży sobie na coś więcej niż jedna kolumna w środowej kronice kryminalnej. Jeśli to, co usłyszał przez skaner, jest prawdą... Zobaczył oczami wyobraźni, jak stara prukwa kręci głową. "Jesteś starym człowiekiem, Duke. Zostaw marzenia tym, którzy mają powody, by marzyć".

Duke uśmiechnął się łagodnie do Purduea i ruszył w stronę wejścia do motelu. Przechodząc przez tłumek policjantów, przywitał się serdecznie z kilkoma znajomymi, ale wyczuł, że atmosfera jest napięta. Twarze dwóch robotników w świetle reflektorów wydawały się niemal zielone; Duke zanotował sobie w pamięci, że po wyjściu z motelu musi z nimi porozmawiać.

Co się tyczy reszty młodych ludzi zgromadzonych wokół buldożerów, wyglądało na to, że żaden z nich nie wymiotował. Jednak sądząc z ich min, można się było założyć, że tego ranka nie zażyczą sobie obfitego śniadania.

Wszystko to razem przypominało miejsce zbrodni, choć z tego, co Duke słyszał przez skaner, zadziałała tu raczej siła wyższa. Może Bóg? W końcu to pasowało do jego modus operandi.

Duke uśmiechnął się na tę myśl i podszedł do drzwi. Silny odór, który uderzył w jego nozdrza, odebrał mu ochotę do śmiechu. Oczy Dukea zaszyły łzami, a piersią wstrząsnął atak kaszlu. Nic dziwnego, że ci budowlańcy postanowili sprawdzić, co jest grane.

Kamienne schody biegły środkiem budynku, częściowo schowane za ozdobioną stiukiem ścianą. Antresolę przecinała żółta policyjna taśma;

Duke, krzywiąc się niemiłosiernie, pochylił się i przeszedł pod nią.

Oczywiście, jak ostatnia łajza, zaczepił kołnierzem o lepiącą stronę taśmy i minęła chwila, zanim udało mu się uwolnić.

Oddychał z trudem. Od pięciu lat nie palił cygar, a płuca i tak ciągle odmawiały mu posłuszeństwa. Z drugiej strony, dla dobrego kubańskiego cygara warto było pocierpieć. Ale słowo to słowo niech to szlag.

- Tak mi się wydawało, że widziałem Starego Żółtka na parkingu - rozległ się znajomy chrapliwy głos. - Co za dzień, Duke. Można by pomyśleć, że to Halloween.

Szeryf wychylał się z jednego z pokoiów w głębi korytarza. Na twarzy miał białą maskę chirurgiczną, zakrywającą nos i usta, a jego mundur był rozpięty pod szyją, odsłaniając srebrzyste włosy na piersi, w tym samym srebrzystym odcieniu, co sztywne kosmyki wystające spod kapelusza.

Przywołał do siebie Dukea skinieniem schowanej w rękawicy dłoni.

- Postaraj się oddychać płytko, dopóki nie przyniesiemy ci maski - powiedział Carlson, kiedy Duke przestąpił próg pokoju. - I niczego nie dotykaj. Federalni i tak się wściekną, kiedy ich spece zaczną liczyć ślady stóp na tym cholernym dywanie.

Duke usłyszał w głosie Carlsona nutę satysfakcji. Jak każdy dobry małomiasteczkowy szeryf, nienawidził F-Bi-aI. Uważał agentów federalnych za bandę przemądrzałych szczurów laboratoryjnych, mających wielkie wymagania finansowe i jeszcze większe głowy. Duke miał podobne zdanie o dziennikarzach z bardziej znanych gazet, tych typów z "Suna" i "Timesa", którym zawsze trafiały się dobre materiały, a potem wygodne posadki redaktorskie, fuchy w telewizji, przepustki dla prasy i najlepsze miejsca w wykwinionych restauracjach. Duke nienawidził ich wszystkich i marzył, by stać się jednym z nich. Podobnie było z szeryfem Carlsonem.

- Jakby to miało jakieś znaczenie - powiedział Carlson, kiedy młody człowiek w niebieskim kitlu wręczył Dukeowi białą maskę. - Nawet gdyby ci spece z F-Bi-aI byli geniuszami, ciekawe, jak wyjaśnią coś takiego! Wskazał łóżko, stojące półtora metra dalej. Duke poczuł ucisk w żołądku i przez chwilę wydawało mu się, że zwymiotuje. Choć słyszał przez skaner, co się stało, ten widok autentycznie nim wstrząsnął.

- To chyba nie jest żart? - wykrztusił, zawiązując maskę za głową.

- Nie jest - odparł Carlson. - Potwierdzili to dwaj technicy i koroner.

Nietrudno odgadnąć, kto tu leży. Wystarczy spojrzeć na włosy.

Duke zamrugał oczami. Chciał się odwrócić, ale nie mógł. Koroner stał w nogach łóżka i robił zdjęcia dużym aparatem. Technik opierał się o ścianę.

Na jego twarzy malowała się bezradność.

- To Kate Matti - ciągnął Carlson. - Osiemnaście lat. Jej matka jest właścicielką motelu. Rodzice rozwiedli się; ojciec mieszka w Nowym Jorku.

Znaleźliśmy ich zdjęcia w szufladzie w biurze.

- Czy jej matka wie, co się stało? - Duke pomyślał, jak zareagowałby na wieść, że coś takiego spotkało jego syna.

- Jest na Hawajach. Próbuje się z nią skontaktować, ale. To potrwa.

Zresztą może to i lepiej. Zostawiliśmy jej ojcu wiadomość, ale jeszcze się nie odezwał.

Duke wbił wzrok w podłogę. Serce waliło mu w piersi jak młotem, nie tylko z powodu tego obrzydlistwa na łóżku, ale przede wszystkim dlatego, że przecucie go nie zawiodło. To mógł być ten wymarzony materiał - ten, który wyniesie go ponad przeciętność i będzie początkiem wspaniałej kariery.

Masz sześćdziesiąt sześć lat, usłyszał w uchu głos starej prukwy, o jakież "początek" kariery ci chodzi? Zignorował ją, tak jak czynił to przez wiele, wiele lat.

Już miał zadać Carlsonowi następne pytanie dotyczące rodziny ofiary, kiedy zauważył coś na podłodze. Pochylił się, mrużąc oczy. Nie dlatego, że miał słaby wzrok, ale dlatego, że to coś było prawie tego samego koloru, co dywan.

- Banknot studolarowy?

Carlson skinął głową.

- Jest ich tu od cholery i trochę. W sumie prawie dziesięć tysięcy dolarów. Znaleźliśmy też ślady whisky na ubraniu dziewczyny i słuczoną butelkę na parkingu. Wygląda na to, że urządziła sobie małą imprezkę przed. .. No, przed tym, co się stało. I nie była sama.

Duke uniósł głowę.

- Skąd wiesz?

Carlson machnął ręką w stronę łazienki.

-Znasz jakąś dziewczynę, która przed sikaniem podnosiła by deskę klozetową?

Uśmiech zadrżał w kącikach ust Dukea.

- Ależ z ciebie Sherlock Holmes.

- Powiedz to federalnym. Wyczarterowali odrzutowiec w Nowym Jorku; będą tu w ciągu godziny. Możesz być pewien, że dobią się do mojego wsiowego tyłka.

Carlson zrobił zaciętą minę, godną samego Johna Waynea. Dukea jednak zaintrygowało co innego.

- W Nowym Jorku? Dlaczego federalni nie przylatują z Waszyngtonu?

Carlson wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że mieli już z czymś podobnym do czynienia. Dwoje ważniaków pracuje nad tą sprawą. Pewnie trop im się urwał w Nowym Jorku.

Duke miał ochotę zaklaskać w dłonie. Przecucie go nie zawiodło.

- Szeryfie - zaczął ostrożnie - słyszałeś, co się wczoraj stało na Penn Station?

Carlson zwrócił się w stronę szkieletu leżącego na łóżku.

- Penn Station? Jasne. Pokazywali w wiadomościach. Jakiś wyciek gazu czy coś takiego. I to w Święto Dziękczynienia.

Duke wsłuchał się w głos swojego przyjaciela, ale nie wyczuł w nim żadnej fałszywej nuty.

- Z tym wyciekami gazu to jakaś podejrzana sprawa. Wiesz, mój syn, Ronnie, mieszka w Passaic, w New Jersey. Pracuje w Con Edison.

Podlega mu połowa terytorium trzech stanów; nieźle, jak na dzieciaka z Indiany, co?

Carlson patrzył na Dukea pytająco.

- Doskonale. To dobry chłopak.

-No właśnie. W każdym razie, Ronnie zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem, tak, żeby pogadać. Robi to co tydzień. Postanowiłem go zapytać o ten wyciek. I wiesz, powiedział mi coś dziwnego. Okazuje się, że w pobliżu tego kibla na Penn Station nie ma żadnych rur z gazem. Dlatego po rozmowie z Ronnieem zadzwoniłem do policji nowojorskiej, żeby uzyskać więcej informacji. Połączono mnie z F-Bi-aI. A teraz wytłumacz mi, czemu F-Bi-aI interesuje się wyciekami gazu na Penn Station?

Carlson zamyślił się.

- Może to był jakiś atak terrorystyczny... a może federalni po prostu akurat tamtędy przechodzili.

- Może - przytaknął Duke. - Tyle że to nie wszystko. Po tej rozmowie nie mogłem zasnąć. Odkąd Marta odeszła, łóżko wydaje się za duże, wiesz, o co chodzi? Dlatego zacząłem dzwonić po ludziach. Pogadałem sobie między innymi ze starym kumplem ze studiów, który pracuje na kolei.

Spytałem go o wyciek gazu na Penn Station. Powiedział mi, co mówią o tym jego znajomi z roboty. Pomyślałem sobie, takie tam gadanie, kogo oni chcą straszyć?

Ale teraz zaczynam się naprawdę bać.

Carlson nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Duke bardziej wygląda na podekscytowanego niż przerażonego.

- A co mówili, Duke?

Duke zniżył głos, żeby nikt poza Carlsonem go nie usłyszał.

- Że były tam szkielety, szeryfie. Siedem szkieletów rozrzuconych po podłodze kibla.

Carlson wybałuszył oczy z wrażenia. Spojrzał na to, co leżało na łóżku i przeniósł wzrok na Dukea.

- No, no, to już coś. Nie powiem. Artykuł o czymś takim... to byłaby sensacja, prawda? Marzenie każdego dziennikarza.

Duke uśmiechnął się tak szeroko, że o mało nie wypadła mu sztuczna szczeka. - Hej, ja tylko chodzę z tobą na kręgle. Co ja mogę wiedzieć o dziennikarzach?

Duke czuł się, jakby jego kości stanęły w ogniu. Tym razem jednak nie miało to nic wspólnego z artretyzmem. Jeszcze trochę szperania i będzie gotów do opublikowania najważniejszego artykułu w życiu.

W chwili, kiedy zobaczy swoje nazwisko pod nagłówkiem, zapali to cholerne cygaro - pal licho obietnice. Stara prukwa będzie musiała zrozumieć. E tam, nie zrozumie.

Taki już miała urok.

Czyli tak wygląda siedzenie na czatach. Dziwne, zawsze mi się wydawało, że odbywa się w bardziej napiętej atmosferze.

- Tyler podniosła się z krzesła w kącie kawiarni i wyciągnęła rękę. Jej brat ominął kelnera i porwał ją w objęcia. W jego niedźwiedzim uścisku Tyler nie mogła złapać oddechu. Kiedy wreszcie ją puścił, upewniła się, czy telefon komórkowy nadal leży na czarnym stoliku obok szklanki pomarańczowego soku.

- Napięta atmosfera panuje dwa budynki dalej - powiedziała cicho. Trzydziestu ludzi w czarnych garniturach obstawia klinikę, następnych trzydziestu w kombinezonach ochronnych czeka w furgonetkach zaparkowanych za McDonaldsem.

David Ross uniósł brwi, sadowiac się na wyściełanym krześle po drugiej stronie stolika. Kawiarnia była przytulna: czarne stoliki, dębowa podłoga, odkryte ściany z cegły i klientela składająca się głównie z japiszonów sączących kawę z wielkich ceramicznych kubków.

- Czyli nie żartowałaś mówiąc, że to poważna sprawa. Jezu, Tyler, nie powinnaś być tam z nimi?

Tyler usiadła naprzeciwko. Nie chciała się na niego gapić, ale wydawało jej się, że sporo przytył. Powiększyła mu się łysina, a skóra wyglądała blado, jak u anemika. Mimo to w oczach Davida wciąż płonął blask młodości, a jego uśmiech był taki, jak zawsze. Można by nim obdzielić cały oddział, mawiały pielęgniarki w Bethesda, kiedy przychodził do Tyler w odwiedziny po operacji.

- Caufield jest przy Moonie w centrum dowodzenia naprzeciwko kliniki. W razie czego zadzwoni po mnie i będę na miejscu za dwie minuty. To tylko dwadzieścia kilka metrów stąd.

Prawdę mówiąc, Tyler nie sądziła, by stało się to w najbliższym czasie. Trop, który ich tu doprowadził, był delikatnie mówiąc niepewny.

Wkrótce po przyjeździe do motelu pod Gary ekipa sprawdziła telefon.

Okazało się, że poprzedniej nocy ktoś dzwonił z motelu do kliniki Helio.

Recepcjonistka potwierdziła, że podała jakiemuś młodemu mężczyźnie adres kliniki. Tyler i Moon, kierowani przeczuciem, zgodzili się, że trzeba to sprawdzić.

Tyler cieszyła się, że może choć na chwilę zapomnieć o tym, co zobaczyła w Sleepy Hollow. Z każdą chwilą pojawiały się kolejne zagadki, a śledztwo tkwiło w martwym punkcie. Czasami miała ochotę rzucić to w diabły, zostawić wszystko w rękach Caufielda i wrócić do Waszyngtonu.

David potrząsnął głową.

- Dawniej w czasie śledztwa nie myślałaś nawet o śnie. Teraz gawędzisz z bratem w samym środku obławy.

Tyler spojrzała na niego. David przywołał kelnera i zamówił witaminowy napój. To prawda, jeszcze siedem lat temu coś takiego

byłoby nie do pomyślenia. Była wtedy twarda i miała silną motywację. Teraz każda sekunda śledztwa wydawała jej się przeraźliwie męcząca. Pragnęła uwierzyć, że spowodowała to choroba, z którą musiała walczyć - ale wiedziała, że byłaby to tylko część prawdy.

- Jakie były wyniki twojego ostatniego skanu? - spytał David, jakby czytał w jej myślach.

Tyler rozejrzała się po kawiarni. Poczerwieniała, uzmysławiając sobie, że zachowuje się jak idiotka. Trudno jej było o tym mówić nawet własnemu bratu, jakby choroba była wielką tajemnicą. Jakby wszyscy mieli zobaczyć ją w innym świetle, gdyby dowiedzieli się, przez co przeszła.

- W porządku - powiedziała. - Ani śladu po nowotworze. W tym momencie uważają, że jestem wyleczona. Od dwóch lat nie biorę tamoksyfenu, a mój układ chłonny jest czysty.

- To wspaniale - powiedział David i wziął ją za rękę. Nigdy nie ukrywał swoich uczuć, nawet w dzieciństwie. W oczach Tyler był to pierwszy znak świadczący o jego inności. Mimo wszystko przeżyła spore zaskoczenie, gdy przed dziesięcioma laty wyjawiał jej swój sekret. - Żałuję, że nie mam równie dobrych wiadomości o Jasperze. W zeszłym tygodniu musieliśmy zawieźć go do szpitala. Żal ścisnął serce Tyler, gdy zobaczyła, że uśmiech zniknął na chwilę z twarzy Davida. Choć spotykali się ze sobą od studiów, poważnie związał się z Jasperem dopiero po wykryciu u niego wirusa HIV - Znowu zapalenie płuc?

David skinął głową.

- Liczba limfocytów T spadła gwałtownie i pneumokoki przeszły do kontrofensywy. Całą noc siedziałem przy nim w szpitalu.

Zawiesił głos, a Tyler nie wiedziała, co ma powiedzieć. Zawsze opiekowała się Davidem; ale kiedy wyznał jej, że jest gejem, na dobre wyrwał się spod jej skrzydeł.

- Jest osłabiony - ciągnął David - ale wyjdzie z tego. Widzę to w jego oczach. Ma przed sobą co najmniej pięć lat życia.

Tyler ścisnęła w dłoni szklankę z zimnym sokiem pomarańczowym.

- A ty, ma się rozumieć, jesteś ostrożny. Zawsze byłeś ostrożny, prawda?

David popatrzył na nią i złożył dłonie.

- Chyba jeszcze nigdy nie zadałaś mi tak głupiego pytania. Ty.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Tyler ogarnął wstyd.

- Przepraszam, masz rację. Jestem twoją starszą siostrą i nie mam wyboru, muszę gadać różne takie bzdury. To siedzi w moich genach.

- Oczywiście, że jesteśmy ostrożni. Zawsze byliśmy ostrożni. Poza tym, co miesiąc robię sobie badania. Większym zagrożeniem dla mnie są te obskurne nory, które w tym mieście uchodzą za restauracje, niż mój chłopak.

Chłopak. Mimo upływu lat, wciąż czuła się dziwnie na myśl,

że David ma chłopaka. Cóż, przynajmniej ktoś go kochał. Ona sama nie miała tyle szczęścia. Przed oczami stanął jej Michael Dutton. Żalotne. Jak mogła porównywać swoje idiotyczne mrzonki z ciągnącym się od siedmiu lat związkiem Davida?

W życiu Tyler tak długi okres przetrwała chyba tylko jej fryzura.

Nazywała ją jeżem post-chemoterapeutycznym. Przed chorobą zawsze nosiła długie włosy. Kiedy jej wypadły, płakała przez dwie noce. Teraz denerwowała się, kiedy sięgały jej karku. Wydawało się to jakimś dziwnym kaprysem - podobnie jak to było z operacją plastyczną, do której namawiali ją jej ówczesny chłopak i chirurg. Iść pod nóż tylko po to, żeby mieć czym wypełnić zakichany biustonosz?

-To dziwne - powiedział David, wytrącając ją z zamyślenia. - Czasami patrzę na Jaspera i widzę w nim chorobę. Wiem, że jest tym samym człowiekiem, ale w jego krwiobiegu żyje potwór, morderca, który tylko czyha na okazję do ataku.

Tyler zadrżała. Teraz żałowała, że przez ostatnich kilka lat nie poświęciła bratu więcej czasu. Za bardzo pochłonęła ją jej własna walka, narastające trudności w pracy.

- Jest lepiej niż kiedyś. Zestawy leków zmieniają przebieg choroby.

-Ale nie jej naturę - powiedział David. - Czasami myślę o tych wszystkich ludziach mających w sobie HIV, niewinnych nosicielach, skazujących na śmierć takie osoby jak Jasper. Nie spotykaliśmy się wtedy przez pół roku, Tyler. Wystarczył jeden stosunek, jedna chwila słabości w szalecie dyskoteki. Ten wirus jest o wiele sprytniejszy od swoich żywicieli. Nie przepuści żadnej okazji.

Tyler poczuła, że płoną jej policzki. Tknęła ją jakaś niejasna, niesprecyzowana myśl. Coś w związku z wirusem i żywicielami. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero głos kelnera, który przyniósł Davidowi witaminowy napój.

W szklance była gęsta, ciemnobrązowa ciecz, tego samego koloru co koszula kelnera. Tyler była ciekawa, czy to zbieg okoliczności, czy może jakiś chwyt marketingowy.

- Dlaczego właściwie chciałaś się dziś ze mną spotkać? - spytał David, spoglądając przez ramię na wysadzaną drzewami ulicę widoczną za oknem. -Zabijasz czas w oczekiwaniu na tego twojego bandytę?

- Prawdę mówiąc, chciałam pogadać z kimś z zewnątrz. Ta sprawa wypala mnie emocjonalnie. Nie wiem, czemu tak się nią przejęłam.

David, wyraźnie zaniepokojony, powiodł palcem po szklance.

- Z tego, co mówiłaś, wynikało, że ścigacie jakiegoś zwyrodniałego mordercę.

Tyler skinęła głową. Po tym, co zobaczyła w motelu Sleepy Hollow zaczęła wierzyć, że Vincent Moon przynajmniej w części ma rację; Jack Collier prawdopodobnie odbywał wędrowkę przez kraj i zabijał wszystkie napotkane osoby. Widziano go, jak wsiadał do

autobusu w Nowym Jorku; w motelu znaleziono jego włosy i próbki moczu - pasujące do tych, które pobrano z deski klozetowej w szalecie na Penn Station. W dodatku ukradł dzipa martwej dziewczyny.

Z drugiej strony, zostawił w jej pokoju dziesięć tysięcy dolarów.

A w mieszkaniu Justina Moorea pięćdziesiąt tysięcy, wraz z martwym kotem. Teraz prawdopodobnie był w drodze do kliniki stosującej alternatywne metody leczenia raka.

Czy planował atak terrorystyczny? Może szykował jakąś wyrafinowaną zemstę za to, że wyrzucono go z Harvardu; a jego zniechęcony promotor odkrył lekarstwo na raka? I czy to naprawdę on zrobił z tym lekarstwem coś, co zmieniło je w tak zabójczą broń?

Tyler wciąż nie miała pojęcia, czym kieruje się Jack Collier.

Rozmawiała nawet po raz drugi z jego rodzicami zastępczymi, ale nie powiedzieli jej nic nowego. Jack nie kontaktował się z nimi od swojego wyjazdu z New Jersey przed siedmioma laty. Po śmierci swoich prawdziwych rodziców, Jack praktycznie był zdany wyłącznie na siebie.

- Jest tyle elementów, które do niczego nie pasują - powiedziała wreszcie. - Bardzo przeżywam to śledztwo, ale nie tylko ze względu na jego charakter. Chodzi przede wszystkim o moją reakcję na te wszystkie zdarzenia.

- Nie ma się czemu dziwić. Pewnie pod wpływem tej sprawy budzą się w tobie wspomnienia walki z rakiem. Może i jesteś wyleczona, ale blizny pozostały.

Zamilkł i zaczerwienił się.

- Przepraszam. Nieszczęśliwy dobór słów.

Tyler uśmiechnęła się.

- Nie przejmuj się. To prawda, że wciąż mam blizny. Widzę je każdego ranka, kiedy się ubieram. Ale chodzi o coś więcej. Patrzę, jak Moon poluje na tego chłopaka - dosłownie - i chcę go powstrzymać. Chcę, żeby to wszystko się skończyło. Ale wiem, że to niemożliwe. To tak jakbym sunęła przed siebie po torach wiedząc, że wkrótce dojdzie do katastrofy...

Przenikliwy terkot telefonu całkowicie ją zaskoczył. Wyciągnęła rękę, omijając szklanekę o ułamek centymetra. Jeszcze zanim podniosła słuchawkę do ucha, usłyszała głos Caufielda. Zbladła i zerwała się z krzesła.

Nie wierzyła, że stało się to akurat w tym momencie. Zaczęło się! Wnętrze kawiarni zawiroowało jej przed oczami.

- Katastrofa? - spytał David.

Tyler skinęła głową. Ruszyła w stronę drzwi.

- Właśnie zauważyli Jacka Colliera. Idzie w stronę kliniki. Niesie plecak; Bóg jeden wie, co jest w środku. Jeśli Moon zacznie strzelać...

- Ja zapłacę - krzyknął David, ale Tyler go nie słuchała. W jej uszach brzmiały słowa Caufielda.

"Niech pani tu przyjdzie i to szybko. Moon ma ze sobą dość uzbrojonych ludzi, żeby rozpętać tu małą wojnę. Sądząc po jego minie, to właśnie zamierza zrobić!"

14

Było to najdłuższe dziesięć metrów w życiu Jacka. Stał na krawężniku, w miejscu, gdzie wysiadł z taksówki i wpatrywał się w niski budynek, z oknami schowanymi za zamkniętymi okiennicami. Do drzwi frontowych prowadził wąski chodnik, przecinający wypielegnowany trawnik, zupełnie nie pasujący do ulicy, przy której roilo się od kawiarni, sklepów z płytami, barów i restauracji szybkiej obsługi. Po prawej stronie budynku w oknie wystawowym apteki tkwiła reklama jakiegoś nowego mydła antybakteryjnego.

W środku wznosiła się sięgająca po sam sufit jasnoczerwona piramida pudeł, tylko częściowo zasłonięta przez furgonetkę z jakiejś pizzerii. Po lewej stronie budynku widok był równie znajomy - znajdował się tam McDonalds, z kolorowym, otoczonym siatką placem zabaw od frontu i jasnożółtą strzałką wskazującą drogę do okienka dla kierowców. Wznoszące się ku niebu złote łuki w świetle wschodzącego słońca błyszczały promiennie. Za szybą widać było ludzi pijących kawę i jedzących kanapki ze styropianowych pudełek.

Jack przeniósł wzrok z powrotem na klinikę. Zdawał sobie sprawę, że Angie mogła stąd już dawno wyjechać, ale pozostawał promyk nadziei, który wypełniał jego serce podnieceniem, tęsknotą, a w największym stopniu - lękiem. Że się zmieniła, że w jakiś sposób ułożyła sobie życie bez niego, że lek schowany w jego plecaku nie będzie mógł jej pomóc. Dwa lata to dużo czasu. W laboratorium czas biegł szybko, jak próbówki w wirówce.

Jednak tutaj, w świecie rzeczywistym, czas kapał powoli, jak krople roztopionego szkła.

Jack ścisnął paski plecaka i ruszył w stronę kliniki. Pomyślał, że jak na tę porę jest spory ruch, ale większość przechodniów miała na sobie garnitury, więc nie było powodów do niepokoju. Zresztą zdążył już przywyknąć do myśli, że ma przy sobie tyle pieniędzy. Trzysta dolarów w portfelu, sto dziewięćdziesiąt tysięcy w plecaku; w tej chwili wydawały się tylko zbędnym ciężarem.

Podszedł do drzwi kliniki i wcisnął czarny guzik umieszczony w połowie framugi. Wejście było nieoznakowane, a zamknięte okiennice nie pozwalały zobaczyć co się dzieje w środku. Jack wiedział, że kliniki stosujące alternatywne metody leczenia zwykle utrzymywały szczegóły swojej działalności w tajemnicy. Ponieważ te metody nie były uznawane przez specjalistów, właściciele klinik unikali zbytniego rozgłosu; owszem, musieli się reklamować, żeby przyciągnąć klientów, ale zbyt szczegółowe publikacje na temat przebiegu eksperymentalnych kuracji mogłyby skończyć się zamknięciem placówki. Nie chodziło o to, że były one

niebezpieczne - po prostu, podobnie jak magia, w dużym stopniu opierały się na wierze pacjentów w ich skuteczność, wykluczającej zrozumienie zachodzących w trakcie kuracji procesów.

Kiedy zajrzało się za kurtynę, wychodziło na jaw, że Czarnoksiężnik jest tylko karłem, podobnie jak cała reszta. Jego moc brała się z wiary tłumu.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich miejscowy Czarnoksiężnik. Zmierzył Jacka badawczym spojrzeniem. Jak należało oczekiwać, był niski, najwyżej metr sześćdziesiąt, z czarną czupryną. Miał osowiałą, ale przyjazną twarz i małe niebieskie oczka. Nosił biały kitel, a z kieszeni na piersi wystawało kilkanaście ołówków. Nie wyglądał na lekarza; nie było od niego to charakterystyczne samouwielbienie i aura wyższości.

- W czym mogę panu pomóc? - spytał z dłonią na kłamce. Jack odkaslnął. W drodze z motelu opracował plan działania. Wiedział, że Angie nie zgłosiłaby się tu pod własnym nazwiskiem; musiała przyjąć założenie, że Jack będzie jej szukał i na pewno chciała utrudnić mu zadanie. Poza tym nie sądził, by członkowie personelu kliniki pozwolili mu przejrzeć akta. Ludziom, którzy szukali ratunku w medycynie alternatywnej, z pewnością zależało na dyskrecji.

Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko przekupstwo. Jack zdjął plecak i rozsunął suwak. Mężczyzna stojący w drzwiach wybałuszył oczy.

- Wiele czytałem o pańskich badaniach i chciałbym udzielić panu wsparcia. Mogę wejść?

Mężczyzna zakaszłał i skinął głową. Kuracja alternatywna nie była objęta ubezpieczeniem i nie znajdowała uznania u potencjalnych sponsorów.

To, że Jack był niedbale ubranym chłystkiem, nie miało znaczenia, skoro nosił przy sobie dość pieniędzy, by zapewnić klinice byt przez najbliższych kilka miesięcy.

- Nazywam się Kendrick - powiedział mężczyzna, prowadząc Jacka wyłożonym dywanem korytarzem. Ściany były pomalowane na żółto, a dywan składał się ze splecionych ze sobą brązowych włókien, wyglądających na naturalne. - Założyłem tę klinikę razem z moim współnikiem, doktorem Alekiem Greenstockiem. Jeśli słyszał pan o naszych badaniach, musi pan znać jego nazwisko. Zeszłej jesieni opublikował artykuł w "Alternative Journal".

Jack nigdy w życiu nie słyszał o żadnym z nich ani nie czytał o klinice Helio. Wiedział jednak trochę o medycynie niekonwencjonalnej.

Prowadząc swoje badania w Harvardzie korzystał z wielu alternatywnych pomysłów, choć jego doświadczenia oparte były wyłącznie na czystej nauce. Zanim skoncentrował się na terapii bakteryjnej, przeanalizował wszelkie inne metody leczenia, szukając takiej, która mogłaby pomóc Angie.

- Tak, ten artykuł był bardzo interesujący - skłamał. Musiał podtrzymać rozmowę i był pewien, że mu się to uda. - Śledzę badania doktora Greenstocka, odkąd moja siostra dowiedziała się,

że ma raka jajników w czwartym stadium. To było mniej więcej dwa lata temu.

Weszli do przestronnego holu wyłożonego puszystym jasnoniebieskim dywanem. Na środku stały kanapy, a przy drzwiach wiodących w głąb budynku dyżurowała za biurkiem ubrana na niebiesko pielęgniarka.

Najważniejszym elementem wystroju było ogromne akwarium, zajmujące całą ścianę. Nawet z odległości kilku metrów Jack bez trudu rozpoznał ryby pływające w zbiorniku. Długie na mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów, miały trójkątne płetwy grzbietowe i umięśnione ogony. Poruszały się z wdziękiem w przejrzystej wodzie, malując zwiewne cienie na grubym szkle.

- Młode rekiny - powiedział cicho. Po chwili uśmiechnął się. Angie była zdesperowana, ale nie straciła głowy. Wybrała terapię, którą uznała za najbardziej obiecującą. - Terapia oparta na żywych komórkach - z chrząstki rekinów, które są wstrzykiwane bezpośrednio do nowotworów.

Kendrick skinął głową.

- Prace nad tą metodą rozpoczęły się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym, na długo przed powstaniem obecnej koncepcji kuracji chrząstką rekina. Pierwszym człowiekiem, który odkrył, że żywe komórki z jednego organizmu są zdolne do wiązania się z podobnymi komórkami innego organizmu, był szwajcarski lekarz Paul Niehans. Wstrzykiwał zdrowe komórki pierwotnie pobrane od zwierząt hodowlanych do chorych narządów ludzkich. Rezultaty były naprawdę obiecujące.

Stanęli przed biurkiem pielęgniarki dyżurnej, która wcisnęła guzik otwierający drzwi prowadzące w głąb budynku. Spojrzała na Jacka wyniośle i ponownie zatopiła się w lekturze jakiegoś kolorowego pisma. Za drzwiami znajdował się korytarz; po obu jego stronach ciągnęły się dwa rzędy zamkniętych drewnianych drzwi. Jack usłyszał charakterystyczne piski i szum aparatury medycznej, ale na podstawie samych dźwięków nie był w stanie stwierdzić, co to za urządzenia. Może mijali sale terapii - może w którejś z nich właśnie w tej chwili przebywała Angie. Serce zabiło mu mocniej. Z wysiłkiem skupił się na roli, jaką mu przyszło odgrywać.

- Dziesięć lat później - ciągnął Kendrick - niemieccy naukowcy zaczęli wykorzystywać tkankę pobieraną z pępowiny do procesu regeneracji uszkodzonych układów odpornościowych. Przez następnych kilkadziesiąt lat kuracji takiej poddało się prawie osiemdziesiąt tysięcy ludzi, w tym Pablo Picasso, co najmniej jeden papież i wiele hollywoodzkich gwiazd.

Razem z doktorem Greenstockiem usprawniliśmy tę metodę i zaczynamy uzyskiwać naprawę zdumiewające wyniki.

Kendrick otworzył drzwi gabinetu na końcu korytarza i gestem zaprosił Jacka do środka. Pokój urządzony był wyjątkowo skromnie - na środku stało stalowe biurko, które wyglądało jak z demobilu, a pod ścianą wznosiła się szafa wypełniona książkami o onkologii. Kendrick przesunął dwa wyściełane krzesła i usiadł naprzeciwko

Jacka. Jego wzrok odruchowo powędrował ku plecakowi z pieniędzmi.

- Skoncentrowaliście się panowie na chrząstce rekina - zgadywał Jack - ponieważ badania potwierdzają jej wpływ na hamowanie rozrostu nowotworów. Z tego, co czytałem, tkanka pobrana od rekina może zwięzać naczynia krwionośne nowotworu; być może właśnie dlatego rekiny rzadko zapadają na raka, nawet gdy podda się je działaniu wielu czynników rakotwórczych.

Kendrick uśmiechnął się, zadowolony, że Jack rozumie, w czym rzecz.

- Terapia przy użyciu tkanki rekina to tylko jedno z wielu naszych osiągnięć. Stosujemy też wyciąg z grasicy, pępowiny płodów kozich i cielęcych oraz wątroby pobrane z płodów rebusów. Jeśli chce pan przyprowadzić swoją siostrę na wstępne badania, moglibyśmy ustalić plan kuracji.

Jack skrzyżował ramiona na plecaku, który trzymał na kolanach.

- Szczerze mówiąc, istnieje możliwość, że moja siostra już jest jedną z pana pacjentek. Z tego właśnie powodu chciałbym udzielić panu wsparcia finansowego. Muszę się tylko upewnić, czy ona rzeczywiście tu przebywa.

Uśmiech zastygł na ustach Kendricka. Przeniósł wzrok z plecaka na twarz Jacka. To podejrzane, żeby taki gówniarz miał tyle forsy.

- Nie wolno mi ujawniać nazwisk naszych pacjentów ani ich obecnego stanu zdrowia. Te informacje są utajnione. Ale skoro jest pan członkiem rodziny... cóż, mógłbym w tej sytuacji zrobić wyjątek. Jak się nazywa pana siostra?

Jack wiedział, że Kendrickowi zależy na pieniądzach; a jednak, sprawa nie była prosta. Rozsunął suwak i zaczął powoli wyjmować z plecaka pliki studolarowych banknotów.

- Nazywa się Angie Moore, ale nie sądzę, żeby zgłosiła się tu pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Nasz ojciec jest radiologiem i za nic w świecie nie zgodziłby się na to, żeby poddała się kuracji alternatywnej.

Uważa, że jedyną nadzieją jest bardziej agresywna terapia inwazyjna.

Kendrick uniósł brwi.

- W czwartym stadium raka jajników? Nic dziwnego, że wolała alternatywne metody leczenia. Cóż, bardzo chciałbym panu pomóc, ale skoro nie wie pan, pod jakim nazwiskiem się do nas zgłosiła, nie mogę nic zrobić.

- A zdjęcia? - spytał Jack. - Może mają je państwo w dokumentacji medycznej. Znam jej dane fizjologiczne.

Pochylił się do przodu i położył na skraju biurka trzy pliki banknotów.

Kendrick spojrział na nie i szybko podjął decyzję. Trzydzieści tysięcy dolarów równało się dziesięciu pacjentom - bez szkody dla rocznego bilansu.

Podniósł się i podszedł do szafy. Wyjął grubą księgę w plastikowej oprawie.

- To księga rejestracyjna z ubiegłego roku. Fotografujemy wszystkie osoby przystępujące do naszego programu. Terapia trwa przeszło dziewięć miesięcy, więc między pacjentami często zawiązują się przyjaźnie; dzięki tej księdze mogą pozostawać ze sobą w kontakcie nawet po powrocie do normalnego życia.

Jack wziął od niego tom i zaczął przewracać kartki. Na każdej stronie znajdowało się dwanaście kolorowych zdjęć, w czterech rzędach po trzy.

Większość pacjentów wyglądała na pięćdziesiąt - sześćdziesiąt lat, choć było też zaskakująco dużo ludzi młodych, a nawet kilkoro dzieci i nastolatków.

- Rozumiem, że pańscy pacjenci cały okres terapii spędzają w klinice?

Kendrick właśnie z namaszczeniem chował banknoty do górnej szuflady biurka.

- Tak. W czasie terapii żywymi komórkami nasi pacjenci są na ściśle witaminowej diecie, mającej na celu obniżenie ogólnej toksyczności organizmu. Ponadto regularnie robimy im lewatywy z kawy. Jak wykazały badania, kofeina rozszerza drogi żółciowe i żyły w wątrobie. No i oczywiście stale monitorujemy poziom elektrolitów i zawartość białych krwinek.

Jack skrzywił się na myśl, że Angie musiała to wszystko znosić. Z drugiej strony, nie było to gorsze od chemo - czy radioterapii. Ze wszystkich alternatywnych metod leczenia raka, terapia żywych komórek wydawała się najbardziej obiecująca. Jack nie żałował pieniędzy przekazanych Kendrickowi.

Przeglądał księgę rejestracyjną, wodząc wzrokiem po twarzach uwiecznionych na zdjęciach. Na widok każdej kobiety w wieku Angie jego serce wzbierało nadzieją, ale zaraz potem przeżywał rozczarowanie: nie ten kolor włosów, nie ten kolor oczu, za niska, za gruba. Przebrnął już przez większą część dokumentacji, kiedy jego oczy spoczęły na jednym ze zdjęć, umieszczonym w prawym dolnym rogu strony. Na pierwszy rzut oka widoczna na nim kobieta wydawała się za stara, ale było w niej coś, co przykuło uwagę Jacka. Przypomniała mu się dziewczyna z motelu Sleepy Hollow, o uśmiechających się oczach.

- O mój Boże - wyszeptał. Angie. Jej twarz przecinały bruzdy, czarne włosy zostały krótko obcięte, ale to bez wątpienia była ona. Jack szybko spojrzął na podpis pod zdjęciem. Karla Dawson, wiek - dwadzieścia cztery lata, mieszkanka New Jersey. Na widok przybitej pod spodem czerwonej pieczętki serce w nim zamarło: Wypisana, 24.08.

Natychmiast pokazał tę stronicę Kendrickowi.

- To ona, ale tu zaznaczono, że została wypisana w sierpniu.

Kendrick zmrużył oczy.

- Tak, pamiętam Karłę. Czwarte stadium raka jajników.

Spędziła u nas prawie pięć miesięcy. W jej przypadku terapia nie dawała tak dobrych rezultatów, jak u niektórych pacjentów, więc postanowiła się wypisać. O ile pamięć mnie nie myli, wybierała się do innej kliniki, o której wyczytała w jednym z pism.

Jack podniósł się. Ręce mu drżały.

- Wie pan, dokąd pojechała? Kendrick potrząsnął głową. Szybko zamknął szufladę, jakby obawiał się, że Jack odbierze swój dar.

- Niestety nie. W czasie pobytu u nas dzieliła pokój z młodą kobietą chorą na raka płuc, Sandrą Fox. Bardzo się do siebie zbliżyły. Może ona coś wie.

Kendrick obszedł biurko i otworzył drzwi. Jack przycisnął plecak do piersi i powłókł się za nim. Czuł pod palcami zapakowane próżniowo płytki Petriego; wyobrażał sobie maleńkie bakterie paciorkowca, walczące o życie.

Uderzyła go ironia sytuacji: Angie szukała nadziei w alternatywnych metodach leczenia, a on szukał jej - z prawdziwym lekarstwem przyciśniętym do piersi.

Usiłując zapanować nad myślami, wyszedł w ślad za Kendrickiem na korytarz. Wiedział, że w tych okolicach jest mnóstwo podobnych klinik, stosujących o wiele brutalniejsze terapie. Musiał zaufać instynktowi Angie, wierzyć, że nie zrobi niczego, co mogłoby jej zaszkodzić. Umierała, ale miała jeszcze sporo czasu.

Prawdopodobnie.

- Proszę bardzo - powiedział Kendrick, podchodząc do kolejnych drzwi. - Sandra to ranny ptaszek, więc pewnie już nie śpi. Jest jedną z naszych naj sympatyczniejszych pacjentek i widać u niej wyraźną poprawę, mimo że przybyła do nas w zaawansowanym stadium choroby. Zastosowaliśmy owoce pepowiny...

Jack otworzył drzwi na oścież i przecisnął się obok Kendricka. Pod przeciwległą ścianą stało szpitalne łóżko. Po jego obu stronach umieszczono aparaty do kroplówek, a z sufitu zwisał telewizor na obracanej podstawie. Przez na wpół zasłonięte małe okno sączyło się światło dzienne. W powietrzu unosił się znajomy, sterylny zapach, który przywoływał bolesne wspomnienia.

W takim pokoju umarła matka Jacka.

Odetchnął głęboko i spojrzał na leżącą w łóżku kobietę. Wyglądała na jakieś czterdzieści lat. Ważyła nie więcej niż czterdzieści kilo, a jej kończyny były przeraźliwie chude. Na głowie nie miała włosów, a spiczaste uszy sprawiały, że wyglądała jak elf czy inny bajkowy stwór. Siedziała oparta na dwóch grubych poduszkach i czytała książkę. Choć już na pierwszy rzut oka było widać, że trawiący ją rak osiągnął zaawansowane stadium, biło z niej jakieś nieuchwytnie piękno i siła życia. Jack czuł, że ogarnia go wzruszenie. Znowu przypomniała mu się matka, w tych ostatnich dniach: rurki wychodzące z jej ciała, pikanie monitora pracy serca, lekarze biegający wkoło.

Pamiętał, jak siedział u jej boku i błagał, by nie umierała, nie zostawiała go samego. A ona spojrzała na niego oczami, w których była niesamowita siła, siła kogoś, kto już widział, co jest po drugiej stronie. "Nie mam wyboru, Jack.

Przykro mi, ale nie mam wyboru".

A teraz, wiele lat później, w innym pokoju szpitalnym, w

którym unosił się ten sam zapach, Jack bał się odezwać.

Kobieta podniosła głowę znad książki i uśmiechnęła się do Kendricka.

- Ten rodzaj terapii będzie mi chyba bardzo odpowiadał, panie doktorze.

Jack zaczerwienił się, a Kendrick żartobliwie pogroził jej palcem.

- Sandra, bądź grzeczna. Ten młody człowiek nie jest częścią twojej terapii. Przyszedł tu z powodu Karli.

Sandra uważnie przyjrzała się Jackowi. Po chwili zatrzasnęła książkę i uśmiechnęła się szeroko.

- Jesteś Jack, prawda? Ten od Angie.

Wzruszenie ścisnęło Jacka za gardło. Zrobił krok do przodu.

- To prawda. Mówiła pani o mnie?

- Codziennie. Rozmawialiśmy o tobie przy lewatywach z kawy.

- Sandra... - zaczął Kendrick, ale Jack nie dał mu dokończyć.

- Czy z nią wszystko w porządku? Jak się czuła, kiedy opuszczała klinikę?

Sandra wzruszyła ramionami i spojrzała znacząco na kroplówki, do których była podłączona.

- Wyszła stąd o własnych siłach. To ci powinno wiele powiedzieć. Nie zmieniła się w rekina, mimo usilnych starań doktora Kendricka.

Mrugnęła do lekarza, który stał pod drzwiami, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Jack podszedł jeszcze bliżej łóżka.

- Wie pani, dokąd pojechała?

- Czyli w końcu zdecydowałaś się ją odszukać. Czemu tak późno?

Pytanie to, niczym zbląkany pocisk, ugodziło Jacka prosto w serce.

Miał ochotę wyciągnąć z plecaka płytkę Petriego i wcisnąć paciorkowce A do kroplówki kobiety. Chrzastki wszystkich rekinów na tym świecie nie mogły dorównać zmodyfikowanym przez niego bakteriom.

Wiedział jednak, że nie może uzdrowić tej kobiety - jeszcze nie.

Potrzebował bakterii dla Angie. Poza tym, po artykule Duttona w "Science" i próbach klinicznych, które już z pewnością prowadzone były w Harvardzie, wszystkie alternatywne kliniki wkrótce zostaną zamknięte i pacjenci tacy jak Sandra otrzymają autentyczny i skuteczny lek na raka.

- Proszę, czy może mi pani powiedzieć, dokąd ona pojechała?

Sandra westchnęła.

- Miłość, jest jak chemoterapia; jedno i drugie przyprawia mnie o mdłości. Angie pojechała do Nevady. Do kliniki pod Las Vegas, która nazywa się Bosley Inn. Brzmi to jak nazwa burdelu; ale prowadzi ją lekarz, który nazywa się Liam Bosley.

Kendrick syknął przez zęby.

- Bosley. Znam go. Prawdziwie eksperymentalne metody.

Terapia cieplna i zioła holistyczne.

Jack słuchał go jednym uchem. Kręciło mu się w głowie. Do Las Vegas było ponad półtora tysiąca kilometrów. Przynajmniej cztery dni jazdy samochodem. Za długo. Będzie musiał znaleźć inny sposób.

- Dziękuję za pomoc - powiedział. Był zdeterminowany. Znowu odczuł pokusę, żeby wyjąć płytkę Petriego i odpłacić się tej kobiecie za to, co dla niego zrobiła, darem największym z możliwych. Potem jednak pomyślał o Angie. Nie miał wyboru.

Wyszedł z kliniki na świeże powietrze, dygocząc na całym ciele.

W pierwszej chwili chciał zatrzymać taksówkę i wrócić po dzipa, zaparkowanego trzy przecznice dalej w podziemnym parkingu. Jednak gdy zakręciło mu się w głowie, uprzytomnił sobie, że od prawie dwóch dni nie miał nic w ustach.

Instynktownie ruszył w kierunku McDonalda. Słaniał się na nogach, ale zapach frytek i świeżo odgrzanych w mikrofalówce hamburgerów sprawił, że krew zaczęła nieco szybciej krążyć mu w żyłach. W drzwiach zderzył się z dwiema wychodzącymi z baru nastolatkami.

Gdyby zatrzymał się i spojrzął na swoje odbicie w szybie, zobaczyłby coś bardzo dziwnego: kilkunastu ludzi w panterkach, z karabinami półautomatycznymi wycelowanymi w jego plecy.

15

Czekać na mój rozkaz!

Głos Moona rozległ się w plastikowej słuchawce w uchu Tyler. Od wejścia do McDonalda dzieliło ich około pięciu metrów. Przed nimi biegło sześciu agentów F-Bi-aI uzbrojonych w karabiny. Decyzja, by zaczekać, aż Collier wyjdzie z kliniki, wynikała bardziej ze względów taktycznych niż z ostrożności. Moon wolał nie posyłać swoich ludzi do przypominającego labirynt wnętrza budynku. Początkowo planował zwinąć Colliera z ulicy, ale Jack ku zdumieniu wszystkich poszedł prosto do McDonalda.

- Otoczcie restaurację - polecił Moon, gdy pierwszy agent zbliżył się do szklanych drzwi. - Ja i doktor Ross wejdziemy pierwsi. Densmore i Paget, będziecie nas asekurować. Reszta niech zajmie pozycje na placu zabaw.

Agenci ukłękli po obu stronach wejścia do budynku i wycelowali w drzwi lufy karabinów. Nagle w ciszę, która do tej chwili panowała wokół, wdarły się okrzyki przerażenia. Przechodnie w panice zaczęli rozbiegać się na wszystkie strony, a zza pleców Tyler dobiegł pisk opon samochodu zatrzymanego przez agenta F-Bi-aI. Na razie żaden z klientów McDonalda nie zauważył zamieszania na zewnątrz - słońce było już tak wysoko, że rzucało oślepiający blask na szyby okien od frontu. W końcu jednak ktoś musiał zobaczyć, co się dzieje.

Pytanie tylko, jak zareaguje Collier? I co ma w swoim plecaku?

Tyler z bijącym sercem analizowała wszystkie możliwości. Jeśli Collier miał bakterie w postaci lotnej - w paczce przetrwalników, w rozpylaczu zawierającym jakiś płyn albo nawet w małym ładunku wybuchowym - mogło dojść do prawdziwej katastrofy. Moon jednak pozostał głuchy na jej sugestie, że jako pierwsi kontakt z podejrzanym powinni nawiązać naukowcy ubrani w kombinezony zabezpieczające. Chciał Colliera dla siebie i był gotów ryzykować życie własnych ludzi, byle dopaść Pożeracza Karmy. Pozwolił Tyler wziąć udział w akcji; na nic więcej z jego strony nie mogła liczyć.

- Hasło brzmi "Karma" - ciągnął Moon z niesamowitym spokojem. - Pamiętajcie, celujcie w rdzeń i głowę. Nawet ciężko ranny stanowiłby zagrożenie. Uwaga, zbliżam się do strefy kontaktu. Bądźcie w gotowości.

Wyjął z kabury pod pachą rewolwer kaliber czterdzieści pięć i podszedł do szklanych drzwi. Na ten widok Tyler zrobiło się gorąco. Ona sama postanowiła nie brać ze sobą broni. Ciężko jej było podjąć taką decyzję po tym, co zobaczyła w Sleepy Hollow, ale nie ufała sobie. Nie wiedziała, czy stojąc oko w oko z Jackiem Collierem byłaby w stanie pociągnąć za spust. A to oznaczało, że pistolet stanowiłby dla niej większe zagrożenie, niż był tego wart.

Spojrzała na palce Moona, zaciskające się na klamce. Poczowała gwałtowny przypływ adrenaliny. Cały świat wokół zniknął. Już od dawna nie brała udziału w prawdziwej akcji; ostatnią był nalot na siedzibę sekty w Atlancie, ale to się właściwie nie liczyło. Siedziała wtedy sto metrów od miejsca całego zdarzenia, w furgonetce, w której mieścił się punkt dowodzenia.

Słyszała strzały, widziała członków sekty wyciąganych z magazynu, ale nie spotkała się z nimi twarzą w twarz.

Jeśli Jack Collier zginie, będzie widziała jego krew.

Moon znieruchomiał z ręką na klamce i obejrzał się na Tyler. Głośnik nadajnika zasłaniał jego usta i podbródek, a oczy ginęły w blasku słońca odbitym od szkieł okularów.

- Niech się pani trzyma pół metra za mną, po lewej stronie. Jeśli zorientuje się pani, że istnieje zagrożenie biologiczne, proszę dać mi wyraźny sygnał. A potem zejść z linii strzału.

Gwałtownym ruchem pociągnął drzwi do siebie i wszedł do restauracji.

Tyler pobiegła za nim. Za plecami słyszała szybkie kroki Densmorea i Pageta - Murzyna mniej więcej w wieku Densmorea, z całą pewnością korzystającego z usług tego samego fryzjera. Moon skręcił w prawo, omijając kontuar umieszczony przy oknie. Oczom agentów ukazało się mało oryginalne wnętrze restauracji: trzy rzędy białych plastikowych stolików przymocowanych do czarno-białej posadzki. Niemal wszystkie były zajęte, kilka wolnych miejsc zostało jeszcze tylko przy kontuarze pod oknem. W głębi sali znajdowały się trzy kasy, ustawione na długiej białej marmurowej ladzie.

Przed każdą z nich czekała kilkusobowa kolejka. Tyler

dostrzegła Jacka przy pierwszej z kas. Przed nim stała taca z górą jedzenia. Ze cztery hamburgery, dwa napoje i olbrzymia porcja frytek.

Moon zdążył przejść kilka kroków, zanim ktoś go zauważył i zaczął krzyżeć. Rozległ się huk spadających na podłogę tac, kubków z napojami i kostek lodu. Jeden ze stołków przewrócił się, a wraz z nim na posadzce wylądował gruby student w szarym dresie. Potem zapanowała martwa cisza.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę agentów F-Bi-aI. Tyler nie odrywała oczu od Colliera. Jack powoli odwrócił się, poprawiając ciężki plecak przewieszony przez lewe ramię. Kiedy zobaczył Moona mierzącego w jego stronę z pistoletu, jego oczy stały się okrągłe jak talerze. Twarz Colliera już wcześniej blada, zrobiła się popielato-biała. Moon machnął pistoletem i ludzie stojący za Jackiem rozbiegli się na boki.

- Jacku Collier - krzyknął. - Nazywam się Vincent Moon, jestem agentem F-Bi-aI. Opuść ręce do bioder!

Collier cofnął się o krok i zahaczył biodrem o tacę z jedzeniem, zrzucając ją na drugą stronę lady. Zawartość kubków chlusnęła na koszulę pracownika restauracji.

- Ręce przy biodrach! - powtórzył Moon, choć Collier już to zrobił. - Densmore, podejdź do mnie od prawej!

Tyler usłyszała sapanie Densmorea, który prześliznął się obok niej.

Dwaj mężczyźni w niemal identycznych niebieskich garniturach zeszli mu z drogi.

Moon krok po kroku posuwał się naprzód, jakby nieco mniej utykając niż zwykle. Ani na chwilę nie opuścił pistoletu, wymierzonego w pierś Jacka.

Tyler oczami wyobraźni zobaczyła błysk wystrzału, pocisk przesywający Colliera i jego plecak, rozrywający zapakowaną w saran paczuszkę zawierającą zasuszone przetrwalniki bakteryjne, które następnie unoszą się ku systemowi wentylacyjnemu restauracji.

- Moon - powiedziała zniżonym głosem - nie celuj w jego pierś.

Moon nie zareagował. Collier wyglądał, jakby był w głębokim szoku.

Jego usta otwierały się i zamykały. W końcu udało mu się wydobyć z siebie głos.

- Zachowajmy spokój...

- Zamknij mordę! - wrzasnął Moon. Zatrzymał się trzy metry przed Collierem. Lekko zgarbił ramiona. - Ten człowiek po mojej prawej to agent Densmore. Za chwilę podejdzie do ciebie i zabierze ci plecak.

Tylko drgniesz, a odstrzelę ci łeb. Zrozumiano?

Jack przez chwilę wpatrywał się w Moona. Potem stało się coś dziwnego. Strach zniknął z jego oczu. Tyler nie wiedziała, czy to oznaka rezygnacji czy szaleństwa, ale ten dzieciak nie bał się już Vincenta Moona. W sumie trudno się dziwić. Jack Collier miał

za sobą straszne życie.

- To nie będzie potrzebne - powiedział cicho. - Dam wam to, czego chcecie. Zatrzymam tylko to, co do mnie należy.

Zdjął plecak z ramienia i wyciągnął rękę do suwaka. Densmore odskoczył do tyłu i podniósł karabin. Moon upadł na jedno kolano, ściskając pistolet w obu dłoniach. Tyler odruchowo rzuciła się do przodu.

-Jack - krzyknęła, mijając Moona. Oby tylko nie zaczął strzelać. - Może odstawisz plecak i porozmawiamy?

Poczuła na sobie wściekłe spojrzenie Moona. Świadomie sprzeciwiła się jego rozkazom. Przypomniała sobie, że przynajmniej teoretycznie są równi rangą. To ona była naukowcem i wiedziała, jak niebezpieczne może być to, co Jack Collier trzymał w dłoniach. Podobnie jak Vincent Moon, nie chciała skończyć jako szkielet.

- Możecie wziąć te pieniądze - powiedział Jack, patrząc na nią. - Nie potrzebuję ich. Ale płytkę Petriego zatrzymam. Dajcie mi jeszcze tydzień, a i ją dostaniecie.

Tyler zatrzymała się, rozkładając ręce. Nie miała pojęcia, o czym Collier mówi, ale chciała, by wiedział, że chętnie go wysłucha i że nie jest uzbrojona. Była naukowcem, tak jak on. Była również śmiertelnie przerażona, ponieważ od śmierci dzieliły ją dosłownie centymetry.

- Jakie pieniądze, Jack?

Jack uniósł brwi, nie odrywając oczu od Tyler.

- Kim pani właściwie jest, do licha? I po cholere wam tyle broni?

Chłopak wyraźnie postradał zmysły. Tyler musiała uważać.

- Nazywam się Tyler Ross. Jestem naukowcem zatrudnionym w F-Bi-aI.

Jack jakby coś zrozumiał.

- Czyli sprowadzili tu panią z powodu leku. On należy do mnie, pani Ross. Nie do Duttona. Ale nie liczę na to, że mi pani uwierzy.

Nie wypuście mnie stąd, nawet jeśli oddam wam pieniądze.

-Jakie pieniądze? - spytała ponownie Tyler Stała między Jackiem a Moonem. Zza jej pleców dobiegał dziwny szelest; domyślała się, że to jej partner próbuje zmienić pozycję, by znów wziąć Colliera na muszkę. Włosy z, jeżyły jej się na głowie; bała się, że lada chwila Moon odepchnie ją i zacznie strzelać.

Chciała temu zapobiec. Patrząc na Jacka z bliska, widziała w nim tylko zwykłego dzieciaka. Zuchwałego, nie tak przerażonego jak należało się spodziewać, może nawet chorego psychicznie, ale przede wszystkim dzieciaka.

Takiego, jak jej brat. Stawiającego czoło światu, który paskudnie się z nim obszedł. Było mu tak ciężko, że w końcu przekonał samego siebie, iż jest twórcą leku Duttona. Może dlatego przerobił go na śmiertelną broń - by naprawdę uczynić go swoim dziełem. A może to był tylko wypadek. Może to wszystko to jeden wielki wypadek.

- Wiem, że się boisz - powiedziała, starając się zachować spokój. - Wiem, że nie chciałeś nikomu zrobić krzywdy, Jack. Proszę, postaw plecak na podłodze, a nikt nie będzie do ciebie strzelał.

Te ostatnie słowa skierowane były do Moona i Densmorea, ukradkiem przesuwanego się do przodu, z karabinem w drżących dłoniach. Jack przeniósł wzrok z Tyler na długą błyszczącą lufę. Potem potrząsnął głową. Wyglądał na autentycznie zaskoczonego. Do jego oczu znów wkradł się niepokój. Wydawało się, że nie rozumie, co tu się właściwie dzieje.

- Ja nikomu nic nie zrobiłem. Dutton nie potrzebuje tych cholernych pieniędzy. Jest nieźle nadziany.

Tyler zerknęła kątem oka na Moona. O czym ten dzieciak mówił? Moon sprawiał wrażenie, jakby nic go to nie obchodziło. Coś szeptał do mikrofonu.

Najwyraźniej zmienił kanał, żeby Tyler nie mogła go usłyszeć.

Przeniknął ją chłód. Może Moon właśnie dawał Densmoreowi hasło do strzału. Lada chwila zacznie się jatka.

- Jack...

- Mówię wam, możecie sobie to wziąć - powiedział Jack i nagle wsunął prawą rękę do plecaka.

Tyler poczuła, że Moon chwyta ją za ramię i przyciska do podłogi.

Padając na czarno - białe płytki, zauważyła, że Jack rzuca coś w jej kierunku.

Densmore krzyknął i otworzył ogień, celując w lecący przedmiot. Sala wypełniła się zielonym confetti.

- Wstrzymać ogień! - krzyknęła Tyler. - Wstrzymać ogień, mówię!

Wyrwała się z uścisku Moona. Jack przeskoczył przez ladę, z plecakiem przewieszonym przez ramię. Confetti wciąż sypało się na podłogę i Tyler wstrzymała oddech, modląc się w duchu, żeby nie był to jakiś środek przenoszenia bakterii. Po chwili przyjrzała się zielonym paskom i uświadomiła sobie, że to pieniądze - rozerwane pociskami z karabinu Densmorea.

- Co jest, do cholery? - szepnęła. Dostrzegła Jacka po drugiej stronie ludy i rzuciła się w jego kierunku. Moon i Densmore stali jak wmurowani, nie odrywając oczu od chmury posiekanych banknotów. Tyler przerzuciła swoje długie nogi nad murowaną ladą. Jack biegł między dwoma rzędami mikrofalówek w kierunku tylnej ściany restauracji. Przed nim znajdowało się okno dla zmotoryzowanych klientów. Na podstawionym pod nie taborecie siedział chudy, piegowaty chłopak z mikrofonem. Po jego prawej stronie stał rząd frytkownic; klatki pełne świeżych frytek, zawieszane na stalowych wysięgnikach, unosiły się nad kadziami ze skwierczącym olejem.

Jack biegł prosto na chłopaka siedzącego przy wielkim oknie. Tyler rzuciła się w pościg.

- Jack, musisz się poddać! Oni cię zabiją!

Jack zatrzymał się kilka metrów od chłopaka z obsługi. Frytkownicy bulgotały głośno, wypełniając powietrze obłokami pary. Jack odwrócił się bokiem i wcisnął rękę do plecaka. Na widok jego twarzy Tyler poczuła ucisk w żołądku.

- Jack, nie rób tego. Wiem, że nie chciałeś nikomu zrobić krzywdy.

Jack wyrwał rękę z plecaka. Na widok zaciśniętego w jego dłoni pistoletu Tyler odczuła niepokój i ulgę zarazem. Spodziewała się czegoś nieporównanie gorszego.

- Jeszcze kilka dni - powiedział Jack śmiertelnie poważnym tonem.

Wymachiwał pistoletem. - Potem sam się oddam w wasze ręce.

Wszystko, o co proszę, to kilka dni.

Tyler zauważyła łzę w kącie lewego oka chłopaka. Poczowała suchość w ustach. Z tyłu dochodziły jakieś hałasy; to Moon i Densmore przeskakiwali przez ladę. Jackowi nie zostało kilka dni; zostało mu kilka sekund.

- Poddaj się! Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc...

Urwała w pół zdania, widząc jakiś ruch. Ku jej zaskoczeniu, piegowaty nastolatek z obsługi skoczył Jackowi na plecy. Jack zwinnie przekreślił się w bok i złapał chłopaka za nadgarstek. Następnie zrzucił go z pleców i przystawił mu pistolet do głowy; zaraz jednak cofnął rękę. Chłopak potoczył się do tyłu, ściskając obolały nadgarstek.

Jack popatrzył przez chwilę na Tyler i zwrócił się w stronę okna. Podniósł pistolet i oddał trzy strzały. Grube szkło pokryło się siatką pęknięć, od podłogi po sam sufit. Jack zerwał się do biegu i całym impetem wpadł na okno. Rozległ się brzęk tłuczonej szyby i Collier zniknął.

- Mój Boże - wyszeptała Tyler, patrząc na wybite okno. Potem w jej uszy wdarł się przeraźliwy krzyk.

Piegowaty chłopak z obsługi stał przed skwierczącymi frytkownicami, wciąż ściskając prawą rękę. Na skórze nadgarstka wykwitły jasnoczerwone krosty, które powiększały się i wędrowały w górę ręki, ku łokciowi.

Moon i Densmore wbiegli na zaplecze restauracji; jeszcze nie zauważyli, co się dzieje. Tyler powstrzymała ich gestem ręki. Moon spojrział na skulonego chłopaka i złapał rozpędzonego Densmorea za koszulę. Ciałem młodego pracownika restauracji zaczęły wstrząsać drgawki; krosty doszły już prawie do łokcia. Skóra niemal całkowicie zeszała z nadgarstka, a policzki chłopaka były niemal tak białe jak wystające kości ręki.

Chryste, pomyślała Tyler, on umrze na moich oczach! Przyszedł jej do głowy makabryczny pomysł. Zaciśnęła zęby i uznała, że nie ma innego wyboru.

Chwyciła szmatę wiszącą na haku i owinęła nią sobie rękę. Podbiegła do przerażonego chłopaka.

Chwyciła przez szmatę jego prawe ramię i pociągnęła go w stronę frytkownic. Odrzuciła nogą jedną z klatek z frytkami i zdecydowanym ruchem wepchnęła rękę chłopca do bulgoczącego oleju.

Rozległ się przenikliwy wrzask, ale Tyler nie puściła chorej ręki, próbując zignorować ohydny swąd spalonej skóry. Żar unoszący się z frytkownicy osmalił jej twarz. Z trudem powstrzymała się od krzyku. Wreszcie ciało chłopaka zwiotczało. Dopiero wtedy Tyler wyciągnęła jego rękę z gorącego oleju i położyła nieprzytomnego na podłodze. Ręka była zwęglona od łokcia w dół, ale wyżej na skórze nie było ani śladu bakterii. Tyler uratowała mu życie.

- Sprowadź tu lekarza! - krzyknęła na Densmorea. Młody agent spojrzał pytająco na Moona, który skinął głową. Densmore pobiegł w stronę drzwi restauracji, a Moon podszedł do Tyler. Ukląkł na jedno kolano, wpatrzony w rannego nastolatka, dygoczącego na całym ciele. Jego oczy były zamknięte.

- Będzie żył? - spytał Moon.

Tyler przytaknęła. Kręciło jej się w głowie.

- Gorący olej zabił bakterie. Jeszcze sekunda i zakażenie rozszerzyłoby się na całe ciało.

- Collier go tylko dotknął - powiedział Moon, patrząc na wybite okno.

Ze słuchawki tkwiącej w jego uchu dobiegał jazgot podekscytowanych głosów. - Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Moi ludzie pod restauracją widzieli, jak Collier wylądował na dachu samochodu, wygonił kierowcę i zabrał wóz. Jadą za nim, ale udało mu się nas zaskoczyć. Ma sporą przewagę.

Prawdopodobnie nie damy rady go dogonić.

Tyler nie wiedziała, co powiedzieć. Moon ociężale podniósł się na nogi.

- Przez panią całą moją akcję szlag trafił - powiedział. -

To pani jest odpowiedzialna za to, co się tu stało.

Tyler nie miała siły dyskutować. Moon położył ciężką dłoń na jej ramieniu.

- Ale ratując tego chłopaka wykazała się pani niezwykle bystrością umysłu. Jest pani bardzo silną kobietą.

Odwrócił się, a Tyler zwymiotowała na posadzkę.

16

Dziesięć minut później Jack wciąż jeszcze rozpamiętywał ten moment: jego stopy odrywające się od podłogi, ramię przebijające popękana szybę, oślepiający blask słońca, migotanie kawałków szkła. Lądowanie na dachu samochodu, okrzyki przerażenia i uderzenie o twardy beton.

Pistolet w jego dłoni, lufa skierowana w stronę kierowcy. Mężczyzna błagający o darowanie życia, wyczołgujący się z wozu, a potem on, Jack, za kierownicą i jazda w strumieniu wozów w stronę centrum.

Jack otrząsnął się z zamyślenia. Jechał ulicą

jednokierunkową, biegnącą wśród pozbawionych okien budynków. Kratownice wiaduktów przecinały promienie słońca; przy tej szybkości wydawało się, że na przednią szybę pada światło lampy stroboskopowej. Jack nie był pewien, dokąd właściwie „jedzie”, wiedział tylko, że musi uciec ścigającym go agentom F-Bi-aI.

Miał nad nimi przewagę, ale nie był w stanie długo jej utrzymywać. Wkrótce każdy glina w mieście będzie wypatrywał młodego mężczyzny w jasnoniebieskim kombi. Na niebie zaroi się od helikopterów, a na autostradach zostaną ustawione blokady. Widział w telewizji, jak to się odbywa.

- Jezu Chryste - jęknął, zjeżdżając na dwupasmową szosę. Pot ściekał mu po twarzy, a jego zaciśnięte na kierownicy dłonie dygotały jak w febrze.

Zdjął nogę z gazu. Musiał odzyskać panowanie nad sobą. Musiał zebrać myśli.

Dutton zgłosił kradzież pieniędzy na policję; co do tego nie było wątpliwości. Nie wyjaśniało to jednak tak ostrej reakcji ze strony F-Bi-aI.

W McDonaldsie roilo się od agentów z karabinami. Zupełnie jakby spodziewali się, że Jack będzie uzbrojony po zęby. Kiedy sięgnął do plecaka po pieniądze, rzucili się na podłogę, jakby miał wyciągnąć stamtąd jakąś bombę.

Jack zatrzymał wóz na czerwonym świetle. Otarł pot z czoła i poczuł na ręce coś ciepłego. Krew. Miał rozciętą prawą brew, a lewy policzek przecinało długie zadrapanie. Jego ubranie pokrywały odpryski stłuczonego szkła, a łokcie były otarte do krwi.

Mój Boże, mój Boże, mój Boże! Spojrzał na miejsce dla pasażera i zobaczył trzydziestkę ósemkę Justina Moorea, leżącą na winylowym obiciu fotela niczym zwinięty wąż. Jezu, myślał Jack, co mi strzeliło do głowy?

Groził pistoletem agentce F-Bi-aI. Mógł zginąć. Zrobił to odruchowo; pomyślał o Angie i od razu włożył rękę do plecaka.

Zacisnął zęby. Nie miał wyboru. Gdyby dał się aresztować, Angie czekałaby śmierć. Cudowny lek trafi na rynek dopiero po przeprowadzeniu testów na zwierzętach i ludziach. Zresztą Angie i tak nie próbowałaby go zdobyć, przynajmniej dopóki Michael Dutton uchodziłby za jego twórcę.

Nie uwierzyłyby, że ten lek naprawdę może ją uratować.

Zapaliło się zielone światło. Jack ruszył przed siebie, już spokojniejszy. Zrobił to, co należało zrobić. Tak czy inaczej wyląduje w więzieniu, ale życie Angie było tego warte.

Usłyszał nad głową jakiś hałas i spojrzał przez przednią szybę do góry... Okazało się, że to nisko przelatujący samolot, nie helikopter. Na razie Jackowi nic nie groziło, ale musiał porzucić wóz, zanim natknie się na policyjną blokadę. Nie zamierzał kraść innego; miał do przebycia kawał drogi, a w dobie komputerów dane skradzionych samochodów błyskawicznie trafiały w ręce policji w całym kraju. Miał lepszy pomysł, na który wpadł jeszcze w drodze do Chicago. Na następnym skrzyżowaniu skręcił w

stronę autostrady prowadzącej z powrotem do Indiany.

Wciąż miał przed oczami wydarzenia, które rozegrały się w McDonaldsie. To był jakiś absurd. Agenci F-Bi-aI mieli za dużo broni, ryzykowali życie niewinnych cywilów. Tak ważne były dla nich te ćwierć miliona dolarów?

Przypomniał sobie agentkę - wysoką kobietę o krótkich blond włosach i ładnych niebieskich oczach. Powiedziała mu coś dziwnego, coś, co powtórzyła parę razy: "Wiem, że nie chciałeś nikomu zrobić krzywdy".

Może to był jakiś podstęp?

Nie, raczej nie. Jack zauważył, że kobieta - Tyler Ross, tak się przedstawiła - wyglądała na przerażoną. Była przekonana, że on zrobił coś strasznego, coś, co spowodowało tak gwałtowną reakcję F-Bi-aI.

Znów spojrzął na pistolet. Na myśl o tym, co by się stało, gdyby niechcący pociągnął za spust i zastrzelił agentkę, ogarnęły go mdłości.

Potrząsnął głową. Nigdy w życiu nikomu nie zrobił krzywdy; to musiała być jakaś pomyłka.

Uderzyła go pewna myśl. A może to Dutton napuścił na niego F-Bi-aI? Udało mu się wrobić go w popełnienie plagiatu; może teraz podniósł stawkę.

Jack nie miał pojęcia, co Dutton mógł wymyślić tym razem. Był cwany jak mało kto. W końcu w jeden weekend ukradł owoce wieloletniej pracy Jacka.

Istniała jeszcze jedna możliwość: Jack naprawdę zrobił komuś coś złego. Pomyślał o półprzypadkowym Justinie Moore, leżącym na materacu.

Potem przed oczami stanęła mu Kate, dziewczyna z motelu Sleepy Hollow.

Może któreś z nich miało jakiś wypadek, o który obwiniono Jacka. Gdyby tak było, mógłby spróbować wyjaśnić wszystko F-Bi-aI. Tyler Ross pewnie by go wysłuchała.

Zjeżdżając na autostradę, Jack zmienił zdanie. Nie zamierzał pomagać tym ludziom. Próbował postępować uczciwie w Harvardzie i nic mu to nie dało. Nie był nikomu winien żadnych wyjaśnień.

Zmienił pas ruchu, kierując się ku zjazdowi z autostrady, oddalonemu o kilkaset metrów. Całe szczęście, że udało mu się uniknąć pościgu; ukradziony wóz był zwrotny jak czołg. Wchodząc w zakręt z prędkością stu kilometrów na godzinę trząśnięcie, jakby lada chwila miał eksplodować.

Dzięki Bogu, tym razem wytrzymał. Jack skierował się w stronę jasno oświetlonej tablicy, stojącej dwie przecznice dalej. Wielki napis głosił: "U Billa. Używane samochody". Za tablicą rozciągał się asfaltowy plac, jeden z największych parkingów, jakie Jack widział w swoim życiu. Prawie wszystkie miejsca były zajęte, głównie przez amerykańskie wozy z cztero - i pięciocyfrowymi cenami wypisanymi na przednich szybach.

Jack starał się uspokoić skołataną nerwy. Zatrzymał się przy niskim, oszklonym salonie pokazowym wypełnionym drogimi wozami

sportowymi.

Oprócz stojących przy automacie z kawą sprzedawców w tanich marynarkach, w salonie nie było nikogo:

Zgasił silnik i wyjął plecak spod siedzenia. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zostawić pistoletu w samochodzie, ale uznał, że byłoby to zbyt niebezpieczne. Schował go z powrotem pod topniejące zasoby gotówki. Choć to dzięki niemu uniknął aresztowania, żałował, że wziął to cholerstwo z mieszkania Justina.

Wysiadając z wozu czuł, jak dygoczą mu kolana; szybko otarł rękawem krew z czoła i policzka. Przejrzał się w przedniej szybie, wygładził kurtkę i strzepnął z niej resztki szkła. Potem ruszył w stronę wejścia do salonu.

Ledwie przestąpił próg, a jeden ze sprzedawców rzucił się ku niemu, niczym rekin, który wypatrzył zakrwawione zwłoki. Mężczyzna wyglądał odpowiednio do swojej roli: czterdzieści parę lat, łysiejący, o grubych nerwowo drgających wargach i krzywym zgryzie. W oczach miał głód.

- Chce pan zmienić wóz na lepszy? - spytał mężczyzna. - Młody człowiek nie powinien pokazywać się w takim gruchocie. Mam korwetę, która idealnie pasowałaby do pana.

Mężczyzna wskazał zgrabny czerwony wóz na jednej z obracających się platform.

- Szukam czegoś mniej rzucającego się w oczy. Wolałbym któryś z samochodów stojących na zewnątrz, może buicka albo pontiaca.

- Czyli wymienia pan swój stary wóz? - spytał sprzedawca, wyraźnie rozczarowany.

Jack potrząsnął głową i wyszli na parking.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym zostawić go na parkingu. Odebrałaby go stąd moja matka. Na razie nie ma jej w mieście, ale wraca w przyszły piątek. Chętnie zapłacę panu za przechowanie samochodu.

Oczywiście gotówką.

Jack rozsunął suwak plecaka; sprzedawcy oczy wyszły na wierzch.

- To najlepszy sposób robienia interesów - wykrztusił wreszcie. - Myślę, że da się coś załatwić.

- Jeszcze jedno - dodał Jack, kiedy podeszli do kilkuletniego szarego skylarka, zupełnie nie rzucającego się w oczy. - Trochę mi się spieszy. Mam zamiar wyjechać ze znajomymi dziś po południu, więc wolałbym nie tracić całego ranka na wypełnianie papierów. Oczywiście odpowiednio panu wynagrodzę sprawne załatwienie formalności.

- Też gotówką? - Dokończył za niego mężczyzna, kładąc otwartą dłoń na klapie auta. Może się domyślał, że to podejrzana sprawa, ale nic go to nie obchodziło. Szykowała się świetna transakcja. - Nie widzę problemu.

Nie ma to jak stara dobra podróż autem po Ameryce.

Po dwudziestu minutach Jack wyjeżdżał już skylarkiem z

parkingu, wdychając duszący zapach świeżo umytego winylu. Jego plecak był o dziesięć tysięcy dolarów lżejszy. Przednia szyba była umazana mydłem, radio odbierało tylko fale długie, ale przynajmniej miał spokój z policją chicagowską i F-Bi-aI. Poprzednie auto zostawił na tyłach parkingu i nie sądził, by ktokolwiek zbytnio się przejmował jego losem. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłby się, gdyby ten gruchot szybko znalazł się niedługo wśród używanych aut zachwalanych przez Billa.

Jack odetchnął głęboko. Jechał na wschód, wydawałoby się w niewłaściwym kierunku, ale miał powód. Musiał dostać się do Las Vegas, a zostało mu za mało czasu, by dotrzeć tam samochodem. Zwłaszcza że polowało na niego F-Bi-aI. Potrzebował szybszego środka transportu, a to pozostawiało tylko jedną możliwość.

Do tej pory ze względów bezpieczeństwa unikał lotnisk jak ognia.

Teraz wiedział już, że nie uległ paranoi; istniało spore prawdopodobieństwo, że to właśnie jego wypatrywała policja na dworcach w Nowym Jorku. Na OHare nie miał się co pokazywać, ale to nie oznaczało, że nie mógł polecieć do Las Vegas.

Miał dobrą pamięć i mógł niemal słowo w słowo powtórzyć to, co usłyszał od Kate: "Na razie jest tam tylko pas startowy dla kurierów przewożących narkotyki i handlarzy zbyt skąpych, żeby korzystać z usług normalnych linii lotniczych". Jackowi zostało jeszcze sporo pieniędzy i nie przypuszczał, by kurier narkotykowy podróżujący dwusilnikowym samolotem śmigłowym wymagał od niego jakichkolwiek dokumentów. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Podróż samochodem do Las Vegas trwałaby trzy dni, samolotem - cztery godziny. Jeśli federalni są cwani, być może domyślą się, dokąd pojechał.

Nie będą jednak wiedzieli, czym. To stawiało go w korzystniejszej sytuacji.

Wcisnął gaz do dechy i wjechał z powrotem na autostradę. Do Gary dotrze dopiero późnym popołudniem. Ale nie ma to jak stara dobra podróż po Ameryce.

17

Duke Baxter włókł się pogrążonym w ciszy korytarzem oddziału intensywnej terapii, niczym sześćdziesięcio-sześćoletni mężczyzna z prostatą wielkości grejpfruta. Jego ramiona były tak mocno zgarbione, jakby miał się zaraz przewrócić, a powykrzywiana reumatyzmem prawa dłoń ścisnęła dla utrzymania równowagi przenośny stojak na kroplówkę. Od kroplówki do szerokiego rękawa jasnoniebieskiego fartucha szpitalnego biegła długa biała rurka. Jej koniec przyklejony był do nadgarstka, kilkanaście centymetrów nad różową bransoletką identyfikującą Dukea jako pacjenta kliniki uniwersytetu w Chicago.

Lekarze i pielęgniarki, których mijał po drodze, prawie nie zwracali na niego uwagi. Z trudem powstrzymywał się od uśmiechu. Starzy chorzy ludzie nie uśmiechają się, przypomniawszy sobie.

Prawdę mówiąc, starzy ludzie przeważnie w ogóle się nie uśmiechali, nawet gdy byli zdrowi. W ciągu siedmiu lat małżeństwa Duke ani razu nie widział uśmiechu na twarzy starej prukwy.

Próbował sobie wyobrazić, co powiedziałyby, gdyby widziała, z jak wielkim poświęceniem zbiera materiały do swojego wymarzonego artykułu.

Wiedziała, jak nienawidził szpitali; zawsze nazywał je "poczekalniami nieba".

Kiedy jeden, jedyny raz w swoim życiu musiał pójść pod nóż - przepuklina w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat - prukwa praktycznie siłą zaciągnęła go do szpitala. Nie znosił myśli o wszystkich tych zarazkach i wirusach unoszących się w powietrzu, o wykrztuszanych przez tysiące pacjentów kropelkach śliny, pokrywających wszystkie klamki i deski klozetowe.

Duke żałował, że nie ma rękawiczek i maski, jak wszyscy lekarze i pielęgniarki, banda samolubów. Ale nie pasowałyby mu do przebrania.

Minął dwóch pielęgniarzy stojących przy przenośnym elektrokardiografie. Żaden z nich nie kiwnął mu nawet głową. Przebranie doskonale się sprawdziło. Fartuch i bransoletę pożyczył od swojej dawnej sąsiadki, siedemdziesięcio-dwuletniej kobiety o niebieskich włosach i niepokojącym popędzie seksualnym. Stara prukwa nazywała Betsy Lynn ludzkim odkurzaczem ze względu na opowieści, jakie zaczęły krążyć po okolicy, kiedy Betsy przeprowadziła się do Chicago; Duke jednak zawsze myślał o niej ciepło, bo w czasie choroby Marty przynosiła mu przepyszne ciasta i ciasteczka.

Dopóki nie przesadzała z demonstrowaniem swoich innych talentów, Dukea nie obchodziło, co ludzie o niej mówią.

Betsy o nic go nie pytała, kiedy pożyczał od niej fartuch i bransoletę.

Może pomyślała, że to jakieś frywolne zachcianki; z całą pewnością nie byłaby w stanie odgadnąć prawdy. Podobnie, jak inni mieszkańcy bloku uważała jego marzenia o sławie dziennikarskiej za rojenia samotnego emeryta.

Nie mogła podejrzewać, że tylko krok dzieli go od wielkiego sukcesu.

Tak naprawdę był już prawie przygotowany, by ujawnić całą sprawę.

Przed siedmioma godzinami szeryf Carlson powiadomił go o operacji F-Bi-aI pod kliniką Helio; Duke dotarł na miejsce w momencie, gdy karetka zabierała poparzonego chłopaka z restauracji. Kiedy próbował zapytać dwóch agentów F-Bi-aI z Nowego Jorku, co się stało, całkowicie go zignorowali.

Jedna z nich, kobieta - nazywała się Tyler Ross, a i tego dowiedział się dopiero po siedmiu rozmowach telefonicznych - była zielona na twarzy, kiedy odpychała go na bok. Gdy Duke ruszył za nią, potężnie zbudowany, lekko przygarbiony; facet pomachał mu przed oczami czterdziestką piątką. Wcale go nie nastraszył. Duke brał udział w drugiej wojnie światowej i walczył z nazistami pod

Bordeaux; nie zamierzał zeszczuć się w gacie ze strachu przed jakimś sztywnym gorylem z F-Bi-aI. Cóż, tak naprawdę nie widział nazistów na oczy i trafił do Europy dwa tygodnie po kapitulacji Niemiec - ale co wojna, to wojna, a tym bardziej światowa.

Kiedy agenci F-Bi-aI odjechali sprzed McDonalda, Duke ruszył w ślad za karetką, nasłuchując komunikatów na swoim skanerze. Po drodze wpadł do Betsy, po czym udał się do szpitala, gotów dalej prowadzić swoje śledztwo.

Dostał się do środka przez izbę przyjęć ostrego dyżuru, licząc na to, że nikt nie zwróci uwagi na starego człowieka szukającego pomocy na pogotowiu. W łazience przebrał się w fartuch, a stojak z kroplówką znalazł w pustej sali obok. Nieco trudniej było znaleźć oddział intensywnej terapii; musiał zapytać o drogę zabieganą pielęgniarkę w różowym kitlu. Zasugerowała mu, żeby ze względu na kroplówkę pojechał windą. Pięć minut później był już w samym sercu bestii, lawirując wśród mikrobów i poszukując poparzonego młodego człowieka.

Posuwając się w głąb oddziału intensywnej terapii, Duke trafił na korytarz z rzędami szklanych drzwi po obydwu stronach. Panował tu nieco większy hałas niż w pozostałej części piętra. Powietrze wypełniały odgłosy aparatury: pikanie monitorów pracy serca, syk respiratorów, klekotanie pomp i dźwigni. Duke wzdrygnął się na widok leżącego za najbliższymi drzwiami mężczyzny w średnim wieku, z którego ciała wychodziły niezliczone rurki i kable.

Dzięki Bogu, że stara prukwa umarła w sypialni. Duke miał nadzieję, że jego śmierć nastąpi w bardziej dramatycznych okolicznościach: może w wypadku lotniczym albo w szczękach rekinów by sąsiedzi długo mieli o czym rozmawiać.

Skręcił za następny róg i zatrzymał się. Tu drzwi były drewniane. Na drugim końcu korytarza kręciło się kilku ludzi ubranych na czarno; dwóch czy trzech miało w uszach białe słuchawki. To na pewno federalni, jak zawsze udający, że w Pełni Panują nad sytuacją. Pod ostatnimi drzwiami stał barczysty mężczyzna o krótko przystrzyżonych włosach, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

No i co teraz?, pomyślał Duke. Był pewien, że to właśnie tam leży dzieciak z McDonalda, ale jak się do niego dostać? Po drugiej stronie korytarza pojawiła się pielęgniarka ubrana na zielono; przy drzwiach strzeżonego pokoju przystanąła i pokazała swoją kartę krótko ostrzyżonemu agentowi.

Ten dokładnie obejrzał zdjęcie i wpuścił ją do środka.

Duke zaklął, opierając się ciężko na stojaku. Wyglądało na to, że jego wysiłki poszły na marne. Spójrz na siebie, słyszał drwiący głos starej prukwy, tak się ładnie przebrałeś, choć to nie Halloween. Myślałeś, że będzie lekko?

Duke miał ochotę jej powiedzieć, żeby się zamknęła, ale ona, rzecz jasna, już nie żyła. Jak zwykle nie pozostawało mu nic innego, tylko ją zignorować.

Z zamyślenia wyrwał go widok idącego w jego stronę ubranego

na czarno agenta. Duke pomyślał, że pewnie zostanie przepędzony, ale mężczyzna minął go bez słowa, jak jakiś mebel.

Duke odetchnął z ulgą i spojrzał na agenta stojącego na drugim końcu korytarza. Zaczął obmyślać plan działania, kiedy drzwi strzeżonego pokoju otworzyły się i wyszła z niego pielęgniarka, a za nią jakiś chłopak w wymiętym uniformie McDonalda, wyglądający na jakieś dziewiętnaście lat.

Miał długie ciemne włosy spięte w kucyk i policzki obsypane trądzikiem.

Chłopak zatrzymał się, żeby powiedzieć coś agentowi stojącemu pod drzwiami, po czym ruszył w ślad za pielęgniarką w głąb korytarza.

Duke uśmiechnął się; a jednak Bóg postanowił dać mu szansę. Ruszył za chłopakiem, starając się iść możliwie najszybciej, a jednocześnie tak, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Przepchnął się jakoś przez grupkę agentów blokujących korytarz i nawet skinął głową temu, który pilnował drzwi pokoju poparzonego.

Duke dogonił chłopaka z kucykiem przy windzie po drugiej stronie oddziału intensywnej terapii. Zaczekał, aż pielęgniarka odejdzie.

- Ładny strój - powiedział, gdy drzwi windy się otworzyły. - Musiałeś sam za niego zapłacić, czy dali ci w pracy?

Było to jedno z tych idiotycznych pytań, jakich można się spodziewać po starszych ludziach. Dzieciak uśmiechnął się i wszedł do windy.

Przytrzymał Dukeowi drzwi i wcisnął guzik parteru.

- Jeden z wielu dodatków do pensji - powiedział. - Ale jeśli go uszkodzę, zabuję za to z własnej kieszeni.

Spojrzał na plamę na koszuli i potrząsnął głową. Na jego twarzy odbiło się niedowierzanie. Duke wykorzystał sposobność do nawiązania rozmowy.

- Ależ narobili zamieszania na tym korytarzu. Człowiek nie może się nawet zdrzemnąć. Ci faceci w garniturach wyglądają na jakichś ważniaków.

Chłopak skinął głową. Zniżył głos, jakby miał wyznać jakąś tajemnicę.

- Są z F-Bi-aI. Jak w telewizji.

Duke uniósł krzaczaste brwi.

- Poważnie? Z F-Bi-aI? Wpadłeś w jakieś kłopoty?

Chłopak roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

- Nie ja. Mój kolega. Złe z nim. Żeby pan widział, co tam się działo... ale nie wolno mi o tym mówić.

Chłopak przygryzł dolną wargę. Najwyraźniej bardzo chciał się z kimś podzielić swoją tajemnicą. Wystarczyło go tylko naprowadzić na właściwy tor.

- Kiedy będziesz w moim wieku, chłopcze, nic cię już nie zaskoczy.

Widziałem w swoim życiu wszystko. Na pewno to, co cię spotkało, było bardzo interesujące, ale mogę poczekać, aż zrobisz o tym film.

Chłopak spojrział na niego i potarł dłonią kraterę na policzku.

Potrząsnął głową, a jego oczy rozblęły.

- Proszę pana, może i wiele pan widział, ale jestem pewien, że to przebiję wszystko.

Kiedy winda zjechała na parter, Duke miał już swój wymarzony materiał - cała sprawa okazała się jeszcze ciekawsza niż podejrzewał.

Zaczekał, aż chłopak pójdzie do szpitalnej kafeterii i wcisnął guzik podziemnego garażu. W drodze na dół drżącymi z podniecenia palcami zerwał z nadgarstka rurkę od kroplówki.

Jezu Chryste, będzie sławny. Jutro rano jego nazwisko pojawi się na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju. Pomyślał o starej prukwie patrzącej na niego z góry, wybałuszającej oczy ze zdumienia na widok twarzy Dukea pokazywanej w wiadomościach wieczornych. A potem parsknął śmiechem.

Już czuł w ustach smak kubańskiego cygara.

18

Vincent Moon, oparty o klapę czarnego rządowego samochodu, patrzył na opadający ku ziemi helikopter McConnell Douglas. Silne podmuchy powietrza uderzały w wirniki, lekko wstrząsając śmigłowcem; przez chwilę wydawało się nawet, że pilot będzie musiał jeszcze raz podejść do lądowania. Zaraz jednak płozy dotknęły trawy i doświadczony lotnik natychmiast wyłączył silnik. Wirniki zwolniły obroty. Boczne drzwi helikoptera otworzyły się, uderzając w kadłub z włókna szklanego.

Moon wygładził klapy marynarki. Ze śmigłowca wyszedł niski, dobrze zbudowany mężczyzna. Moon wrócił pamięcią do wydarzeń sprzed dwudziestu-pięciu lat. Tamto lądowisko wyglądało zupełnie inaczej - pole ryżowe porośnięte łądogami sięgającymi do ramion. Helikopter, o wiele mniej elegancki, przypominał raczej owada o stalowym szkielecie i wybałuszonych oczach z pleksiglasu. Tylko człowiek był ten sam: włosy barwy spizu, surowe posągowe rysy, kobaltowe oczy.

Oczywiście, zmienił się jego strój. Mundur pułkownika został zastąpiony przez ciemny, prążkowany garnitur, a wojskowe buty przeobraziły się w skórzane lakierki. Jednak i w cywilnym stroju ten człowiek roztaczał wokół siebie specyficzną aurę: był zawodowym żołnierzem, wciąż na służbie u tego samego Boga. Kiedy podszedł do Moona, ten wyprężył się, nie zważając na przeszywający ból w prawym boku.

- Senatorze Conway - powiedział, wyciągając do niego prawą rękę. - Mam nadzieję, że lot z Waszyngtonu przebiegł bez zakłóceń.

Gdy Conway uścisnął mu dłoń, Moon znowu poczuł ból, ale nawet nie mrugnął okiem. Nauczył się żyć z bólem, tak jak inni potrafili radzić sobie z alergiami czy artretyzmem. Tylko nocami, kiedy leżał w niewygodnej pozycji na twardym materacu, myślał o bliznach biegnących u podstawy jego kręgosłupa.

- Wystartowaliśmy i wylądowaliśmy. Reszty nie pamiętam. - Conway nigdy nie był zbyt rozmowny, co zresztą Moonowi wcale nie przeszkadzało.

Nawet teraz, po upływie dwudziestu pięciu lat widział w nim starszego rangą oficera. Nie czułby się dobrze, rozmawiając z nim o pogodzie.

- Chciałbym wyrazić głębokie współczucie z powodu śmierci pańskiej córki - powiedział Moon, uważnie dobierając słowa. Nie wiedział, jak ma się zachować; co prawda w przeciągu ostatnich dziesięciu lat stracił żonę i psa, ale smutek ukrył w sobie. Nie zamierzał żenić się po raz drugi, ale może któregoś dnia sprawi sobie nowego zwierzaka. - I przysięgam na Boga, że złapię potwora, który to zrobił.

Conway skinął głową, patrząc kątem oka na samochód. Zauważył, że jest pusty - Moon przyjechał z Chicago sam.

- O ile wiem, już go spotkałeś. Stałeś z nim oko w oko, ale on uciekł.

Nie zabrzmiało to jak wyrzut, ale Moon poczuł się, jakby dostał w twarz.

-Za niepowodzenie akcji odpowiedzialna jest moja partnerka, doktor Ross.

- Nie chcę, żebyś się tłumaczył, Vincent. Chcę, żebyś opowiedział mi o sprawcy. Co widziałeś w tej restauracji?

Moon otarł usta grzbietem dłoni. Oprawki okularów wpijały mu się w nos, ale ich nie poprawił.

- Widziałem pozbawionego skrupułów, może lekko wystraszonego mordercę: Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co zrobił i myślę, że planuje kolejne równie brutalne zbrodnie.

Conway odwrócił się, zaciskając zęby. To właśnie pragnął usłyszeć, ale mimo wszystko ogarnęła go złość. Moon poczuł ucisk w żołądku; nieraz już widział na twarzy Conwaya ten charakterystyczny złowrogi wyraz - na polach ryżowych, w dżungli, a nawet w bazie w Danang.

- A co z mediami? - Conway patrzył przed siebie. - Wszystko pod kontrolą?

Moon skinął głową. Przynajmniej w tej kwestii stał na pewnym gruncie.

- Wygląda na to, że prasa kupiła historyjkę o wycieku gazu na Penn Station. A zajście w McDonaldsie zostało opisane jako wybryk uzbrojonego szaleńca, który chciał postraszyć klientów.

- Czyli nie spodziewasz się żadnych komplikacji?

Po chwili namysłu Moon uznał, że nie powinien niczego ukrywać, choćby wydawało mu się to błahostką. To starszy rangą oficer decydował, co jest ważne, a co nie.

- Pojawił się pewien nieoczekiwany kłopot. Dziennikarz z małej gazety o nazwie "Gary Gazette". Nie sądzę jednak, żeby miał nam zbytnio utrudnić życie.

Duke Baxter przypominał raczej felietonistę gazetki domu starców niż prawdziwego dziennikarza. Moon nie przypuszczał, by udało mu się dojść całej prawdy, a nawet gdyby tego dokonał,

prawdopodobnie nie miał zielonego pojęcia, jak zwrócić na nią uwagę świata.

- Dostaniemy Colliera, zanim cokolwiek wyjdzie na jaw - zakończył.

Conway skinął głową. Potem spojrział Moonowi prosto w oczy. Moon poczuł, że robi mu się zimno.

-Nigdy o nic cię nie prosiłem, prawda, Vincent? Przez dwadzieścia pięć lat, od Wietnamu, nie miałem do ciebie ani jednej prośby.

Moon zeszywniał. Zaszło mu w gardle. Wiedział, do czego Conway zmierza: nadeszła pora spłaty długu. Dwadzieścia pięć lat temu wydarzyło się coś, co wytworzyło między nimi więź - taką więź, która mogła się zadzierzgnąć tylko w Wietnamie.

Stało się to na trzy tygodnie przed końcem służby Moona. Odbywał wtedy patrol z czterema ludźmi Conwaya; była to rutynowa misja zwiadowcza.

W pewnym momencie zauważył w oddali jakiś ruch i pobiegł to sprawdzić.

Po chwili padły strzały, ku jego najwyższemu zdumieniu, z tyłu. Moon upadł na ziemię, ciężko ranny - dwa pociski przeszły jego prawy bok, jeden przeszedł o centymetry od rdzenia kręgowego. Tracąc przytomność zauważył, kto do niego strzelał: był to Danny Gonzalez, chłopak z Los Angeles, od niedawna w Wietnamie. Przypadkowy postrzał, napisali w raporcie medycznym, kolejny wypadek.

Tyle że to nie był żaden cholerny wypadek. Dwa dni wcześniej Moon pokłócił się z Gonzalezem podczas gry w karty i obraził go w obecności jego kumpli. Od samego początku wiedział więc, że Gonzalez postrzelił go celowo.

Szpital polowy opuścił utykając, przygarbiony, dręczony bólem, który miał go nie opuścić do końca życia i zaraz wyrównał rachunki. Zamiast zgodnie z rozkazem zakończyć służbę, wrócił do swojej jednostki, wszedł do namiotu Gonzaleza, wyjął ze stojaka w kącie kij golfowy i pobił młodego żołnierza do utraty przytomności. Pobiłby go na śmierć, gdyby nie to, że do namiotu wszedł Conway i wyrwał mu kij z ręki.

Conway wiedział, co zaszło między nimi przy kartach i po cichu trzymał stronę Moona. Dlatego też wyciszył całą sprawę: nie było żadnych świadków, a Gonzalez już wówczas nie potrafił wypowiedzieć całego zdania, a tym bardziej wskazać napastnika. Conway dał Vincentowi Moonowi szansę i uratował jego karierę.

Gonzalez spędził następne cztery miesiące na oddziale intensywnej terapii, a resztę życia w wózku inwalidzkim. Moon został z honorami zwolniony ze służby i wkrótce zwerbowało go F-Bi-aI. Conway załatwił mu szybki awans, a Moon nigdy tego nie zapomniał.

- Nie, sir - wykrztusił wreszcie, czując ból w ramionach. - Nigdy mnie pan o nic nie prosił.

- Proszę cię teraz, Vincent - powiedział Conway łamiącym się głosem. -Rozumiesz?

Moon skinął głową. Wiedział, dlaczego to jego przydzielono do tego śledztwa. Conway przeczesał dłonią włosy.

- Ta Tyler Ross... będzie ci sprawiać kłopoty? Mogę polecić, by odebrano jej tę sprawę.

Po chwili namysłu Moon potrząsnął głową.

- To raczej nie będzie konieczne. Trochę się stawia, ale dam sobie z nią radę. Jest kobietą i naukowcem. Ze mną nie wygra.

Conway przez chwilę rozważał w milczeniu słowa Moona. Kiedy wreszcie zaczął mówić, jego głos był zimny jak stal.

- Nie chcę żadnego procesu, Vincent. Nie chcę mieszać w to wszystko mediów. Nie chcę widzieć w telewizji zdjęć Jill... tego, co z nią zrobił Collier. Nie chcę słyszeć tłumaczeń tego potwora ani widzieć jego łez w talk-showach. Chcę, by został pogrzebany trzy metry pod ziemią. Bez trumny; niech robaki żrą jego podziurawione kulami ciało. Czy wyrażam się jasno?

Moon odetchnął głęboko. Dziwnie się czuł, słysząc tę prośbę wypowiedzianą wprost, ale nie wahał się nawet przez chwilę. Tomowi Conwayowi zawdzięczał życie.

- Oczywiście. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, gdzie Collier jest w tej chwili, ale myślę, że wiem, jak go znaleźć.

- Chcę, żeby zdechł, Moon. - Conway stał wyprostowany jak pułkownik, a nie senator. Moon widział oczami wyobraźni łodygi ryżu za jego plecami. - I chcę, żeby to się stało jak najszybciej.

Moon przystawił dłoń do czoła w salucie piechoty morskiej. Conway odpowiedział, odwrócił się i ruszył w stronę czekającego helikoptera.

- Twierdził, że to jego siostra. Wydawało mi się, że mówi prawdę, przynajmniej na początku.

Drobny mężczyzna gestykulował nerwowo, prowadząc Moona i Densmorea przez przypominającą labirynt klinikę. Przesłuchali go już trzykrotnie, ale Moon chciał mieć pewność, że nie przeoczył żadnego szczegółu.

- I ot tak dał panu te pieniądze? - zaświergotał sceptycznie Densmore, z rękami założonymi za plecy. - Nie zażądał kwitu, nie zapytał, na jaki cel pójdą. Po prostu dał panu trzydzieści tysięcy dolarów, a pan o nic go nie pytał?

Kendrick wzruszył ramionami, wyraźnie zakłopotany.

- To nie jest typowa klinika. Ze względu na charakter prowadzonych przez nas badań nie patrzemy naszym ofiarodawcom na ręce. Kiedyś jeden z nich wręczył mi czek w toalecie w operze, bo nie chciał, żeby widziała to jego żona. My wstrzykujemy chrząstkę rekina do nowotworów, panowie.

Raczej nie organizuje się publicznych zbiórek na takie badania.

Skrecając za róg, Moon skrzywił się i zacisnął pięści.

- Nie zastanawiał się pan, skąd taki młody człowiek ma tyle pieniędzy?

- W plecaku miał ich jeszcze więcej - powiedział Kendrick. -

Musiało tam być przeszło sto tysięcy dolarów. Po prostu pomyślałem sobie, że to jakiś młody informatyk czy ktoś taki, próbujący odszukać siostrę... czy kimkolwiek jest dla niego ta kobieta.

Moon wydał wargi w zamyśleniu. Te pieniądze nie dawały mu spokoju.

Skąd Collier wytrzasnął tyle gotówki? Może to zaliczka za bakterie?

A może je ukradł? Albo oszczędzał od wielu lat, przygotowując się do ataku.

Moon wiedział, że Tyler Ross snuje jakieś domysły na ten temat, ale od zajścia w McDonaldsie prawie się do niej nie odzywał. W tej chwili siedziała w hotelu i starała się zorganizować przylot Michaela Duttona do Chicago; potrzebowała jego pomocy, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, jak Jack Collier mógł zarazić młodego człowieka śmiertelną chorobą przez dotyk. Moon nie uprzedził jej, że ponownie wybiera się do kliniki, przeszkadzałaby mu tylko.

- Kiedy wręczył panu pieniądze - ciągnął Densmore, gdy posuwali się w głąb budynku - pan zaprowadził go do swojej pacjentki, Sandry Fox. A ona powiedziała mu, gdzie może znaleźć swoją "siostrę".

Kendrick zatrzymał się pod zamkniętymi drzwiami. Na jego twarzy pojawił się niepokój.

- Zgadza się. - Spojrzał na agentów F-Bi-aI. - Pewnie teraz śpi. Po zabiegach zawsze ucina sobie drzemkę. Jest bardzo osłabiona, więc proszę jej nie denerwować...

- Poradzimy sobie - przerwał mu Moon. - Niech pan zaczeka na nas w swoim gabinecie. Wrócimy do naszej rozmowy po przesłuchaniu pani Fox.

Kendrick patrzył na niego przez chwilę. Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w głąb korytarza. Moon wyciągnął rękę do klamki.

W pokoju panowała cisza, mącona tylko przez ledwo słyszalne kapanie płynów w kroplówkach. Kobieta spała z głową na miękkiej puchowej poduszce. Jej drobne ciało, podobne do pozbawionego piór ptaka, było skulone pod cienkim białym kocem. Na twarzy miała wyraz anielskiego wręcz spokoju i Moon przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu, zanim zamknął za sobą drzwi.

Podszedł do łóżka i spojrział na kroplówkę podłączoną do prawej ręki kobiety. Potem zwrócił się twarzą do Densmorea.

Densmore zerknął niepewnie na chorą kobietę. Powoli wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej długą strzykawkę wypełnioną przejrzystym płynem.

- Jest pan pewien, że to bezpieczne? - szepnął, podając ją Moonowi.

Moon nie odpowiedział. Ta kobieta umierała na raka. Kendrick pompował w nią chrząstki rekinów i pepowiny pobierane z płodów. Można było mieć wątpliwości, czy cokolwiek jest w stanie jej zaszkodzić.

Moon trącił palcem strzykawkę, by upewnić się, że nie ma w niej bąbli powietrza. Potem wziął do ręki rurkę kroplówki i wbił igłę w miękki plastik.

Rozległ się cichy trzask. Moon wcisnął kciukiem tłok. Obserwował, jak przejrzysty płyn powoli spływa do ramienia uśpionej kobiety.

Po opróżnieniu strzykawki, Moon wyciągnął ją z rurki i zasłonił mały otwór palcem. Densmore podał mu kawałek taśmy klejącej. Moon zakleił niemal niewidoczną dziurkę.

Następnie cofnął się o krok. Czekał, aż lek dostanie się do krwiobiegu kobiety. Nie sądził, by mógł jej zaszkodzić. Środek ten działał na neurotransmitory w mózgu, a ona umierała na raka płuc. Tak czy inaczej, Moon był gotów podjąć ryzyko. Ścigał młodego człowieka, który do tej pory zabił dziesięć zdrowych osób.

Po kilku minutach Sandra Fox poruszyła się, a na jej policzkach wykwitły rumieńce. Otworzyła oczy. Moon pochylił się nad nią. Żrenice miała zamglone i lekko powiększone; jedna dawka tego środka działała mniej więcej tak, jak kilkanaście tabletek valium. Nie istniało nic takiego jak eliksir prawdy, było jednak mnóstwo sposobów na to, by zrobić człowiekowi taką sieczkę z mózgu, że nie obchodzi go, co mówi - ani do kogo.

- Pani Fox - zaczął Moon łagodnym tonem. - Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań dotyczących jej dawnej przyjaciółki. Chodzi nam o kobietę, która przedstawiała się jako Karla Dawson.

- Angie Moore opuściła Bosley Inn przed czterema tygodniami - powiedział Moon do Densmorea, odkładając słuchawkę. Zajęli gabinet Kendricka i polecieli mu czekać na korytarzu, aż zostanie wezwany. Moon dyżurował za stalowym biurkiem, pochylony nad telefonem. Densmore siedział naprzeciw niego. Skrzyżował nogi i położył komputerowy notatnik na kolanach.

- Wiedzą, dokąd pojechała?

- Nie, ale to nie ma znaczenia. Znajdziemy ją.

Moon bębnił palcami w telefon. Jego umysł działał na zwiększonych obrotach. A więc Jack Collier szukał swojej umierającej dziewczyny. Nie czyniło go to bardziej ludzkim - po prostu pozwalało zobaczyć pod innym kątem jego szaleństwo. Zawładnęła nim obsesja, pragnienie, by odnaleźć kobietę, która go porzuciła. Zemścił się na swoim profesorsze, niszcząc jego lek i zabijając jego studentów; teraz chciał zabić swoją byłą ukochaną i wszystkich, którzy stanęliby mu na drodze.

- Jedziemy do Las Vegas? - spytał Densmore z ożywieniem. - Collier jeszcze nie wie, że jej tam nie ma, a przez telefon nie podadzą mu żadnych informacji. I panu nic by nie powiedzieli, gdyby nie otrzymali polecenia z centrali F-Bi-aI. Moon skinął głową. Collier był już pewnie w połowie drogi do Las Vegas. Jeśli wybrał się tam samochodem, dotrze na miejsce za dwa - trzy dni.

Jeśli wytrasnął skądś samolot, będzie w Vegas o zmierzchu.

- Tak, ale tam go nie złapiemy. Jest bystry, domyśli się, że

zastawiono na niego pułapkę.

Moon przechylił głowę na bok. Ból przeszywał mu kręgosłup. Collier nie był głupcem. Nie będzie próbował wejść do kliniki frontowymi drzwiami. Znajdzie inny sposób. " :

- Szkoda czasu na pilnowanie tej kliniki - stwierdził wreszcie Moon. - Jest lepszy sposób na schwytanie Colliera.

Densmore uniósł brew.

- Angie Moor.

Moon skinął głową; jego adiutant miał zadatki na doskonałego agenta.

Pewnego dnia zajmie jego miejsce. To on będzie wzywany, kiedy trzeba będzie zrobić coś tak, jak należy.

- Ona jest kluczem do schwytania Pożeracza Karmy. Collier ma tyle pieniędzy, że mógłby spokojnie wyjechać z kraju. Mógłby zniknąć. Ale on przemierza Stany w poszukiwaniu swojej dziewczyny. Jeśli my odnajdziemy ją pierwsi, Collier będzie nasz.

Densmore nachylił się do przodu i zniżył głos, - A co z doktor Ross? Powiemy jej, czego się dowiedzieliśmy?

Moon zastanawiał się tylko przez ułamek sekundy. Ross wszystko by popsukała. Nie potrafiła zrozumieć mentalności Colliera; nadawała socjopatycznej żądzy emocjonalne zabarwienie.

- Nie powiemy doktor Ross ani słowa o Angie Moore. Sami zbadamy ten trop. Zostawimy Ross w Vegas, niech tam siedzi i czeka. W tym czasie my odnajdziemy małą zagubioną dziewczynkę.

Był to doskonały plan. Ross zostanie na pustyni z Duttonem i swoimi pomagierami od próbek, a Moon dopadnie Pożeracza Karmy. Tym razem żadna baba nie stanie mu na linii strzału.

- Znajdziemy Angie Moore - powiedział Moon, podnosząc się zza biurka. - A kiedy to zrobimy, ona zaprowadzi nas do Jacka Colliera i będzie po sprawie.

A mój dług zostanie spłacony, dokończył w myślach.

19

Pejzaż jak z Biblii, co?

Jack, sam w czteroosobowej kabinie pasażerskiej cessny, przycisnął twarz do zimnego okrągłego okna. Spojrzał w dół, na pogrążoną w ciemnościach pustynię. W pierwszej chwili nie zobaczył nic prócz ciągnącej się po sam horyzont czarnej plamy. Potem samolot przechylił się lekko na prawy bok i nagle pustynia zapłonęła blaskiem tak jasnym, że Jack musiał zamrużyć oczami, by uwierzyć, że nie uległ złudzeniu. Nie rozróżniał żadnych kształtów, widział tylko ogromną łunę, ognistą duszę miasta.

- Zupełnie jakby z nieba spadła aureola - ciągnął chrapliwy głos, usiłujący przekrzyczeć ryk silników - złamała się wpół i rozświetliła noc. I jak tu nie kochać Vegas?

Jack z uśmiechem na ustach odwrócił się w stronę kokpitu. Stalowe drzwi były otwarte. Pilot siedział bokiem do pulpitu sterowniczego. Zdjął słuchawki, a na jego twarzy pojawił się radosny grymas. Nazywał się Grady, miał gęste włosy i haczykowaty

nos. Był barczystym, jowialnym mężczyzną i Jack z miejsca go polubił.

- Jak daleko stąd do lotniska? - spytał, kiedy maszyna wzniosła się ponad chmury. Lot był dość emocjonujący; mały samolot reagował na każdą zmianę kierunku wiatru czy temperatury. Do tej pory Jack tylko raz w życiu leciał samolotem, z Newark do Bostonu; koszty przelotu zostały pokryte z przyznanego mu stypendium. Jeszcze nigdy nie siedział w tak rozklekotanym gruchocie jak ta stara cessna, a fakt, że półtora metra od niego na ścianie wisiały dwa spadochrony, nie dodawał mu otuchy.

- Do McClane jest kilka kilometrów - odparł Grady, wyprowadzając maszynę z szerokiego łuku. - Ale my polecimy czterdzieści parę kilometrów na zachód. Pod Carson City jest małe lotnisko - budka, pas asfaltu i burdel o pięć minut drogi. Raj dla przemytników, Jack. Nie to, co tamta dziura pod Gary. Tutaj szanuje się dealerów.

Jack przeniósł wzrok ze spadochronów na piramidę worków jutowych, zajmujących cały kąt kabiny. Każdy z nich ważył około dwudziestu kilo; Jacka do tej pory bolały ramiona od ich noszenia. Worki zawierały dosyć marihuany, by zaopatrzyć kilkanaście szkół średnich. Grady wymienił na nią dwa kilo kokainy z Nowego Jorku, a w Vegas czekał na niego kupiec z plecakiem pełnym gotówki, dwa razy większym od tego, który leżał pod fotelem Jacka.

Ale Jack nie oceniał tego człowieka przez pryzmat zajęcia, jakie tamten wykonywał; gdy ludzie tacy jak Justin Moore decydowali się niszczyć samych siebie używając do tego celu heroiny, nie było to winą dealerów czy producentów strzykawek. Fakt, że Grady handlował narkotykami, nie czynił go kimś godnym pogardy; co najwyżej pozwalał zobaczyć go w innym świetle.

Mężczyzna zaproponował, że pomoże Jackowi dostać się do kliniki pod Las Vegas, bo wiedział, że na tym zarobi. Ich układ był jasny i prosty; nie padło ani jedno pytanie o motywy czy zamiary.

Jack zobaczył Gradyego, gdy ten ładował ciężkie jutowe worki do samolotu i od razu pomyślał, że zabierze się właśnie z nim. Kosztowało go to dziesięć tysięcy dolarów i buicka skylarka, ale było warto. Grady nie zadawał zbędnych pytań i podobnie jak Jack miał powody, by trzymać się jak , najdalej od policji.

- Czy znajdzie się na lotnisku jakiś środek transportu? - spytał Jack, a . obserwując widoczne w dole Vegas. Rozróżniał już hotele na Strip, od rozświetlonej piramidy na jednym końcu po strzelisty Stratosphere na drugim.

Centrum miasta przypominało sieć utkaną z migoczących gwiazd, połączonych ze sobą autostradami; płynące nimi strumienie samochodów kojarzyły mu się z układem krwionośnym nowotworu.

Cessna wzbiła się nad kolejne skupisko chmur i żołądek podszedł Jackowi do gardła. Potem maszyna wyrównała lot i zaczęła podchodzić do lądowania.

- Mogę ci pomóc znaleźć samochód i kilka map okolicy -

zapropował Grady. Choć nie zadawał żadnych pytań, Jackowi dobrze się z nim rozmawiało, zwłaszcza kiedy turbulencje były wyjątkowo silne.

Opowiedział mu nawet o prowadzonych przez siebie poszukiwaniach. - Przy pasie startowym jest telefon, więc będziesz mógł zadzwonić do kliniki i spytać o drogę.

Jak zamierzasz dostać się do środka?

Jack nie powiedział mu o swoich kłopotach z F-Bi-aI ani o tym, że agenci prawdopodobnie będą na niego czekać pod kliniką. Grady jednak nie był głupcem, a samolot, za którego sterami siedział, nie był samolotem pasażerskim. Jutowe worki zaś nie były wypełnione orzeszkami.

- No cóż - odparł po chwili Jack, wpatrzony w mrugające światła miasta. - Najpierw muszę sprawdzić, czy ona w ogóle tam jest. Przez telefon niczego mi nie powiedzą. Spróbuję wymyślić jakiś sposób, żeby porozmawiać na osobności z jednym z pracowników kliniki.

Grady przez pewien czas milczał. Pustynia zbliżała się przy akompaniamencie warkotu silników.

- Jack, jak myślisz, ile osób tam pracuje?

Jack wzruszył ramionami. Mógł tylko zgadywać.

- Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć.

- Dzień w dzień na pustyni, wokół sami chorzy i umierający pacjenci... ciężko wytrzymać, nie sądzisz?

Jack nie był pewien, do czego Grady zmierza.

- Pewnie tak. Próbujesz mi coś powiedzieć?

Grady uśmiechnął się do niego.

- Tylko tyle, że być może istnieje łatwiejszy sposób zdobycia informacji, na której ci zależy.

Jack uniósł brwi.

- Co, znasz jakieś tajne wejście do kliniki? Bo mnie na razie przychodzi do głowy tylko jeden pomysł: desant przez dach.

Grady odwrócił się do pulpitu sterowniczego. Cessna pochyliła się ku ziemi, kabinę wypełnił świst wiatru. Opadali jak kamień ze skrzydłami. W dole nie było widać nic prócz pustyni. Las Vegas zniknęło gdzieś z tyłu i samolot kierował się ku rozległej, piaszczystej, jałowej ziemi.

- Nie zapominaj, gdzie jesteś - powiedział Grady, gdy rozległ się trzask wypuszczanego podwozia. - Ucz się od tubylców. W tym mieście nie trzeba uganiać się za frajerami. Wystarczy zastawić przynętę i poczekać, aż sami przyjdą. Jack nie miał pojęcia, o czym on mówi.

- Jaką przynętę?

- Akurat to jest najłatwiejsze. O ile mnie przeczucie nie myli, przynęta już została zastawiona.

Był środek nocy. Gdyby nie to, że Jack włączył klimatyzację i sączył z butelki wodę mineralną, pomyślałby, iż ma przywidzenia. Przez trzy bite godziny otaczał go tonący w ciemnościach krajobraz pustynny, gdy nagle, spośród piasków wyłonił się, zgodnie z zapewnieniami Gradyego, neon "Tanie Piwo".

Jack nie wiedział, czy to nazwa lokalu, czy tylko reklama. Tak czy inaczej, nie miało to dla niego znaczenia. Długi budynek stał w odległości trzydziestu kilometrów od Bosley Inn. Jeśli przecucie nie zawiodło Gradyego, Jack mógł liczyć na to, że w środku znajdzie kilku zmęczonych pracowników kliniki, szukających ukojenia.

Zdjął nogę z pedału gazu. Zapiaszczony volkswagen garbus przestał się trząść po raz pierwszy od chwili, gdy dwupasmowa autostrada zmieniła się w wąską wstęgę ubitego żwiru. Volkswagen kosztował Jacka mniej więcej tyle samo, co lot z Indiany; w plecaku zostało mu już mniej niż sto dwadzieścia tysięcy dolarów, ale był tak blisko Angie, że prawie czuł zapach jej perfum.

Zatrzymał wóz między dwoma starymi pikapami i rozejrzał się po parkingu. Ponad połowa miejsc była zajęta; stały tu głównie duże samochody pokryte kurzem pustyni. Jack nie miał pojęcia, kto mieszka w tej okolicy oprócz pracowników Bosley Inn, ale domyślał się, że knajpa nigdy nie jest pełna. I nigdy nie jest też pusta. Jak to ujął Grady, kiedy się mieszka na pustyni, prędzej czy później trzeba się napić.

Jack przewiesił plecak przez ramię i ruszył szybkim krokiem w stronę neonu. Kiedy otworzył ciężkie drzwi, w twarz uderzył go podmuch zimnego, klimatyzowanego powietrza. Minęła dłuższa chwila, zanim wzrok Jacka przyzwyczaił się do zadymionego wnętrza. Lokal wyglądał trochę obskurnie, ale zachował specyficzny, wiejski klimat. Ściany obito tanim drewnem, a po przeciwnej stronie pomieszczenia ciągnął się długi kontuar, przy którym stały stołki wyściełane postrzępionym aksamitem. Naprzeciwko, przy kominku, tkwiły trzy zaniedbane kanapy. Stoliki ustawione na wysypanej trocinami podłodze sąsiadowały ze sztucznymi roślinami w doniczkach.

Jack doliczył się co najmniej piętnastu osób, głównie mężczyzn. Kilku klientów stało przy kominku, trzech rozsiadło się na kanapach, a pozostali pili w milczeniu przy stolikach. Panował dość apatyczny nastrój; dobiegające z różnych stron strzępki rozmów składały się głównie z pojedynczych sylab, unoszących się samotnie w gęstych kłębach papierosowego dymu.

Jack ruszył w stronę kontuaru. Skorzystał z okazji, żeby dokładniej przyrzeć się klientom. Większość z nich miała na sobie dzinsy i kowbojki, choć było też kilka osób wyglądających na turystów - być może wpadli tu wracając z okolicznych burdeli. Trudno było na podstawie samego wyglądu stwierdzić, czy któraś z tych osób pracuje z chorymi na raka.

Jack z ciężkim sercem podszedł do jednego ze stołków przy kontuarze.

Jeśli zaraz czegoś nie wymyśli, będzie musiał stawiać drinki wszystkim po kolei, nawiązując sztuczne rozmowy. Nie był to rewelacyjny plan; na razie jednak nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Usiadł na stołku, pogrążony w myślach. Po kilku sekundach z zadumy wyrwało go pojawienie się barmana, który rozłożył przed

nim białą plisowaną serwetkę. Był to chudy mężczyzna o błyszczących brązowych włosach i cienkich wargach.

- Gdyby nie to, że jesteśmy na takim zadupiu, zażądałbym od ciebie jakiegoś dokumentu. Czego sobie życzysz?

Zamówił piwo. Kiedy barman ruszył w stronę lodówki, Jack zauważył, że nad kontuarem stoi telewizor. Lecił właśnie mecz koszykówki. Dźwięk był wyłączony, a obraz śnieżył; widać było, że gra jest wyrównana, ale nie dało się rozpoznać drużyn. Po chwili barman postawił na serwetce piwo.

- Może drinka dla szanownej pani? - spytał barman, patrząc na kogoś nad ramieniem Jacka.

Jack odwrócił się i zobaczył wysoką blondynkę. Skrzyżowała ramiona na bujnych piersiach i uśmiechnęła się szeroko.

- Nie mów, że przejechałeś taki kawał drogi tylko po to, żeby się napić piwa, kochany. Dotrzymać ci towarzystwa?

Jack uśmiechnął się z ulgą. Grady i tym razem się nie pomylił: w każdym barze w okolicy dyżurowała co najmniej jedna pracująca kobieta.

Było więcej niż pewne, że przynajmniej niektórzy z pograżonych w depresji pracowników kliniki przychodzili tu nie tylko ze względu na tanie piwo. Może los wreszcie zaczął mu sprzyjać.

- Proszę, niech pani siada - powiedział, starając się sprawiać wrażenie starszego niż był.

Kobieta spoczęła z gracją na sąsiednim stolku, a barman podał jej szklankę soku pomarańczowego i dyskretnie usunął się na bok, by nie przeszkadzać w rozmowie.

- Jesteś za ładny, jak na ten lokal - zagaiła kobieta, nachylając się tak, by mógł zobaczyć jej wdzięki. - Czekaj, nie mów. Dziewczyna złamała ci serce; przyjechałeś na pustynię, by utopić swoje troski w grzechu.

Jack utkwiał oczy w ekranie telewizora, by nie patrzeć na jej ponętne kształty.

- Mniej więcej.

Kobieta nie wyglądała na urażoną jego oschłą odpowiedzią. Była dobrą rozmówczynią. Jack prawie się nie odzywał, a ona mimo to opowiedziała mu o sobie prawie wszystko. Miała na imię Lori i pochodziła z Dallas.

Przez trzy lata pracowała w Las Vegas jako striptizerka, po czym wyniosła się za miasto. Tak, była wcześniej modelką. Nie, nie nienawidzi swojej pracy, bo strasznie kocha mężczyzn. Tak, można ją wynająć na wieczór kawalerski i nie, nie ma chłopaka. Były to odpowiedzi na pytania których Jack nawet nie zdążył zadać. W końcu Lori jednym haustem wychyliła szklankę soku pomarańczowego.

- No to co, chłopcze, chcesz się zabawić, czy wystarczy ci piwo?

Jack odwrócił się od telewizora. Przyszła kolej na jego ruch.

- Prawdę mówiąc, szukam kogoś. Kilkanaście kilometrów stąd

jest ośrodek badawczy o nazwie Hosley Inn. Pracuje tam mój znajomy. Często tu przychodzi.

Lori nie należała do osób podejrzliwych.

- Ach, jeden z tych facetów od raka. Ta knajpa to ich drugi dom.

Strasznie ciężko jest pracować ze śmiertelnie chorymi.

Jack uśmiechnął się w duchu, Grady miał rację. Zastawić przynętę i czekać, aż frajerzy sami przyjdą.

- Jest tu dzisiaj któryś z nich? - spytał z nadzieją. Był gotów spędzić przy kontuarze cały weekend, byle spotkać jakiegokolwiek pracownika kliniki.

Lori rozejrzała się po sali. Potem wskazała jedną z kanap ustawionych przy kominku.

- Ten mały okularnik w kowbojkach. Steve Pickney. Jest całkiem miły, kiedy nie pije. W tym tygodniu już dwa razy się z nim zabawiałam.

To ten twój znajomy?

Jack potrząsnął głową. Pickney miał jasnorude włosy i ubrany był w brzydką flanelową koszulę. Jego policzki były prawie tego samego koloru, co włosy, a na kanapie obok niego leżała butelka szkockiej whisky.

- Nie, ale może go zna. Pójdę z nim pogadać.

- Siedź - powiedziała Lori, podnosząc się ze stołka. - Ja go zawołam.

Zdaje się, że ten turysta pod drzwiami potrzebuje towarzystwa.

Jack patrzył za nią. Lori podeszła do rudowłosego mężczyzny i coś mu powiedziała; ten podniósł głowę i spojrzał w stronę kontuaru.

Najwyraźniej był wkurzony, że ktokolwiek śmie mu przeszkadzać. To trochę komplikowało sytuację, ale Jack miał to gdzieś. Jak do tej pory, sprzyjało mu szczęście.

Lori ruszyła w stronę turysty, zostawiając Pickneya samego.

Rudowłosa mężczyzna porwał butelkę szkockiej i chwiejnym krokiem podszedł do kontuaru. Zatrzymał się przy Jacku.

- Lepiej postaw mi piwo, młody, bo nie mam czym popić whisky. Właśnie zaczynałem się dobrze bawić.

Bił od niego silny, wręcz odurzający zapach alkoholu. Jack wskazał wolny stołek.

- Niech pan usiądzie. Chcę tylko o coś zapytać, a potem dostanie pan tyle piwa, ile zechce. Na mój koszt.

Mężczyzna osunął się na stołek, patrząc na Jacka podejrzliwie.

- Lori powiedziała mi, że masz znajomego, który pracuje w klinice.

Jack potrząsnął głową.

- Musiała coś źle zrozumieć. Moja znajoma jest w klinice, ale jako pacjentka. Nazywa się Karla Dawson. Zna ją pan?

Pickney zmrużył oczy.

- Co ty, kurwa, kręcisz? Nie udzielamy informacji o naszych

pacjentach.

Barman patrzył na nich, wyraźnie zaniepokojony zachowaniem Pickneya. Jack zniżył głos.

- Nie chcę robić zamieszania. Jutro jadę do kliniki w odwiedziny do mojej znajomej. Mówiłem o tym Lori, a ona powiedziała, że pan tam pracuje. Pomyślałem, że zapytam, czy pan ją zna.

To wyjaśnienie brzmiało rozsądnie. Pickney jakby się nieco uspokoił.

Pociągnął duży łyk whisky i wzruszył ramionami.

- To niczego nie zmienia. I tak nie mogę ci nic powiedzieć.

Jack skinął głową.

- Jest pan lekarzem?

Pickney roześmiał się zgryźliwie.

- A wyglądam na lekarza? Jestem technikiem. Pilnuję piecyków z mięsem.

Jack wiedział o co chodzi; mimo woli zacisnął pięści.

Prowadząc swoje badania, czytał o klinikach takich jak Bosley Inn.

- Znajoma pisała mi o stosowanych przez was terapiach.

Hipertermia wydaje się trudna w stosowaniu. Komórki nowotworowe są wrażliwsze od normalnych na ciepło, ale trudno jest trafić ciepłą wiązką w odpowiednie miejsce, nie uszkadzając otaczających tkanek.

Pickney spojrział na niego. Potem odwrócił się do barmana i zamówił piwo.

Kiedy je dostał, wbił wzrok w telewizor: Trwała ostatnia kwarta meczu i był remis.

- Gadasz jak naukowiec.

- Mam doktorat z biologii - powiedział Jack. Chciał wrócić do rozmowy o Angie, ale musiał to zrobić ostrożnie. Chciał, by facet poczuł się pewnie. - Dużo czytałem na temat leczenia raka. Myślę, że wasza klinika jest jedną, z najlepszych.

Pickney wzruszył ramionami.

- Bosley niegłupio to wszystko wykombinował. Za pomocą cylindrów z włókna szklanego kierujemy ciepło mikrofalowe prosto do nowotworów.

Niektórym pacjentom w bardziej zaawansowanym stadium choroby doktor wszczepia w pobliżu guzów namagnetyzowane pręty, które potem nagrzewamy za pomocą promieniowania. Zupełna nowość. Może twoja znajoma wyjdzie z tego, jeśli nie jest z nią bardzo źle.

Jack patrzył w milczeniu, jak Pickney pije na przemian piwo i whisky.

Może jego praca rzeczywiście była stresująca, a może po prostu wczuł się w atmosferę baru na środku pustyni.

- Nazywa się Karla Dawson. Niektórzy mówią na nią Angie. Jest wysoką brunetką...

- Hej! - krzyknął Pickney. - Już ci mówiłem, że nie wolno mi rozmawiać o naszych pacjentach!

Jack rozpiął plecak. Włożył rękę do środka. Jego palce

musnęły twardą łufę trzydziestki ósemki i spoczęły na pliku banknotów. Wyciągnął pięć z nich i położył je na ladzie.

- Nie chcę siedzieć na tej zasranej pustyni ani minuty dłużej niż to konieczne. Wystarczy, że powiesz mi, czy ona jest w klinice, to zostawię cię w spokoju. Zarobisz pięćset dolarów. Wydaje mi się, że to korzystny układ.

Pickney wlepił wzrok w banknoty. Wahał się tylko przez chwilę.

- Tak, znam Karłę. Była u nas, ale wyjechała cztery tygodnie temu.

Niewiele mogliśmy dla niej zrobić. Jej rak był w zbyt zaawansowanym stadium, by stosować terapię cieplną, Bosley przepisał jej dietę ziołową, ale to nie pomagało. Jej stan się pogarszał.

Jack poczuł ucisk w żołądku. Zaczęło mu się kręcić w głowie.

- Czy ona...

-Przeniosła się do Los Angeles - powiedział Pickney, zabierając banknoty. - Dostała pracę w kawiarni na Melrose, o jakiejś francuskiej nazwie.

"Le" coś. Zaprosiła nas wszystkich, żebyśmy tam kiedyś zajrzeli.

Najmilsze stworzenie na świecie,..

Pickney urwał w pół zdania, wpatrzony w telewizor. Jack próbował uporządkować w myśli wszystkie uzyskane informacje. Angie żyła, ale było z nią coraz gorzej. Odpuściła sobie medycynę alternatywną i została kelnerką w Los Angeles. Jack mógł znaleźć ją jeszcze tej nocy...

- O cholera - burknął Pickney, wskazując telewizor. - Czy to aby nie ty?

Jack podniósł głowę. Ekran wypełniało jego czarno - białe zdjęcie z szkolnej książki pamiątkowej. Jack zaczerwienił się i zastygł w bezruchu.

Chryste.

F-Bi-a! pokazało jego twarz w telewizji. Musiał się stąd czym prędzej wynosić.

- Hej, Chester - krzyknął Pickney. - Daj głośniejsze. Mamy tu gwiazdora.

-Nie trzeba - powiedział Jack, podnosząc się ze stołka, ale było za późno. Barman wcisnął guzik schowany pod kontuarem. Z głośnika wydobył się dźwięk i wszyscy klienci zwrócili spojrzenia w stronę telewizora.

Czarno - białe zdjęcie zniknęło, a na ekranie pojawił się siedzący w studio stary człowiek, którego Jack widział pierwszy raz w życiu.

Nieznajomy miał krzaczaste siwe brwi i ubrany był w niemodny garnitur. Przez salę popłynął jego głos:

- F-Bi-a! nadała mu przydomek "Pożeracz Karmy", ale ja nazywam go "Plagą". Widzicie państwo, choroba żyje w jego skórze. Wystarczy, że was dotknie - i umrzecie. W potwornych mękach.

Na ekranie pojawiła się policyjna fotografia szkieletu

leżącego na beżowym materacu. Obok czaszki widać było pukle długich, czarnych włosów.

- Nazywała się Kate Matti - ciągnął spiker. - To tylko jedna z dziesięciu ofiar. Jeśli ten człowiek dotknie kogoś z was, skończycie tak, jak ona. Śmierć następuje po upływie kilku minut. Ten człowiek to chodząca plaga, która w tej chwili jest wśród was. Jeśli go zobaczycie - uciekajcie. Bo zginiecie, jeśli was dotknie.

Na ekranie ponownie pojawiło się czarno - białe zdjęcie. Jack wbił wzrok w swoją twarz; krew tętniła mu w uszach. O Boże. Wciąż miał przed oczami obraz szkieletu Kate Matti.

To niemożliwe. Ten człowiek kłamał. Jack otworzył i zamknął usta, usiłując złapać powietrze.

"Wiem, że nie chciałeś nikomu zrobić krzywdy". Przypomniał sobie uzbrojonych agentów F-Bi-aI w McDonaldsie, wypełnione strachem oczy Tyler Ross i krótko ostrzyżonych mężczyzn w czarnych garniturach, kręcących się po Penn Station. ścigali go, bo był mordercą. Plagą.

Jasna cholera.

- Jezu! - wydyszał Pickney, wpatrując się w banknoty, które trzymał w dłoni. Trzeźwiejąc, cisnął je z obrzydzeniem na ladę i potoczył się do tyłu.

Jego twarz była biała jak ściana.

- To ty - wychrypiał - ty jesteś Pożeraczem Karmy. Nosisz śmierć na swojej skórze!

Jedna z kobiet krzyknęła i wszyscy zaczęli odsuwać się jak najdalej od Jacka. Barman sięgnął po telefon, z twarzą wykrzywioną strachem.

Jack wstał, podniósł plecak i rozłożył ręce.

- To nieprawda - wyszeptał. - To nie może być prawda.

Proszę, Boże, nie pozwól, żeby to było prawdą. Spojrzał na swoje palce, na różową skórę rozciągniętą na schowanych pod nią kościach. Oczami wyobraźni zobaczył dłonie Kate Matti - zakrzywione kości palców na beżowym materacu. Błagam, Boże, błagam, Boże, błagam, Boże...

Po chwili przed jego oczami pojawił się inny obraz. Jack zobaczył, jak pochyla się nad uspioną Kate i dotyka wargami jej ust.

Odwrócił się i wybiegł z baru.

20

Szyba po stronie kierowcy była opuszczona, a Jack krzyczał na cały głos.

Jego znękany głos niósł się echem po pustyni. Powiedz mi, jak to się stało? - krzyczał. Dlaczego? Powiedz mi, w którym momencie popełniłem błąd?

Okrutna pustynia milczała. Garbus trząsał się, prawie nie dotykając kołami zwirowanej drogi. Oczy Jacka były zamglone od łez; jechał z wyłączonymi światłami, niczym stalowy pocisk mknący

przez ciemność. Modlił się, błagał Boga, by pozwolił mu wpaść na rozpedzoną cysternę i skończyć ten koszmar. Potem wyobraził sobie płomienie trawiące skórę Bogu ducha winnego kierowcy cysterny i łzy popłynęły mu z oczu jeszcze obfitszym strumieniem, paląc policzki jak pomarańczowe języki ognia. W telewizji mówili, że swoim dotykiem zabił dziesięcioro ludzi. Niewinne ofiary, z których zostały tylko szkielety. Kate Matti w motelu Sleepy Hollow. Kim byli pozostali?

Kogo jeszcze dotknął? Przed oczami przewijały mu się twarze. Justin Moore? Staruszka z dworca Grand Central? Ktoś z pociągu? Ktoś na Penn Station? Jakiś dzieciak z McDonaldsa? Doktor Kendrick? Grady?

Jack z całej siły wcisnął hamulec i koła wryły się w nawierzchnię drogi, wzbijając tuman kurzu. Osunął się na kierownicę, oddychając ciężko. Musiał odzyskać panowanie nad sobą. Musiał się zastanowić.

Człowiek z telewizji nazwał go plagą. Powiedział, że choroba żyje w jego skórze i że rozprzestrzenia się przez dotyk.

Pierwsze pytanie narzucało się samo: czy to możliwe? Czy Jack naprawdę niesie śmierć? A może to jakaś sztuczka F-Bi-aI? Nie, to nie była sztuczka. Reportaż telewizyjny wywołał panikę w całym kraju. Jack nie mógł zapomnieć przerażonych oczu Pickneya, krzyków kobiet, które słyszał za swoimi plecami wybiegając z baru. F-Bi-aI z pewnością, wolałoby utrzymać tę sprawę w tajemnicy.

A zatem jeśli nie jest to sztuczka F-Bi-aI, jak coś takiego w ogóle może być możliwe? Jack wziął kilka głębokich oddechów i otarł łzy. Był naukowcem, musiał to wszystko racjonalnie przemyśleć. Zamknął oczy i zaczął udawać przed sobą, że znów jest w swoim laboratorium w Harvardzie, w środku nocy, sam na sam ze swoimi próbkami i płytkami Petriego. Sam na sam ze swoimi bakteriami.

Otworzył oczy i spojrzał na plecak stojący na siedzeniu pasażera.

Zaczął dygotać na całym ciele.

Mój Boże.

Paciorkowiec A żył wewnątrz ludzkich komórek skórnych. Był przenoszony głównie przez dotyk. Przed modyfikacją stanowił jeden z naj-niebezpieczniejszych mikroorganizmów na ziemi. Potrafił pożerać skórę i tkankę organiczną w tempie kilku centymetrów na godzinę. Gdyby zostawić go w spokoju wystarczająco długo - na kilka tygodni, może miesięcy - teoretycznie byłby w stanie ogryźć człowieka do kości.

Ale Kate Matti nie umierała przez kilka miesięcy. Facet z telewizji mówił, że trwało to sekundy. Przyczyną zgonu nie mogło być zatem martwicze zapalenie powięzi.

Jack zaczął walić rękami w kierownicę. Posłużył się paciorkowcem A przy tworzeniu swojego cudownego leku. Bakterie w jakiś sposób przeszły kolejną mutację i zmieniły się w coś nieopisanie bardziej niebezpiecznego. A on nosił tę plagę w

swojej skórze.

- Dlaczego ja żyję? - spytał na głos. - Dlaczego to cholerstwo nie mogło mnie po prostu zabić?

Nie było to pytanie naukowe, a raczej wołanie do Boga. Jack majstrował w bakteriach na poziomie genów; nauczył je zwalczać nowotwory.

A teraz niszczyły skórę i narządy. Choć Jack nie zrobił tego umyślnie, była to jego wina. To on powinien umrzeć. Zamiast tego jednak stał się nosicielem.

Przygnieciony poczuciem winy, czuł na swoich barkach ogromny ciężar. Był mordercą. Kate Matti niewinna młoda dziewczyna, chciała mu tylko pomóc. A on ją zabił.

Kiedy robisz coś złego, Jack, musisz to naprawić. Karma, Jack".

Karma.

- Ale jak mam naprawić?

Na to pytanie nie mogła mu odpowiedzieć ani pustynia, ani Angie.

Musiał sam do tego dojść. Musiał w jakiś sposób wszystko naprawić.

Najpierw musiał się oddać w ręce F-Bi-aI. Gdyby dali mu dostęp do laboratorium, mógłby sprawdzić, co poszło nie tak. Mógłby wyizolować bakterie, zredukować je do poziomu genów i dowiedzieć się, jak doszło do tego, że zmieniły się z powrotem w morderców.

Potrząsnął głową, zdumiony własną głupotą. F-Bi-aI nie udostępni mu laboratorium; zastrzelą go przy pierwszej okazji.

Jedyną jego nadzieją była Tyler Ross. Chyba chciała z nim porozmawiać. Może go wysłucha.

Wcisnął gaz, przywracając mały samochód do życia. W pierwszej chwili miał ochotę zawrócić i pojechać prosto do Bosley Inn. F-Bi-aI pewnie obserwowała klinikę. Potem wpadł na lepszy pomysł.

Jeśli federalni zjechali w te strony, musieli zamieszkać w jednym z pobliskich hoteli. Nietrudno będzie ich znaleźć i, co najważniejsze, nie będą się spodziewać, że to on przyjdzie do nich. Jeśli dopisze mu szczęście, porozmawia z Tyler Ross w cztery oczy.

Może ona mu uwierzy. Nie chciał nikogo zabić. Chodziło mu tylko o to, by uratować Angie. Jego zamiary były szczerze. Choć to jeszcze nie karma, ale od czegoś trzeba zacząć. Może Tyler Ross zrozumie.

21

Tyler patrzyła na księżyc odbijający się w tafli cuchnącej wody.

Basen miał kształt nerki. Świecąca biała kula migotała przy każdym podmuchu wiatru muskającego gęstą, zielonkawą wodę. Kobieta owładnęła niewytłumaczalne pragnienie, by przebić rękami

odbity obraz i roztrzaskać go na milion świetlnych iskier. Potem jednak wyobraziła sobie brudną wodę zzerającą jej skórę i zadygotała. Owinęła się ciasniej żakietem z owczej wełny.

- Wszystko w porządku? - Dutton siedział po drugiej stronie małego stolika, na którym paliły się świece. - Może chce pani mój płaszcz?

Tyler uśmiechnęła się. Byli sami na patio obskurnego hotelu w sercu pustyni. Dochodziła północ. Ostatni z agentów F-Bi-aI zajmujących sąsiednie stoliki już godzinę temu rozeszli się do pokojów, zmęczeni po całym dniu siedzenia w kuloodpornych furgonetkach.

- Jestem po prostu zmęczona - odparła Tyler, wciąż wpatrzona w basen. - I zdezorientowana. To śledztwo jest jak pojedynek bokserski. W jednej chwili czuję się, jakbym miała wszystko pod kontrolą, po czym dostaję cios i tracę równowagę. Minęły trzy dni, a ja cały czas błędę po omacku.

Zupełnie, jakbyśmy ciągle siedzieli w laboratorium uniwersyteckim.

Frustracja sprawiała jej fizyczny ból. Po zejściu w McDonaldsie Tyler była bliska załamania. Choć uratowała życie młodemu pracownikowi restauracji, i on, i ona wyszli z tego mocno okaleczeni psychicznie.

Całymi godzinami przesiadywała przy jego łóżku, do czasu, gdy dowiedziała się od Moona o klinice pod Las Vegas. Na myśl o kolejnym spotkaniu z Jackiem Collierem twarzą w twarz kręciło się jej w głowie; ale ambicja nie pozwalała zrezygnować.

W samolocie do Nevady skontaktowała się z Duttonem i załatwiła mu lot czarterowy z Bostonu. Nikt nie wiedział o tych bakteriach tyle co profesor Dutton, a jeśli on nie będzie w stanie wytłumaczyć tego, co stało się w McDonaldsie, któż mógłby to zrobić?

Odwróciła się w stronę profesora, który właśnie pił kolejną wódkę z tonikiem. Ubrany był tak, jakby spodziewał się, że noc będzie chłodna: w grubą ciemnozieloną marynarkę koloru jego oczu, ciemne dżinsy i białą płócienną koszulę. Wydawał się mniej zmęczony niż w czasie ich ostatniej rozmowy, ale w jego oczach wciąż czaiła się dzikość, tylko częściowo spowodowana wypitym alkoholem. Nie miała pojęcia, co przeszedł w Cambridge, ale mogła się domyślać, że było mu równie ciężko jak innym.

- No to może się pani napije? - powiedział Dutton.

Tyler potrząsnęła głową. Po drugiej stronie basenu stał bufet i barman był już z Duttonem po imieniu. Podczas gdy Tyler obserwowała klinikę, siedząc w jednej z kuloodpornych furgonetek, profesor zdecydował się zostać w hotelu, pośród książek o biologii i wstępnych raportów Caufielda. Tyler nie pochwałała picia, ale jeśli alkohol ułatwiał Duttonowi koncentrację, nie zamierzała się skarżyć.

Sama, chętnie by się napiła, gdyby nie to, że przed wieloma laty odstawiła alkohol w ramach ścisłej, antyrakotwórczej diety. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że siedząc tu, na pustyni, tracą

czas; o wiele więcej dokonałaby w laboratorium Feinberga w Waszyngtonie, zwłaszcza gdyby był tam z nią Dutton.

- Może pokaże się w klinice - powiedział profesor, odstawiając szklankę na stolik. - Może nie widział tego reportażu.

Tyler potrząsnęła głową. Odkąd telewizja nagłośniła sprawę, obserwacja kliniki stała się czystą formalnością. Jack Collier nie ośmieliłby się tam pokazać; wiedział, że wszyscy w kraju śmiertelnie się go boją. Mimo to Caufield wciąż sterczał pod kliniką z kilkoma pachołkami Moona, choć Tyler nie sądziła, by to cokolwiek dało. Moon poszedł spać już kilka godzin temu, a rano zamierzał rozszerzyć swoje działania na cały kraj.

- Reportaż został wyemitowany we wszystkich stacjach w kraju. Na naszą infolinię dzwoniło już ponad pięć tysięcy ludzi twierdzących, że widzieli Colliera w różnych miejscach, od Trenton po Seattle. Nawet jeśli sam nie ogląda telewizji, na pewno doświadczył skutków tego programu. Wątpię, by mógł wejść do jakiegokolwiek sklepu, nie wywołując ogólnej paniki.

- Żadne ze zgłoszeń nie zostało potwierdzone? - spytał Dutton.

Tyler wzruszyła ramionami.

- Minie wiele dni, zanim je wszystkie sprawdzimy. Ten reportaż był dla nas całkowitym zaskoczeniem. Jakiś dziennikarz z Indiany na własną rękę rozgryzł całą sprawę.

Dutton odchylił się na oparcie krzesła, krzyżując swoje długie nogi.

Przeczesał rękami bujne, kasztanowe włosy.

- Przynajmniej wiadomo, że Collier daleko nie ucieknie, skoro szuka go cały kraj. Skończy się na tym, że rąbnie go jakiś przypadkowy glina.

Nie wydawał się zbyt przejęty taką możliwością. Tyler złożyła to na karb przepełniającej go wściekłości; w końcu Jack zniszczył jego dzieło, jego cudowny lek.

Przypomniała sobie moment, gdy stanęła z Collierem twarzą w twarz.

Pamiętała, jak upierał się, że lek jest jego, nie Duttona własnością. A potem powiedział coś jeszcze, coś, co pozostawało dla niej zagadką:

"Dutton nie potrzebuje tych cholernych pieniędzy". Jakby studolarowe banknoty, które nosił w plecaku, kiedyś należały do profesora.

Tyler utkwiała wzrok w twarzy Duttona. Patrzył na drugi brzeg basenu.

Po raz kolejny uderzyła ją jego uroda i zawadiacki błysk w zielonych oczach.

To prawda, nie wyglądał na człowieka, któremu brakuje pieniędzy. Nie dlatego, że był bogaty; dlatego, że pieniądze nie były dla niego ważne.

Został stworzony do wyższych rzeczy.

Jack miał jakieś urojenia; tylko tak mogła wytłumaczyć jego

słowa. Może jednak nie była to wyłącznie jego wina. Może to, co nosił w swojej skórze, działało też na jego mózg.

- Ale dlaczego to go nie zabija, tak jak innych? - spytała Tyler, myśląc na głos. - Czemu bakterie nie atakują jego ciała?

Dutton zerknął na nią kątem oka i wzruszył ramionami, jakby nic go to nie obchodziło.

- Znalazł jakiś sposób, by się przed nimi ochronić. Zmienił się w żywą broń.

Nie było to zbyt przekonujące wytłumaczenie. Tyler w zamyśleniu przycisnęła dłoń do twarzy. Jeszcze raz przypomniała sobie tę chwilę w McDonaldsie, gdy Jack wyciągnął rękę i dotknął chłopaka z obsługi, a nastolatek zatoczył się do tyłu, ściskając bolący nadgarstek....

Nagle pojawiło się inne wspomnienie. Wróciła pamięcią do spotkania z bratem w kawiarni w Chicago. W pewnym momencie David powiedział coś o nieświadomych ludziach zakażonych wirusem HIV. Nazwał ich niewinnymi nosicielami. Niosącymi śmierć.

To wszystko wyjaśniało. Nosiciel. Żywiciel.

- Paciorkowiec A musi w nim rozpoznawać swojego żywiciela. Genotyp bakterii musi zawierać jakiś element tak ją programujący, by zostawiła Colliera w spokoju i dzięki temu mogła przetrwać. Ale wszyscy inni są celem ataku. Są pokarmem.

Dutton poruszył się niespokojnie.

- Być może to Collier je tak zmodyfikował. Tak, by mógł zabijać dotykiem. Po co taszczyć ze sobą jakąś bombę biologiczną?

W ustach Duttona brzmiało to jak najłatwiejszy zabieg na świecie: genetyczna modyfikacja śmiertelnie niebezpiecznych bakterii w celu wprowadzenia ich do komórek naskórkowych. Cóż, Dutton był geniuszem, to on w końcu stworzył ten lek. Tyler jednak musiała nieco przyhamować, przemyśleć wszystko punkt po punkcie.

- Choroba nie rozprzestrzenia się przez kontakt pośredni - powiedziała. - Collier dotyka pieniędzy, potem kto inny dotyka tych samych pieniędzy i nie dzieje się nic złego. Bakterie atakują tylko w przypadku kontaktu bezpośredniego. Albo w sytuacji takiej jak w szalecie na Penn Station, przez kontakt z osadem żywej tkanki, kroplą moczu na desce klozetowej.

Dutton zabębnił palcami w stolik. Świeczka zadrżała.

- To ma sens. Bakterie różnią się od wirusów. Wirusy rozprzestrzeniają się, bo potrzebują żywicieli, by się rozmnażać. Mogą opuścić organizm jednego nosiciela i czekać cierpliwie, aż pojawi się następny, który je uaktywni...

- Za to bakterie bardziej przypominają drapieżników - dokończyła za niego Tyler. - Bakterie jedzą, bo są głodne, nie chodzi im tylko o to, by przeżyć. Jeśli w jakiś sposób udaje im się żyć w skórze Jacka Colliera, nie opuszczają jej, dopóki nie wejdą w kontakt z innym źródłem pokarmu.

Zaczęła wyliczać na palcach kolejne ofiary.

- Mężczyźni na Penn Station. Kot w mieszkaniu Justina Moorea. Kate Matti. Chłopak z McDonaldsa...

- I dwoje moich studentów.

Tyler przez chwilę milczała, zaskoczona gniewnym tonem Duttona. To miała być czysto naukowa dyskusja.

- Nie, nie sędzę, by Jack wszedł z nimi w bezpośredni kontakt.

Zarazili się paciorkowcem A z płytki Petriego, tak jak prosiak podczas naszego eksperymentu.

Dutton spojrział na nią. Jego oczy zasnuły się mgłą.

- Czyli ci dwoje umarli dlatego, że wysłałem ich do laboratorium po próbki. To była moja wina.

Tyler zrobiło się go żal. W głosie profesora brzmiał autentyczny ból.

-Nie, nie wiedział pan, że z paciorkowcem dzieje się coś złego.

- Ale Jack to wie - powiedział Dutton. Ból wyparty został przez złość. -Umyślnie roznosi tę chorobę. Zmienił się w plagę.

Tyler nie była tego taka pewna. Wchodząc tamtego dnia do McDonalda, nie miała prawie żadnych wątpliwości, że Jack jest mordercą, za jakiego uważał go Moon. Teraz to przekonanie powoli ją opuszczało. Czy ten chłopak naprawdę mógł zmodyfikować bakterie i umieścić je w swojej skórze, zmieniając samego siebie w żywą broń? Czy nie istniały łatwiejsze sposoby zabijania?

- On nie dotknął tego pracownika baru, by go zabić - powiedziała z przekonaniem.

Dutton prawie krzyknął.

-A skąd pani wie? Mówiła pani, że miał pistolet, ale nie strzelił do chłopaka.

Zamiast tego złapał go za nadgarstek . Dla mnie to oczywiste, że chciał go zabić.

Tyler oparła łokcie na stoliku. Na posagowej twarzy Duttona igrał odblask płomyka świecy. Na jego usta wypłynął uśmiech.

- Przepraszam, podchodzę do tego zbyt emocjonalnie. To, co się stało, było dla mnie wielkim ciosem. Chciałem tylko pomóc cierpiącym ludziom.

Teraz mój lek został zmieniony w straszliwą plagę, a ja nie mogę się z tym pogodzić. Jack pozbawił wielu ludzi szansy przeżycia. To takie niesprawiedliwe.

Tyler dotknęła palcami dłoni Duttona. W oczach profesora dostrzegła głęboki ból. Znała jego przeszłość. Wiedziała, że w tej chwili w jego żyłach płynie więcej wódki niż krwi, ale to nie miało znaczenia.

On jest wyzwaniem, przypomniała sobie.

Ale był też człowiekiem, który mógł ją zrozumieć, Poświęcił całą swoją karierę temu, by zrozumieć ludzi takich jak ona.

- Siedem lat temu wykryto u mnie raka piersi - powiedziała cicho. -Pamiętam to tak, jakby zdarzyło się wczoraj. Było wtorkowe popołudnie, poszłam na regularne badania mammograficzne. Oglądanie zdjęć zwykle zajmowało mojej lekarce około dziesięciu minut. Tamtego dnia czekałam dwa razy dłużej. Wiedziałam, że coś jest nie tak.

Tyler mówiła jak w hipnotycznym transie, ale nie mogła się powstrzymać. To śledztwo przytłaczało ją. Patrząc w zielone oczy Duttona, czuła, że musi wreszcie podzielić się z kimś swoim ciężarem.

- Weszła do poczekalni i oznajmiła, że musi zrobić jeszcze jedną serię zdjęć. Nie przejmuj się, powiedziała, to zwykła formalność. Ale ja wiedziałam, że to nie jest formalność.

Dłonie Duttona były ciepłe, pokryte kropelkami potu. Nie cofnął ich.

- Po prawej stronie pojawiło się zwapnienie. Lekarka przeprowadziła badanie ręczne i wymacała torbiel.

Wciąż przeżywała ten moment równie silnie, jak przed siedmioma laty.

- Dokładnie pamiętam, co wtedy miałam na sobie - ubranie w moich ulubionych kolorach, czerwieni i czerni. Jedwabna bluzka w pasy, włoska kamizelka z dzianiny, czarna spódnica do połowy łydki, czarne rajstopy i czarne buty. Pamiętam, jak w szoku jechałam do domu, jak dzwoniłam do mojego ówczesnego faceta i płakałam całymi godzinami. A potem przyszedł zabieg. I tak miałam małe piersi, a wycinanie samego guzka byłoby bez sensu.

Poza tym, nie chciałam dłużej nosić tego w sobie.

Dutton otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Zbladł, ale Tyler nie przerwała swojej opowieści. Wiedziała, że on rozumie. Był specjalistą od raka; przesiedział w laboratorium wiele lat, usiłując znaleźć lekarstwo.

-Na szczęście nie było przerzutów. Mimo to wiedziałam, że moje życie nie będzie już takie samo. Sześć miesięcy chemoterapii, pięć lat hormonów, czekania i strachu. Teraz mówią mi, że jestem wyleczona, ale ja wiem, że rak zawsze pozostanie we mnie. W duszy, jeśli nie w ciele.

Czekała, aż Dutton coś powie. Wyglądał na zaskoczonego. Jego wyraziste rysy zastygły w blasku świecy. Tyler poczuła, że zaczyna się rumienić.

Szalona? Przecież prawie nie знаła tego człowieka. Skoro jednak zaczęła, nie mogła nie skończyć.

- Do tej pory nie noszę czerwonego ani czarnego. Te kolory były częścią mojej osobowości, symbolem kontroli, jaką miałam nad swoim światem.

Tej kontroli mnie pozbawiono.

Zawiesiła głos. Jej ręce drżały, a do oczu cisnęły się łzy. Pragnęła, by Dutton coś powiedział, by jakoś zareagował. Spojrzała mu w oczy z nadzieją - i wtedy to się stało.

Dutton nachylił się nad stolikiem i pocałował ją.

Drzwi pokoju hotelowego otworzyły się i Tyler poczuła, że Dutton przenosi ją przez próg. Gdy jego usta wędrowały po jej szyi, pożądanie przenikało ją do głębi; w głowie jednak miała zupełną pustkę. Wiedziała, że to, co robi, jest niedorzeczne, że jest agentką federalną prowadzącą śledztwo, a on -cywilem pozostającym pod jej ochroną. Gdyby Moon złapał ich na gorącym uczynku, mógłby doprowadzić do zawieszenia, a nawet wydalenia ze

służby.

Ale, o Boże, cóż za rozkosz. Zdejmując z niej zakiet, Dutton musnął zębami jej kark. Wsunął prawą nogę między uda Tyler, uniósł kolano i zaczął pocierać jej krocze. Stali na środku pokoju, przed pluszową kanapą ustawioną naprzeciwko małej kuchni. Na podłodze, pod nogami Tyler leżała skórzana torba, a kawałek dalej dwie butelki po whisky. Za nimi znajdowało się łóżko, z już rozłożoną pościelą i poduszkami ułożonymi jedna na drugiej pod wysokim wezłowiem.

To dzieje się o wiele za szybko, pomyślała. Odetchnęła głęboko, mówiąc sobie w duchu, że musi się powstrzymać, że musi wrócić do swojego pokoju i zamknąć drzwi. Dutton wpił się w jej wargi w namiętym pocałunku i całe jej ciało zaczęło drżeć. Jego dłonie wędrowały w górę, w stronę guzików koszuli...

Złapała go za nadgarstki i odepchnęła. Czowała, że się czerwieni. Zrobiła krok do tyłu i o mało się nie potknęła o leżącą na podłodze torbę.

Dutton spojrzał na Tyler, wyraźnie zbity z tropu. W jego oczach płonęło pożądanie.

- Co się stało? Nie chcesz tego?

Chciała. Choleśnie chciała. Ale od roku z nikim nie spała. I mimo upływu czasu, ta chwila przejmowała ją tym samym lękiem, co zawsze.

- Michael - zaczęła i zamilkła. Słowa nic tu nie mogły pomóc.

Powoli odwróciła się na bok i rozpięła guziki koszuli. Kiedy miękki materiał zsunął się z ramion Tyler i opadł na podłogę, spojrzenie Duttona spoczęło na jej piersi.

Miała wrażenie, że przez jego twarz przemknął cień. Ale pomyślała, że to tylko złudzenie wywołane niepewnością.

- Jesteś taka piękna - szepnął Dutton i podszedł do niej.

Chciała mu wierzyć. Spojrzała w dół, na zakrzywioną czerwoną bliznę przecinającą prawą stronę jej torsu. Lewa pierś wydawała się absurdalnie duża w porównaniu z płaską płaszczyzną obok.

Nigdy nie żałowała tego, że zrezygnowała z operacji plastycznej; nie zmieniało to jednak faktu, że za każdym razem, gdy rozbierała się przed mężczyzną, czuła ten sam lęk.

Dutton podniósł jej głowę, chwytając palcami za podbródek.

-Naprawdę jesteś piękna.

Mówił łagodnym tonem, ale odkąd zobaczył, co rak z nią zrobił, coś zmieniło się w jego oczach. Tyler przełknęła ślinę, zaciskając zęby.

Przypomniała sobie, z kim jest. Dutton poświęcił całe swoje życie walce z rakiem.

Powinien ją rozumieć.

Ale jego oczy nie mogły kłamać. Wbrew temu, co mówił, widok blizny po jej amputowanej piersi budził w nim obrzydzenie.

- Michael, nie jestem pewna, czy...

- Nie przejmuj się - powiedział. Zanim zdążyła zareagować, położył dłonie na jej biodrach. Pocałował ją, a ona zamknęła

oczy, usiłując na nowo rozpałić w sobie pożądanie. Może to było złudzenie. Może jego to naprawdę nie obchodziło.

Kiedy znów zaczęło ogarniać ją rozkoszne ciepło, poczuła, jak dłonie Duttona zaciskają się na jej biodrach. Bez słowa odwrócił ją i przechylił przez krawędź kanapy.

Może jego to naprawdę nie obchodzi, mówiła sobie, choć wiedziała, że to nieprawda. Nie pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji.

Dutton zsunął jej spodnie do kostek i odchylił majtki w bok. Czowała, jak ją, dotyka rękami, jak ją rozsuwa. Po chwili wszedł w nią. Wzrok Tyler zatrzymał się na leżącej na podłodze skórzanej torbie. Była zła, nie na Duttona, ale na siebie samą, za to, że pozwoliła mu to zrobić, że dopuściła do tego, by chwilowa żądza przysłoniła rozsądek.

Słuchała jego jęków towarzyszących kolejnym, coraz mocniejszym pchnięciom i łzy napłynęły jej do oczu. Zacisnęła palce na kanapie, czekając, aż to się skończy. Wlepiała wzrok w skórzaną torbę, odliczając sekundy, kiedy coś zwróciło jej uwagę.

Torba była częściowo otwarta i Tyler przez łzy dostrzegła w niej coś, co wyglądało znajomo. Wyteżyła wzrok - i mgła przesłaniająca jej oczy rozplynęła się.

Tyler przez chwilę próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie tego, co zobaczyła. Wróciła pamięcią do zajścia w McDonaldsie; do chmury zielonego confetti, wzbijającej się w powietrze. Szok przerodził się w gniew, kiedy dotarło do niej, że odpowiedź na jedną z najważniejszych zagadek w śledztwie mogła przez cały czas być tak blisko.

Dutton, ty cholerny draniu!

Skórzana torba leżąca na podłodze wypchana była banknotami studolarowymi.

22

Niecałe dziesięć metrów dalej, w ciemnościach, świat Jacka Colliera walił się w gruzy. Jack stał na wąskim występie przy oknie hotelowym, trzymając się popękanej kamiennej ściany. Między zaciągniętymi zasłonami była dziesięć centymetrowa luka, ale to wystarczyło aż nadto. Widział Duttona stojącego za przechyloną przez krawędź kanapy Tyler Ross, ze spuszczonej spodniami, kołyszącego się w przód i w tył. Widział rumieńce na policzkach doktor Ross i łzy rozkoszy w jej oczach. Widział, jak ci dwoje pozbawiają go jakiegokolwiek szansy na odkupienie, na przedstawienie światu swojej wersji wydarzeń.

Odwrócił się od okna, przywierając plecami do ściany. Spojrzał w dół, na widoczne sześć metrów w dole patio, na twardy beton otaczający basen w kształcie nerki. Wystarczy się wychylić. Wystarczy zamknąć oczy i puścić ścianę...

Nie.

Zacisnął zęby. Nie mógł się poddać, nie w ten sposób. Przemierzając pustynię w poszukiwaniu hotelu zajętego przez

F-Bi-aI, słuchał wiadomości w radiu. Cały świat widział w nim mordercę. Musiał udowodnić, że to nieprawda. Musiał spróbować wszystko naprawić.

Nie mógł pozwolić, by Angie umarła, uważając go za potwora.

Odsunął się od okna. Schody pożarowe, oddalone o dziesięć metrów, prowadziły na parking. Stał tam garbus Jacka, zaparkowany obok licznych furgonetek i dżipów. Tak jak przewidywał, nietrudno było odnaleźć ludzi z F-Bi-aI - a oni nie spodziewali się jego wizyty. Cóż z tego, skoro Tyler Ross znalazła sobie tak ciekawe zajęcie. Teraz, kiedy dobrał się do niej Dutton, nie było mowy, by uwierzyła Jackowi. Dutton był cudotwórcą, słynnym profesorem z Harvardu, który wynalazł lek na raka; Jack natomiast był mordercą który ten lek zniszczył, zmienił go w żywą śmierć. W ramionach Duttona Tyler Ross prędko stanie się odporna na prawdę.

Jacka ogarnął gniew. Chrzanić Tyler Ross! Jack nie potrzebował jej pomocy. Jeszcze nikt nigdy mu nie pomógł. Wszystko, co osiągnął, zawdzięczał wyłącznie sobie.

Z mocno bijącym sercem ruszył schodami w dół. Coś wymyśli - musiało istnieć jakieś rozwiązanie! Angie jeszcze żyła.

Kiedy zeskoczył na twardy asfalt, uświadomił sobie, że jest tylko jedna szansa, jeden sposób na to, by wszystko naprawić. Musiał sprawdzić, co się stało z jego cudownym lekiem i odwrócić proces, jaki w nim zaszedł.

Badania nad bakteriami trwały dwa lata, a teraz Jack nie miał nawet dwóch dni. Cóż z tego, że F-Bi-aI jeszcze go nie znalazło, skoro jego twarz dla wszystkich ludzi była zwiastunem śmierci.

- Dam sobie radę - wyszeptał. Dopóki Angie żyła, nie miał wyboru.

Dowie się, co poszło nie po jego myśli i znajdzie jakiś sposób, by to naprawić. Uratuje Angie albo zginie, próbując tego dokonać.

Jeśli teraz się podda, Michael Dutton wygra - a Angie umrze.

Równowaga jego świata zostanie zburzona. I okaże się, że jego matka umarła na darmo.

"Karma, Jack.

Da sobie radę. Uda mu się wszystko naprawić. Wystarczyło dostać się do jakiegoś laboratorium.

23

Tyler zepchnęła z siebie Duttona, sięgając po spodnie. Mężczyzna potoczył się do tyłu, wciąż czerwony, z wystraszoną miną. Tyler obeszła kanapę nie zwracając na niego uwagi. W jej oczach ogień zastąpił łzy.

Upadła na jedno kolano, złapała torbę za uchwyt i gwałtownym ruchem odwróciła ją do góry nogami. Podłoga pokryła się studolarowymi banknotami.

- Tu jest ponad dwadzieścia tysięcy dolarów - syknęła i spojrzała z nienawiścią na Duttona, który gorączkowo zapinał

rozporek dzinsów. Na jego twarzy malowało się zakłopotanie.

- No to co?

Tyler zerwała się na nogi i zaczęła rozglądać za swoją koszulą. Wreszcie wypatrzyła ją na podłodze, obok butelek po whisky.

- Skąd wzięłeś te pieniądze?

Dutton zapiął spodnie i skrzyżował ramiona na nagiej piersi. Nie wydawał się już tak przystojny; jego włosy były zmierzwione, a po brzuchu ściekały strużki potu.

- Kiedy wy czatowaliście pod kliniką, ja pojechałem do Las Vegas.

Grałem w blackjacka i świetnie mi szło. Przecież nie mówiłaś, że mam cały dzień siedzieć w tym gównianym hotelu.

Tyler zapięła drżącymi palcami górny guzik koszuli. Czowała, jak napinają jej się mięśnie twarzy. Teraz już wiedziała, że Dutton nie jest tym, za kogo go uważała. Obrzydzenie, jakim zareagował na widok blizny po jej amputowanej piersi, no cóż - w najlepszym razie niekonsekwencja, wada charakteru.

Ale te pieniądze... to nie mógł być przypadek.

- Jack Collier nosi ze sobą plecak pełen studolarowych banknotów.

Sugerował, że to twoje pieniądze, że ci je ukradł.

Dutton roześmiał się.

-Tyler, no co ty. Collier jest mordercą. Psycholem.

- Czy to były twoje pieniądze?

Oczy Duttona na ułamek sekundy rozbliły.

- Nie, oczywiście, że nie.

Tyler wskazała studolarowe banknoty walające się po podłodze.

- Czyli to tylko zbieg okoliczności.

Dutton wypuścił powietrze z ust i zaczął rozglądać się za swoją koszulą.

-Nie zamierzam wysłuchiwać tych bredni.

Tyler spojrzała na niego mrużąc oczy. Była już prawie pewna, że Jack mówił prawdę o pieniądzach. Ukradł je Duttonowi. Może były to niezgłoszone zyski z hazardu, a może istniał inny powód, dla którego profesor trzymał je w ukryciu.

Chryste, to wszystko zmieniało. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów znalezione w mieszkaniu Justina Moorea, dziesięć tysięcy w pokoju motelowym Kate Matti. Jack wykorzystał pieniądze Duttona do sfinansowania swojej podróży przez kraj.

-To nie jest zaliczka za bakterie - powiedziała, wciąż patrząc na ubierającego się Duttona. - To twoje pieniądze. Jack Collier chciał je nawet oddać.

Ale powiedział, że lek należy do niego.

Dutton wybuchnął głośnym śmiechem. Tyler wlepiała wzrok w jego twarz.

Czowała, że zaczyna jej się kręcić w głowie. O Boże, czy to możliwe?

Collier miał dwadzieścia trzy lata. Dutton był profesorem

czołowej uczelni w kraju.

Dwukrotnie znalazł się na liście najpoważniejszych kandydatów do Nagrody, Nobla. Jego nazwisko pojawiało się niemal we wszystkich pismach naukowych na świecie. To nie mogło być prawdą.

Potem przypomniała sobie swoją pierwszą rozmowę z Duttonem na temat jego leku. Miała wtedy wrażenie, że coś przed nią ukrywa.

Zignorowała to, bo jej się podobał, bo chciała mu wierzyć. Teraz jednak już nic do niego nie czuła. Nic nie mogło przyćmić jej szóstego zmysłu.

- Wytłumacz mi coś raz jeszcze. Dlaczego w pracach nad lekiem wykorzystałeś swoje własne DNA? Dlaczego nie posłużyłeś się przebadaną krwią z banku krwi?

Dutton usiadł na skraju łóżka. Nie patrzył na nią.

-Już ci mówiłem. Tak było wygodniej.

- Ale niezgodnie z przepisami - ciągnęła Tyler, stojąc nad nim. - Wcześniej twierdziłeś, że chciałeś jak najszybciej zakończyć eksperyment.

Dla - czego? Przecież mogłeś dostać przebadaną krew w przeciągu kilku godzin.

Czemu tak ci się spieszyło?

Dutton wzruszył ramionami.

- Zawładnęła mną odkrywcza pasja. To była dla mnie wielka chwila.

Nie potrafisz tego zrozumieć.

- Czy to ty wpadłeś na pomysł, by wykorzystać paciorkowiec A jako lekarstwo na raka?

Pytanie zdawało się odbijać echem od ścian pokoju. Tyler podeszła bliżej.

- Czy to był twój pomysł, czy Jacka? Czy ukradłeś mu ten lek?

Dutton zacisnął zęby. Won z mojego pokoju!

Tyler spojrzała w jego zielone oczy, które w tej chwili przypominały ślepią jaszczurki. Cofnęła się o krok, oszołomiona swoim odkryciem. To wszystko zmieniało. Jeśli to Jack Collier wynalazł lek na raka, dlaczego miałby go niszczyć? Dlaczego miałby zmieniać go w śmiertelną plagę?

Odpowiedź na to pytanie była oczywista. Tyler nie odrywała oczu od twarzy Duttona.

- Jack nie zrobił tego rozmyślnie. Może nawet o tym nie wiedział.

Myślał, że ścigamy go z powodu pieniędzy i leku. Nie wiedział o swoich ofiarach ani o chorobie.

Mój Boże, wszystko się zgadzało. Tyler czuła się tak, jakby w jej głowie rozbłysło jasne światło. Martwy kot, ta biedna dziewczyna z motelu, mężczyźni z Penn Station - Jack nikogo nie chciał zabić.

- Dokąd on zmierza? - spytała. Dutton siedział ze skrzyżowanymi rękami, ostentacyjnie nie zwracając na nią uwagi. -

Dlaczego ucieka?

Po tym, co się stało w McDonaldsie, odpowiedź była prosta. Jack uciekał, bo F-Bi-aI chciało go zabić. Jednak w podróż po kraju wyruszył, zanim rozpoczęła się nagonka. Najpierw był w Nowym Jorku, potem w klinice w Chicago, potem w Nevadzie. W miejscu, gdzie znajdowała się kolejna klinika stosująca alternatywne metody leczenia - On kogoś szuka - rozmyślała na głos. - Wziął ze sobą próbkę cudownego leku. Nie wiedział, że stało się z nią coś złego. On próbuje kogoś uratować - kogoś, kto umiera na raka.

Dutton przeczesał dłonią włosy. Przez chwilę Tyler miała wrażenie, że chce jej coś powiedzieć; potem jednak na jego usta wypłynął cierpki uśmiech.

- Pani raczy żartować, doktor Ross. Robi pani świętego z mordercy.

Nie sądzę, by pan Moon podzielał pani rojenia, bo inaczej się tego nie da nazwać.

To ja stworzyłem cudowny lek. Jestem profesorem uniwersytetu Harvarda, a to stało się w moim laboratorium. A teraz niech pani się wreszcie stąd wyniesie!

Zaciśnięte pięści Tyler zaczęły drżeć. Nie mogła uwierzyć, że pozwoliła się uwieść temu człowiekowi. Miała ochotę strzelić mu w łeb. Dutton był kłamcą i oszustem; co do tego nie miała już najmniejszych wątpliwości.

Musiała jednak zdobyć na to jakiś dowód. Jakikolwiek działania podjęte przeciwko Duttonowi mogłyby skończyć się dla niej wydaleniem ze służby.

A on nie był tego wart.

Bez słowa odwróciła się i wybiegła z pokoju. Musiała natychmiast spotkać się z Moonem. Jack nie był mordercą, za jakiego go uważali; gdyby tylko Tyler mogła z nim porozmawiać, na pewno oddałby się w jej ręce. Z jego pomocą mogłaby zdobyć dowody potrzebne do ujawnienia prawdy. Do zdemaskowania Duttona.

Podeszła do drzwi pokoju Vincenta Moona. Upewniła się, że ma koszulę schowaną do spodni i załomotała pięścią w grube drewno.

Przez chwilę nie było żadnej reakcji. Tyler spróbowała jeszcze raz.

Po drugiej stronie rozległo się szuranie nóg i odgłos odsuwanej zasuwki. Drzwi otworzyły się i stanął w nich młody mężczyzna o krótko ostrzyżonych blond włosach. Tyler rozpoznała w nim jednego z pacholków Moona, chłopaka o nazwisku Johanson.

- Muszę rozmawiać z panem Moonem - powiedziała z miejsca. - To niezwykle ważna sprawa.

Johanson przetarł zaspane oczy.

- Nie ma go tu, proszę pani.

- Pomyliłam pokój?

Chłopak potrząsnął głową.

-Nie, chciałem powiedzieć, że w ogóle nie ma go w hotelu, proszę pani.

Tyler złapała go za koszulę i prawie wyciągnęła z pokoju.

- No to gdzie jest, do cholery?

Na twarzy Johansona pojawił się strach.

- Nie wolno mi mówić. Tyler spojrzała mu w oczy.

- Nie rób sobie ze mnie jaj, bo źle się to dla ciebie skończy.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Dwie godziny temu wyjechał do Los Angeles.

Tyler uniosła brwi.

- Do Los Angeles? Po co?

Johanson potrząsnął głową. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać.

- Przysięgam, nie wiem. Ja jestem tylko kierowcą furgonetki.

Tyler wepchnęła go z powrotem do pokoju i szybkim krokiem ruszyła w głąb korytarza. Los Angeles? Moon ją okłamał. To bardzo zły znak. Bez niej mógł sobie pozwolić na złamanie wszelkich zasad. Jeśli znajdzie Colliera, zanim Tyler powie mu, czego się właśnie dowiedziała... aż strach pomyśleć.

Oby tylko Jack był jak najdalej od Los Angeles.

24

Proszę pana, w samolocie nie wolno palić. Przykro mi, ale takie są przepisy.

Duke spojrzał z za kubańskiego cygara na nordycką boginię w kostiumie stewardesy. Wyglądała, jakby miała ze dwa i pół metra wzrostu, a figury pozazdrościć jej mogły najlepiej opłacane modelki. Stała w przejściu między siedzeniami w kabinie pierwszej klasy, z rękami na swojej niewiarygodnie wąskiej talii.

- Nie jest zapalone - odparował Duke, sadowiac się wygodniej na obitym sztuczną skórą fotelu. - Lubię je trzymać w ustach, czuć ten smak.

Bogini obdarzyła go przelotnym uśmiechem, jaki młodzi ludzie rezerwują dla tych, których uważają za zbyt starych, by zdawali sobie sprawę, że robią z siebie durniów. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, kiedy na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

- To pan był dzisiaj rano w telewizji? W "Dzień dobry, Chicago"?

Duke poczuł, że duma rozpiera jego pierś. To było życie. Podróże pierwszą klasą, rozpoznające go stewardesy... Uśmiechnął się, nie wyjmując z ust cygara, - Zgadza się. Duke Baxter, dziennikarz, wolny strzelec.

- Cóż, panie Baxter, będzie pan musiał na czas lotu wyjąć cygaro z ust.

To przeszkadza innym pasażerom.

Duke zaczerwienił się, a stewardesa poszła dalej. W uszach słyszał śmiech starej prukwy. Co, liczył na to, że dziewczyna rzuci mu się na kolana tylko dlatego, że widziała jego pomarszczoną gębę w jakimś porannym talk - show?

Duke wyszarpnął cygaro z ust i ostrożnie schował je do przedniej kieszeni koszuli. Zapowiadał się długi lot.

Kabina pierwszej klasy wypełniona była ludźmi w garniturach, ze skórzanymi teczkami i laptopami na kolanach. Nie panował tu taki luksus, jak Duke to sobie wyobrażał, ale siedzenia były zdecydowanie większe niż w klasie turystycznej, a stewardesy wydawały się o wiele ładniejsze.

Oczywiście, najlepiej czułby się za kierownicą swojego pikapa, ale ten żółty gruchot nie wytrzymałby tak dalekiej podróży.

Rozległ się rumor towarzyszący sprawdzaniu silników. 727 zjechał na pas startowy. Za kilka minut miał się wznieść w powietrze. Duke wiedział, że to głupie, ale zawsze przed startem popadał w refleksyjny nastrój. Tego dnia wrażenie to wydawało się silniejsze niż zwykle, prawdopodobnie dlatego że wreszcie dokonał czegoś, co było warte refleksji.

W wieku sześćdziesięciu sześciu lat osiągnął sukces. Jego reportaż został wyemitowany o dziesiątej poprzedniego wieczora; od tego czasu Duke udzielił sześciu wywiadów, podpisał umowę na książkę i odbył rozmowy z trzema hollywoodzkimi agentami. Padła propozycja nakręcenia filmu na podstawie historii Pożeracza Karmy, a jeden z redaktorów "Gazette" napomknął nawet o zgłoszeniu kandydatury Baxtera do nagrody Pulitzera. Nieźle, jak na faceta, którego największym dotychczasowym osiągnięciem był artykuł o włamaniu do sklepu obuwniczego w centrum handlowym pod Gary.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło ostatniego wieczora, Duke mógłby spokojnie usiąść w fotelu, zapalić cygaro i wreszcie nacieszyć się podziwem tych sceptycznych zmor mieszkających w jego bloku. I już miał to zrobić zapalić cygaro i wydmuchnąć kółko jasnoniebieskiego dymu na zdjęcie starej prukwy, które stało na stoliku przy łóżku. Zanim jednak zdążył się do tego zabrać, zadzwonił telefon i nagle gwiazda Dukea zaświeciła jeszcze jaśniejszym blaskiem.

W pierwszej chwili pomyślał, że gówniarz próbuje zrobić go w konia.

To, co mówił, wydawało się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Duke zaraz jednak przypomniał sobie wydarzenia na Penn Station i uświadomił sobie, że to nie żaden kit. Chłopak zobaczył go w telewizji, znalazł jego numer w książce telefonicznej i chciał mu pomóc, przedstawić jakieś nowe fakty, stawiające całą sprawę w innym świetle.

Duke uznał, że to dobry moment, by raz jeszcze wszystko przemyśleć.

Pochylił się i zaczął szukać swojej małej torby, schowanej pod siedzeniem.

Gdy samolot podskoczył na jakiejś nierówności, Duke uderzył głową w składany stolik i zaklął siarczyście. Potem boeing wystrzelił naprzód i skierował się ku niebu. Duke wymacał zamek torby i szybko wyjął z niej notes.

W czasie, gdy samolot piął się w górę - jakby schowany pod niebiańską spódnicą starej prukwy - Duke stworzył notes i

przejrzał notatki sporządzone podczas krótkiej rozmowy telefonicznej. Im bardziej wglębiał się w wyznania tego chłopaka, tym mocniej biło mu serce.

Przedstawił się jako Justin Moore i twierdził, że jest przyjacielem Jacka Colliera. Przez ostatnich parę dni był wielokrotnie przesłuchiwany przez F-Bi-aI i grożono mu nawet sprawą sądową - choć twierdził, że nie ma nic wspólnego z żadnym z zabójstw i nic nie wiedział o bakteriach pożerających skórę.

Przyczyna zainteresowania ze strony F-Bi-aI była jednak dość oczywista.

Przed trzema dniami, w poranek Święta Dziękczynienia, Jack Collier odwiedził Justina w Nowym Jorku. Podobno szukał jego siostry, młodej kobiety imieniem Angie. Justin nie znał miejsca jej pobytu, więc Collier pojechał tam, gdzie była kilka miesięcy wcześniej - do kliniki w Chicago, znajdującej się naprzeciwko McDonalda, w którym miała miejsce akcja F-Bi-aI.

I opowieść Justina zakończyłaby się na tym, gdyby nie fakt, że poprzedniego wieczora, po obejrzeniu reportażu Dukea w telewizji, Angie zadzwoniła z Los Angeles do swojego brata. Pytała go, czy jego zdaniem cała historia jest prawdziwa. Justin nie wiedział, co jej powiedzieć, oprócz tego, że Jack był w jego mieszkaniu i zostawił po sobie szczątki kota, które teraz spoczywały w plastikowym worku w szafce z dowodami w głównej siedzibie F-Bi-aI.

Justin jednak nie wierzył, że Jack jest mordercą; lojalność wobec przyjaciela skłoniła go do tego, by zadzwonić do Dukea. Poza tym, nie ufał F-Bi-aI, a zwłaszcza agentowi o nazwisku Vincent Moon, który poturbował go w czasie przesłuchania.

Justin miał prawo się niepokoić. Zbierając materiały do reportażu Duke pobieżnie sprawdził przeszłość wszystkich osób zaangażowanych w tę sprawę - włącznie z dwójką agentów F-Bi-aI ścigających Jacka Colliera. Tyler Ross była uczciwą, kompetentną, powszechnie szanowaną agentką. Co innego Vincent Moon. On nie cieszył się szacunkiem; on budził strach.

Zabił więcej podejrzanych niż jakikolwiek inny agent w całej historii F-Bi-aI.

Justin doświadczył na własnej skórze jego brutalności. Przed trzema laty Moon został nawet zawieszony w czynnościach służbowych po przesłuchaniu dwójki porywaczy z okolic Bostonu podejrzewanych o seksualne napastowanie dzieci.

Zastosował wobec nich bardzo wymyślne metody śledcze; posłużył się gaśnicą, by zademonstrować, jak bardzo bolesne może być molestowanie innych - i jak silny wywiera wpływ na ludzką psychikę. Moonowi pozwolono wrócić do pracy, gdy obydwaj podejrzani przyznali się do swoich czynów -leżąc w łózkach szpitalnych.

Nic więc dziwnego, że Justin bał się Vincenta Moona i miał nadzieję, że Duke będzie w stanie jakoś oczyścić Jacka z winy. Baxter nie potrzebował zaglądać do notatek, by przypomnieć sobie ostatnią część rozmowy. Znał te słowa tak dobrze, jakby były

kwestiami ze scenariusza jego przyszłego filmu.

- A jak niby mam to zrobić? - spytał.

- To łatwe - odparł Justin. - Pojedź do Los Angeles, znajdź moją siostrę, a ona doprowadzi cię do Jacka. Będziesz mógł sam go spytać, co jest, cholera grane.

Samolot wpadł w turbulencje i Duke, zamyślony, zamknął notes. Poklepał kieszeń, w której trzymał cygaro, a kąciki jego ust zadrżały w przelotnym uśmiechu.

Wyobrażał sobie, co powiedziałyby stara prukwa: "Dość już tego. Zobaczyłeś swoje nazwisko na pierwszych stronach gazet. Wracaj do domu i zachowuj się tak, jak przystoi człowiekowi w twoim wieku".

Właśnie dlatego wybrał się do Los Angeles. W chwili, gdy zacznie słuchać porad starej prukwy, będzie mógł dołączyć do niej na cmentarzu pod Gary. Jechał do Kalifornii, by zamknąć tę sprawę, jak należy.

Przeprowadzi wywiad, o jakim marzyli wszyscy dziennikarze -wywiad z samym Pożeraczem Karmy.

25

Jack leżał z rozłożonymi rękami na ciepłej trawie, wpatrzony w niebo:

Plecak ulokował sobie na brzuchu i nie ruszał się, czując pod plecami obracającą się Ziemię. Wiedział, że wokół są ludzie: dziewczyny w lśniących spódnicach i podkoszulkach idące na zajęcia, sportowcy w bluzach i kurtkach z symbolem uniwersytetu, profesorowie z maszynopisami pod pachami -wszystkie kolory uniwersyteckiej tęczy. Wiedział też, że lada chwila ktoś go rozpozna i ciszę przerwie przeraźliwy wrzask. Najpierw zjawi się policja, a potem F-Bi-aI. Warkot helikopterów zleje się z okrzykami przerażenia, a on, Jack, znajdzie się u kogoś na celowniku. Palec zaciśnie się na spuście i pocisk pomknie w stronę ofiary, by przebić skórę i kości. Jack umrze, leżąc na ciepłej trawie.

Odwrócił głowę i żdzbla trawy połaskotały jego policzek. Wiedział, że musi wstać, że musi się pospieszyć. Sześć godzin jazdy z Nevady zleciało jak z bicia strzelił; dopiero krótki spacer po uniwersyteckim kampusie zwalił go z nóg. Po drodze mijał młodych, uśmiechniętych ludzi. Nie podnosił głowy; by nikt nie zobaczył jego oczu. Musiał udawać, że nie zauważa gazet na stojakach rozmieszczonych na wszystkich skrzyżowaniach ścieżek przecinających idylliczny, podobny do parku teren.

Był żywą plagą, jego skóra była trucizną. Był AIDS, rakiem, wirusem Ebola i uosobieniem wszystkich lęków, jakie współczesna Ameryka nosiła w swojej uformowanej przez media duszy. Był mordercą i zasługiwał na śmierć.

Ale nie mógł umrzeć, nie w taki sposób. Powoli dźwignął się na łokcie.

Przed nim wznosił się ogromny budynek z kamienia, o otworach drzwiowych zwieńczonych łukami i oknach z malowanego szkła. Mapa, którą Jack kupił w kiosku przy wejściu na uniwersytet, określała styl architektoniczny budynku jako romański i faktycznie wydawało się, że został żywcem wyjęty z pejzażu namalowanego przez jednego z włoskich mistrzów. Nawet żelazne kołatki w kształcie lwich łbów, wiszące na ozdobnych drewnianych drzwiach, wyglądały niezwykle fantazyjnie; Jack miał wrażenie, że gdyby zaczął padać deszcz, rozpuściłyby się, pozostawiając na kamiennej posadzce plamę szarej farby.

Oczywiście, tu nigdy nie padało; w końcu to Los Angeles. Jack wsunął plecak pod pachę i podniósł się, otrzepując spodnie z trawy. Był ubrany zbyt grubo, jak na taką pogodę, ale nie zamierzał zdejmować rękawic ani płaszcza. Domyślał się, że bakterie nie roznoszą się przez kontakt pośredni - gdyby tak było, zostawiłby za sobą setki szkieletów, a nie dziesięć.

Nie chciał jednak ryzykować, że kogoś przypadkiem potrafi. Jego sumienie nie udźwignęłoby ciężaru kolejnych ofiar. Zaczekał, aż przy wejściu nie będzie nikogo. Potem ruszył przed siebie, z rękami głęboko w kieszeniach. Podeszedł do ogromnych podwójnych drzwi i pchnął jedno skrzydło. W twarz uderzył mu podmuch chłodnego powietrza. Za drzwiami znajdowało się przestronne atrium, wysokości co najmniej sześciu metrów, o ścianach pokrytych ozdobną drewnianą boazerią. We wszystkich kierunkach rozchodziły się korytarze. Ze swojego punktu obserwacyjnego Jack widział ich co najmniej osiem. Po prawej stronie było stanowisko ochrony, przy którym dyżurował strażnik w jasnoniebieskim mundurze. Pograżony w lekturze jakiegoś pisma, nawet nie podniósł głowy, gdy Jack przeszedł obok niego:

Jack wyszedł na środek atrium. Przystanął, rozglądając się. Po lewej stronie znajdowały się sale wykładowe, w większości pograżone w mroku.

Kilkanaście metrów dalej widać było kilka osób, rozmawiających cicho pod tablicą ogłoszeń. Prawdopodobnie wisią na niej wyniki jakiegoś kolokwium, a zainteresowani nimi studenci byli gorliwcami walczącymi o jak najwyższą średnią. Jack miał z takimi do czynienia - głównie dlatego, że zawsze był jednym z nich. Przychodził na uczelnię długo przed początkiem zajęć, by sprawdzić, jaką zajmuje pozycję w klasyfikacji ogólnej - czy wciąż pozostaje niekwestionowanym liderem, czy też ktoś wreszcie go zdetronizował.

Odwrócił się w prawo. Na końcu biegnącego w głąb budynku korytarza zobaczył klatkę schodową, skąpaną w świetle jarzeniówek. Instykt podpowiedział mu, że tam właśnie należy iść. Jack spędził większość swojego życia w budynkach takich, jak ten. W Harvardzie był to gmach imienia McCaffreya.

- Ośrodek Badań Biologicznych imienia Adlera.

Jack ruszył w stronę schodów; stukot butów o twardą posadzkę

niósł się echem po korytarzu. To było jego terytorium, jego świat. Na zewnątrz był zwykłym gnojkiem, ale w tym budynku stawał się bogiem.

Doszedł do schodów i zamknął za sobą szklane drzwi. Wylane betonem stopnie prowadziły w górę i na dół; i tym razem decyzja była prosta.

Z każdym krokiem Jack zagłębiał się w trzewia budynku, wychwytyjąc wyostrzonymi zmysłami znajome odgłosy i wrażenia. Chłodny podmuch systemów wentylacyjnych, ciche pikanie i syk kosztownych urządzeń, brzęk probówek i zlewek. Było wcześniej rano, ale tutaj nie istniał upływ czasu.

Pojęcie "pilna sprawa" było tu nieznane. Przynajmniej do tej pory.

Jack zszedł na dół i otworzył kolejne szklane drzwi. Korytarz, na którym się znalazł, przypominał bunkier. W powietrzu unosiła się charakterystyczna woń bakteriobójczych środków czyszczących. Jack z bijącym sercem podszedł do ciężkich stalowych drzwi. Nad nimi wisiała tabliczka z jaskrawym czerwonym napisem: UWAGA - LABORATORIUM BIOLOGICZNE POZIOM 2, ZACHOWAĆ OSTROŻNOŚĆ.

Pałace się nad elektronicznym zamkiem szyfrowym zielone światełko wskazywało, że ktoś jest w środku, a drzwi nie są zamknięte. Jack pchnął metalową płytkę umieszczoną przy zamku i laboratorium stanęło przed nim otworem.

Choć wyglądało inaczej niż to, w którym Jack do tej pory pracował, panowała tu zadziwiająco podobna atmosfera. Znad wyłożonego płytami sufitu dochodził szum powietrza płynącego przez przewody wentylacyjne.

Metalowe stanowiska pracy dzieliły pomieszczenie na co najmniej tuzin równoległych korytarzyków; ze wszystkich stron bił blask hartowanego szkła i nierdzewnej stali.

Jack posunął się w głąb pierwszego korytarzyka, ogarniając wzrokiem laboratorium. Po prawej stronie znajdowało się stanowisko z dwiema umywalkami, stojakiem na probówki i otwartą szufladą wypełnioną maskami, fartuchami i gumowymi rękawicami. Obok niej wisiała duża tablica z nazwiskami studentów i rubrykami, w które musieli wpisywać się po przybyciu do laboratorium. Jack zauważył, że w tej chwili w pomieszczeniu przebywa tylko jedna osoba: doktor Brett Castor, stanowisko numer dziewięć.

Jack zastygł w bezruchu i wyteżył słuch; z głębi laboratorium dobiegł odgłos odkręcanej i zakręcanej wody.

Podszedł z bijącym sercem do szafki z wysterylizowanym sprzętem.

Wziął białą maskę chirurgiczną i gumowe rękawice. Następnie wyjął ze stojaka probówkę, napełnił do połowy wodą i rozmyślnie nie zaczął. Włożył schowane w rękawicach dłonie pod strumień wody, moczając ręce aż po łokcie.

Zakręcając kran, usłyszał kroki. Ktoś - najprawdopodobniej Brett Castor - szedł w jego kierunku. Jack upewnił się, że maska

zasłania mu twarz, ścisnął probówkę w dłoni i ruszył na spotkanie nieznajomego.

Ledwie zdążył dojść do końca pierwszego korytarzyka, gdy zobaczył młodego naukowca. Castor był wysoki i chudy, miał zmierzwił blond włosy i głęboko osadzone oczy. Choć w laboratorium obowiązywał drugi poziom zabezpieczeń; ubrany był w szorty i koszulę z krótkim rękawem: żadnych rękawic, maski czy innych środków ostrożności. Nie ulegało wątpliwości, że nie spodziewał się zastać kogokolwiek w laboratorium w sobotę o tak wczesnej porze.

Zauważył Jacka dopiero, gdy znaleźli się o półtora metra od siebie.

Podniósł głowę, zaskoczony, i o mało co nie przewrócił się o własne nogi.

- O rany - powiedział. - Nie wiedziałem, że pracuje tu ktoś oprócz mnie.

- Brett Castor? - spytał Jack, wymachując probówką. Krople wody spadły na podłogę.

- Zgadza się. Jesteś jednym z nowych podopiecznych profesora Gatleya?

- Nazywam się Fred Lamont - Jack mrugnął do Castora porozumiewawczo. - Słuchaj, Brett, znasz się na zawieszaniu wirusów Hanta w buforze fosforanowym? Ciężko mi utrzymać to cholerstwo w stanie nieaktywnym.

Oczy Castora spoczęły na probówce z przejrzystą cieczą. Minęło kilka sekund, zanim udało mu się wydobyć z siebie głos.

- Wirus Hanta? Nie przesłyszałem się?

Jack energicznie potrząsnął głową znów wylewając na podłogę parę kropel wody.

- Profesor kazał mi nad tym pracować w drugim laboratorium. To jego nowa pasja. Wirus przyjechał z zamrażarki w Utah i próbujemy wyciągnąć z niego materiał genetyczny. Najpierw trzeba skurczybyka zawiesić w tej cieczy. Nie wiesz, gdzie popełniam błąd?

Castor patrzył na niego jak na wariata.

- Może nie powinieneś tego nosić w otwartym naczyniu? Wydawało mi się, że wirus Hanta to patogen czwartego poziomu.

Jack skinął głową.

- Zgadza się. Dlatego włożyłem rękawice. - Odczekał chwilę, po czym parsknął śmiechem. - Żartuję, Brett. Podobno w postaci płynnej nie jest aż tak groźny. Przynajmniej tak mówi profesor.

Dla Brett'a Castora tego było już za wiele. Ominął Jacka szerokim łukiem.

- Naprawdę chciałbym ci pomóc, Fred, ale właśnie idę na śniadanie.

- Może pomożesz mi, jak wrócisz? Castor już szedł szybkim krokiem w stronę drzwi.

- Przykro mi, w weekend biorę sobie wolne. Ale życzę ci powodzenia.

Serio.

Kiedy drzwi się zamknęły, Jack uśmiechnął się pod maską. Wiedział, że jego uwaga na. Temat zapewnień profesora co do bezpieczeństwa cieczy przeważy szale. Nie wszyscy profesorowie byli tacy perfidni jak Michael Dutton, ale większość miała skłonność do traktowania studentów jak szczurów laboratoryjnych; a w świecie nauki każdy szczur musiał troszczyć się o siebie.

Jack wrzucił probówkę do najbliższego zlewu i podszedł do zamkniętych podwójnych drzwi. Po ich prawej stronie znajdowała się dźwignia, umieszczona pod jasno czerwonym symbolem oznaczającym niebezpieczeństwo. Jack pociągnął ją w dół. Usłyszał serię metalicznych trzasków.

Uśmiechnął się i ruszył w głąb pomieszczenia. W dźwignię taką jak ta wyposażone było każde laboratorium o drugim poziomie zabezpieczeń.

W razie wycieku niebezpiecznych substancji, człowiek przebywający w środku mógł zamknąć pomieszczenie od wewnątrz; od tej chwili otworzyć je mógł tylko profesor posiadający uniwersalną kartę kodową. Było więcej niż prawdopodobne, że po zablokowaniu dostępu do laboratorium komputer jednego, z naukowców otrzyma zgłoszenie o powstaniu zagrożenia biologicznego -ale Jack gotów był podjąć to ryzyko. Jeszcze nie spotkał profesora, który pracowałby w sobotni poranek. W końcu po to się robiło karierę naukową, żeby się zbytnio nie przemęczać.

Jack szybko przeszedł przez laboratorium, rozglądając się za urządzeniami, które były mu potrzebne. Czekąco go potwornie trudne zadanie, ale jego umysł - umysł geniusza - już zajął się szczegółami praktycznymi, rozstawiając fragmenty układanki jak cele na strzelnicy.

Jack zatrzymał się na środku laboratorium, patrząc na szereg urządzeń do inżynierii genetycznej stojących na metalowej półce. Wirówka, mikroskop, kilka urządzeń do elektroforezy w żelu, aż wreszcie zobaczył dwa mikroskopy elektronowe, rozmiarami zbliżone do komód. Wiedział, że każdy z nich kosztował ponad sto tysięcy dolarów; wewnątrz stalowych szaf schowane były potężne generatory elektromagnetyczne, o mocy wystarczającej do powiększenia próbki aż do jej podstawowej struktury.

Jack upuścił plecak na podłogę i zsunął maskę z twarzy. Miał już wszystko, czego potrzebował. Pora wziąć się do pracy.

Zamknął oczy, starając się zebrać myśli. Musiał zmusić swój umysł do maksymalnego wysiłku, zapomnieć o F-Bi-aI i szkieletach, o Tyler Ross i Michaelu Duttonie, a nawet o Angie. Od tej chwili nie będzie się dla niego liczyć nic, co znajduje się poza ścianami tego laboratorium. Granice jego świata wyznaczać będą dwa mikroskopy elektronowe i awaryjnie zamknięte podwójne drzwi.

Jack wyprostował palce schowane w rękawicach. Zadanie, które przed nim stało, składało się z dwóch elementów o jednakowym stopniu trudności.

Najpierw musiał dowiedzieć się, co zmieniło paciorkowca A w działającego błyskawicznie mordercę. Domyślał się, że F-Bi-aI od kilku dni szuka odpowiedzi na to samo pytanie - ale to go nie

deprymowało. Zmutowany paciorkowiec A był jego tworem; to on przez dwa lata go przekształcał. Mógł więc wypatrzeć rzeczy, które uszły uwagi F-Bi-aI.

Kiedy dowie się, co stało się z bakteriami, będzie musiał znaleźć jakiś sposób na to, by przywrócić je do stanu początkowego. Jeśli paciorkowiec A zainfekował jego organizm, Jack musiał wywołać nowe zakażenie - uruchomić bakteriologiczny efekt domina, któremu ulegną wszystkie bakterie paciorkowca.

Podszedł do metalowych półek. Z jednej z szuflad wyjął sterylną strzykawkę, gumową pętlę uciskową i szklaną fiolkę. Szybko przewiązał sobie ramię i uderzył dwoma palcami w punkt tuż pod stawem łokciowym.

Zaciskając zęby, wbił igłę w żyłę.

Tak właśnie wszystko się zaczęło - od strzykawki wypełnionej jego krwią.

Jack ostrożnie przelał ciemny płyn do fiolki i podszedł z nią do zwykłego mikroskopu. Przygotował szkiełko, wsunął je pod obiektyw i, wstrzymując oddech, spojrział w okular. To, co zobaczył, przyprawiło go o mdłości. Rozumiał, że wszystko, co mówił stary człowiek w telewizji, było prawdą. Bakterie żyły w jego krwi; oznaczało to, że tkwiły także w jego skórze, w jego ślinie, w jego narządach.

Zmieniły go w nieświadomego nosiciela.

Skoncentrował się z najwyższym trudem, próbując zignorować ogarniające go poczucie winy. Wbił wzrok w jednokomórkowce, by sprawdzić, czy zmiany w nich są choć trochę widoczne. Po kilku sekundach wzruszył ramionami, odszedł od mikroskopu i zabrał fiolkę z resztą swojej krwi. To, jak bakterie wyglądały, nie miało znaczenia. Liczyło się to, jak się zmieniły.

Jack zmodyfikował je w taki sposób, by wyszukiwały i niszczyły nowotwory. Dokonał tego przez wprowadzenie sekwencji genów z własnego układu odpornościowego do genomu bakterii, zmieniając ją w hybrydę paciorkowca A i ludzkiego limfocytu T. Mogła ona rozpoznawać nowotwory dzięki dodaniu do niej dotychczas nieznanego receptora ligandu występującego w dziewięćdziesięciu procentach komórek rakowych. Dzięki niemu zmodyfikowane paciorkowce miały widzieć w nowotworach źródło pokarmu.

Bakterie jednak zwróciły się przeciwko organizmowi. Z jakiegoś powodu ignorowały receptor - albo receptor zmienił się w coś bardziej zwyczajnego, coś, co znajdowało się w skórze i narządach.

Jack wiedział, od czego musi zacząć: posłuży się polimerazową reakcją łańcuchową - procesem umożliwiającym wyodrębnienie sekwencji genów - w celu wykrycia DNA kodującego receptor komórek rakowych. Gdyby nie udało się go odnaleźć, oznaczałoby to, że na jego miejscu pojawił się nowy układ prowadzący; wówczas trzeba będzie sprawdzić, jaka jest jego budowa.

Ostrożnie wprowadził kroplę swojej krwi do mikrowirówki i zaczął grzebać po szufladach w poszukiwaniu związków chemicznych

niezbędnych do przeprowadzenia eksperymentu. Umieścił próbkę w urządzeniu do polimeryzowej reakcji łańcuchowej i poddał ją działaniu gwałtownych zmian temperatury. Kiedy reakcja dobiegła końca, przeniósł próbkę na płytkę pokrytą żelem; prąd puszczonej przez nią miał mu umożliwić "zobaczenie" sekwencji genów w bakterii i tym samym stwierdzenie, co stało się z DNA receptora komórek rakowych.

Pochłonięty pracą, stracił poczucie czasu i miejsca; równie dobrze mógł być na Harvardzie, jak i na Marsie. Wiedział, że naukowcy przeprowadzili dokładnie ten sam eksperyment w laboratoriach F-Bi-aI - ale miał nad nimi przewagę. Tylko on znał skład mieszanek cząsteczek, która wyszuka DNA receptora wewnątrz bakterii. Dutton nie byłby jej w stanie odtworzyć na podstawie jego notatek, a tym bardziej nie mogła tego dokonać Tyler Ross. To był as w rękawie Jacka.

W godzinę po rozpoczęciu pracy podłączył pierwszą płytkę elektroforetyczną do prądu. Po przepuszczeniu przez nią ładunku elektrycznego, umieścił próbkę pod mikroskopem ultrafioletowym. To, co zobaczył, zaskoczyło go.

Wziął więc próbkę i podszedł do mikroskopów elektronowych. Umieścił ją w pierwszym urządzeniu i wcisnął guzik umieszczony z boku. Przez maszynę przeszło drżenie towarzyszące uruchamianiu się wewnętrznego generatora.

Włączył się monitor komputerowy. Mikroskop elektronowy nie był wyposażony w okular; zamiast tego, dane były przetwarzane cyfrowo przez skomplikowane oprogramowanie. Jack stanął nad małym monitorem i zaczął nerwowo stukać po nim paznokciami. Był to rytuał, zaklinanie bezdusznej maszyny. Dodawał naukowym dociekaniom magicznej aury.

Ekran zamrugał. Pojawiły się na nim zielone plamy, a po nich rzędy liczb.

Stojąc przy urządzeniu, Jack błyskawicznie analizował uzyskiwane dane.

Dziwne. Nie znał tej sekwencji genów. Na monitorze powinien ukazać się kod receptora nowotworów, ale zamiast tego widniała na nim nić DNA, jakiej Jack jeszcze nigdy nie widział.

Czyżby była to naturalna mutacja? Przysunął się bliżej monitora, wodząc po nim czubkami palców. Potrząsnął głową. Nieznana nić DNA pochodziła od człowieka. Co więcej, między zasadami azotowymi znajdowały się znaczniki, które z czymś mu się kojarzyły; chyba miały coś wspólnego z ludzkim układem odpornościowym.

Zamyślony, oparł się plecami o blat stołu. Bakterie włączyły do swojego genomu nową sekwencję genów w jakiś sposób powiązaną z ludzkim układem odpornościowym. Nie była to ta nić DNA, którą Jack własnoręcznie umieścił w paciorkowcu, tylko coś innego, nieznanego. Jak to się mogło stać?

Czy możliwe, żeby Jack sam nieświadomie włączył ten materiał genetyczny do genomu bakterii? Zaciskając zęby, skrzyżował ramiona na piersi.

Nie, istniało o wiele prostsze wyjaśnienie. Wyjaśnienie, które nagle stało się dla niego bardzo logiczne. Ktoś majstrował w jego leku. a

Nietrudno było wskazać głównego podejrzanego: tylko profesor Dutton posiadał wystarczającą wiedzę, środki i umiejętności, by zrobić coś takiego, Ale po co mu to było? Przecież już wykradł cudowny lek. Po co jeszcze go zmieniał?

Odpowiedź narzucała się sama. Dutton zrobił wszystko, żeby zatrzeć ślady uczestnictwa Jacka w badaniach. Doprowadził nawet do jego wydalenia z Harvardu. Istniał jednak jeden jedyny niezbity dowód łączący Jacka z cudownym lekiem. Było to DNA jego własnego układu odpornościowego, wprowadzone do genomu bakterii.

Dutton prawdopodobnie chciał zatrzeć ten ślad, próbując umieścić w paciorkowcu DNA swojego układu odpornościowego. I coś poszło nie po jego myśli. Zamiast polować na nowotwory, bakterie zwróciły się przeciwko organizmowi.

Jack wcisnął ze złością kilka guzików z boku mikroskopu elektronowego, zapisując sekwencję genów na dyskietce. Wyjął ją ze stacji dysków połączonej z podstawą mikroskopu i zaczął rozglądać się za łączem z systemem komputerowym laboratorium. Po niecałej minucie znalazł mały terminal w otwartej szufladzie.

Włożył dyskietkę do stacji dysków i połączył się z głównym komputerem laboratorium. Szybko przebiegając palcami po klawiszach, wszedł do genetycznej bazy danych w Narodowym Instytucie Zdrowia w Waszyngtonie - GenBanku - gdzie wszystkie znane sekwencje genów były przechowywane w celach badawczych. Jack korzystał z niej już wiele razy. W kilka sekund komputer podawał listę prawdopodobnych źródeł ich pochodzenia -jeśli takie istniały.

Następne sekundy przeciągały się w nieskończoność. Jack wbił wzrok w monitor, z palcami wzniesionymi nad klawiszem spacji. Godło Narodowego Instytutu Zdrowia odbijało się niebieskim blaskiem na jego policzkach, a cichy furkot twardego dysku komputera współbrzmiał z szumem powietrza w przewodach wentylacyjnych.

Wreszcie rozległa się seria piknięć. Na miejscu godła pojawił się akapit tekstu. Czytając, Jack czuł, jak trawiący go gniew przechodzi w zdumienie.

Miał rację; niezidentyfikowana sekwencja genów została pobrana od człowieka. Nie była to naturalna mutacja; nie był to też element przypadkowo dodany przez Jacka do bakterii. Nie ulegało też wątpliwości, że źródłem tego fragmentu nie była próbka pochodząca z banku krwi.

Jack potrząsnął głową, wstrząśnięty swoim odkryciem. W jego świetle wszystko nabrało sensu. Agresywna natura bakterii. Niewiarygodne tempo, w jakim pożerały skórę i narządy wewnętrzne. Przyczyna, dla której nie wyrządziły Jackowi szkody - wykorzystały go jako nosiciela. Wszystko to spowodowane było przez jedną sekwencję genów, jeden fragment DNA. Według GenBanku, sekwencja ta była czymś więcej niż tylko zwykłym skupiskiem zasad

azotowych: stanowiła źródło choroby atakującej układ odpornościowy.

- Liszaj - wyszeptał Jack. - Dutton wszczepił liszaj do mojego leku.

Liszaj, choroba auto-immunologiczna, powodująca, że układ odpornościowy zwraca się przeciwko organizmowi. Objawiająca się czerwonymi zaciekami na skórze, uszkodzeniami narządów i mięśni, często rozwijającymi się w błyskawicznym tempie. Po włączeniu sekwencji genów liszaja do genomu paciorkowca A powstała nowa hybryda - pożerająca ciało i narządy wewnętrzne z zaciekłością oszalałego ludzkiego układu odpornościowego.

Jackowi to nie groziło dzięki temu, że jego DNA wciąż znajdowało się wewnątrz bakterii, które przez to uznawały go za swoją część - za brata, kuzyna, żywiciela. Zaatakowane mogły być jednak wszystkie inne organizmy.

Wlepił wzrok w swoje dłonie. Był nosicielem bakteryjnej postaci liszaja. Dutton zniszczył wynaleziony przez Jacka lek na raka, zmienił go w zakaźną chorobę auto-immunologiczną. Dlaczego?

Bo nie wiedział. Liszaj nie został jeszcze u niego wykryty. Dutton umierał na straszliwą chorobę, ale nie był tego świadom. W przeciągu najbliższych kilku lat jego ciało miało ulec samozniszczeniu, ale na razie choroba przebiegała bezobjawowo. Dutton dodał swoją krew do leku Jacka, przekonany, że w ten sposób usunie ostatni ślad jego działalności. Zamiast tego, przemienił lek w mordercę.

Jack zacisnął pięści. Wiedział, co musi zrobić i dysponował odpowiednim sprzętem, by to osiągnąć. Mógł usunąć z bakterii sekwencję genów liszaja, a potem zainfekować nimi samego siebie. Oczyszczone plazmidy będą przeskakiwać z komórki na komórkę w błyskawicznej reakcji łańcuchowej.

Mógł zmienić się z mordercy w uzdrowiciela.

Pobiegł w głąb laboratorium. Było mu lekko na sercu. Mógł naprawić szkody wyrządzone przez Duttona. Mógł odzyskać swój lek i uratować życie Angie. Agenci F-Bi-aI nadal będą go ścigać i pewnie zabiją go, zanim uwierzą jego słowom. Jednak życie Angie było tego warte.

Na końcu korytarzyka zauważył telefon, wiszący na ścianie przy dwóch zbiornikach z tlenem i plastikowych maskach ochronnych. Chwycił słuchawkę i wyjął z tylnej kieszeni zgnieciony kawałek papieru. Wyrwał go z książki telefonicznej na postoju pod Los Angeles i zakreślił numer w środku pierwszej kolumny. Nie miał kłopotów z odnalezieniem kawiarni; na szczęście w tym roku język francuski nie cieszył się zbyt dużą popularnością na Melrose i tylko jeden lokal pasował do krótkiego opisu podanego przez Pickneya.

Jack wykręcił numer z bijącym sercem. Nie wiedział, która jest godzina, ale domyślał się, że już dawno minęło południe. Miał jeszcze przed sobą wiele pracy, ale wszystkie zagadki zostały już rozwiązane; pozostały tylko szczegóły. Pora nawiązać kontakt.

Po dwóch sygnałach w słuchawce odezwał się głos młodej kobiety.

- Le Grand Cafe. W czym mogę pomóc?

Jack miał tak sucho w ustach, że mówienie sprawiało mu trudności.

- Chciałbym rozmawiać z Angie Moore.

Domyślał się, że po przyjeździe do Los Angeles wróciła do swojego prawdziwego nazwiska. Nie spodziewała się, że Jack będzie jej szukał w kawiarni na Mekose Avenue.

- Nie ma jej dzisiaj w pracy, ale jeśli pan chwilę zaczeka, to połączę pana z kierownikiem zmiany.

Zanim Jack zdążył zareagować, w słuchawce rozległa się melodyjka towarzysząca oczekiwaniu na połączenie. Zaklął w duchu. A jeśli Angie wyjechała z Los Angeles? A jeśli postanowiła wybrać się do jeszcze jednej kliniki? Nie sądził, by był w stanie dłużej się ukrywać. Żadne pieniądze nie zapewnią mu anonimowości.

Nagle irytującą muzyczkę zastąpił cienki męski głos.

- Mówi Doug Sampson. W czym mogę pomóc?

Jack przez chwilę miał ochotę odłożyć słuchawkę, ale uznał, że nie ma wyboru, musi dalej w to brnąć.

- Jestem znajomym Angie Moore. Przyjechałem właśnie do Los Angeles i chciałbym z nią porozmawiać. Wie pan, gdzie mógłbym ją znaleźć?

- Przykro mi, nie mogę panu podać jej numeru domowego. Ale Angie przychodzi dziś na nocną zmianę, może wtedy pan zadzwoni?

Jack odetchnął z ulgą. Będzie miał dość czasu, by zainfekować swój organizm zmodyfikowanymi bakteriami.

- Myślę, że raczej wpadnę osobiście. Mógłby pan jej przekazać wiadomość?

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

- Oczywiście. Słucham.

Jackowi drżały wargi, ale starał się mówić spokojnym tonem.

- Proszę jej powiedzieć, że Jack przyjdzie do niej jutro rano i wszystko wyjaśni. Niech pan jej też powtórzy, żeby nie wierzyła w to, co mówią w telewizji.

Była to dziwna wiadomość, ale Jack miał to gdzieś. Jego rozmówca zresztą nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

- Coś jeszcze?

Jack zamyślił się. Spojrzał na ekran laptopa, na świecące zdjęcie sekwencji genów liszaja.

- Tak, jeszcze jedno. Niech pan jej powie, że za nią tęsknię i że przyjechałem, by ją zabrać do domu.

- Dopilnuję, żeby dostała tę wiadomość.

Craig Densmore mocno ścisnął słuchawkę, gwałtownie gestykulując prawą ręką. Moon zignorował go, wpatrzony w monitor, na którym trwało odliczanie. Krople potu wystąpiły mu na czoło.

Tuż przed tym, jak połączenie zostało przerwane, na ekranie pojawił się czerwony napis:

-Namierzanie zakończone -.

- Mamy go. Moon uderzył pięścią w stół.

Densmore wydał okrzyk radości i odłożył słuchawkę. Urządzenie nasłuchowe było dwa razy większe od zwykłego telefonu; z jego niebieskiej podstawy wychodziło kilkanaście kabli. Dwa z nich podłączono do monitora stojącego przed Moonem, a dwa inne biegły do mikrofalowego nadajnika leżącego w otwartym stalowym pojemniku. Choć połączenie zostało już przerwane, nadajnik wciąż działał, odbierając sygnał z podobnego aparatu podczepionego do telefonu w kawiarni na Melrose Avenue.

Moon wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze podłączonej do monitora i na ekranie pojawiła się mapa. Miejsce, z którego dzwonił Collier, zaznaczone było jasnoczerwonym kółkiem.

- UCLA - powiedział Moon, wstając. - Jeden z budynków na południe od głównego kompleksu. Namiar nie jest dokładny, bo mają tam inny system, ale nie powinniśmy mieć kłopotów ze zlokalizowaniem źródła sygnału.

Densmore nerwowo kiwał się w przód i w tył przed nadajnikiem. Widać było, że pali się do działania. Podobnie jak Moon, nie zmrużył oka od wielu dni. Na nogach trzymali się tylko dzięki amfetaminie - małym czerwonym pigułkom, które pozwalały im funkcjonować bez odpoczynku siedemdziesiąt dwie godziny i dłużej. W czasie swojej służby w Wietnamie Moon poznał na własnej skórze korzyści płynące z kontrolowanego stosowania środków chemicznych. Nawet w dżungli dało się żyć, gdy organizm funkcjonował na przyspieszonych obrotach.

- Zawiadomić oddziały antyterrorystyczne? - spytał Densmore. Jego młodzieńczy głos odbił się echem od nagich betonowych ścian.

Przypominające celę pomieszczenie znajdowało się dokładnie naprzeciwko kawiarni, po drugiej stronie ulicy. Właściwie był to pusty, skąpo umeblowany magazyn na piętrze chińskiej restauracji, której właściciela agenci F-Bi-aI skłonili do współpracy. Z parteru płynął duszący zapach smażonych warzyw, ale okno pomieszczenia wychodziło na Melrose Avenue, a w środku było dość gniazdek elektrycznych, by podłączyć cały sprzęt.

- Nie. Weźmiemy helikopter i sześciu najlepszych ludzi. No i, oczywiście, naszą nową zabawkę.

Moon popatrzył na wielką drewnianą skrzynię zajmującą kąt pokoju.

Miała metr dwadzieścia wysokości, półtora metra szerokości i pokrywała ją symbole agencji rządowych. Została dostarczona z Nowego Jorku na dwadzieścia minut przed telefonem Colliera. Moon stał wtedy po drugiej stronie ulicy i obserwował, jak Densmore i dwaj technicy F-Bi-aI instalują urządzenia nadawcze w gabinecie kierownika kawiarni. Wszelkie protesty personelu ustały, gdy Moon wyjaśnił, że jest na tropie seryjnego mordercy, który interesuje się jedną z pracownic lokalu.

- Nie będzie miał żadnych szans - powiedział Densmore, sięgając po dużą torbę wiszącą na haku. Postawił ją na stole i rozpiął suwak. Wyjął dwa karabiny snajperskie AR -7 i wręczył Moonowi jeden z nich.

Gdy Moon pogłaskał lufę tego niezwykle precyzyjnego

karabinu, poczuł przyływ adrenaliny. Broń miała metr dwadzieścia długości, była wyposażona w magazynek zawierający pięćdziesiąt pocisków kaliber czterdzieści dziewięć i celownik optyczny dający czterystukrotne powiększenie.

Moon używał podobnego karabinu w Wietnamie; w dżungli trafiał w podstawę czaszki z ponad trzystu metrów. W Los Angeles, w świetle dnia, mógłby z dwa razy większej odległości odstrzelić tyłek motyla.

Przeniósł wzrok z karabinu na skrzynię w kącie i uśmiechnął się. Nawet ból, jaki przeszył jego ramiona, nie zepsuł mu nastroju.

- A co z Angie Moore? - spytał Densmore.

Moon wyszarpnął magazynek i obrócił go w dłoni.

- Pozostaje w areszcie domowym. Nie wolno jej zbliżyć się do tej kawiarni. Jeśli Collier jakimś cudem wymknie się z UCLA, tam go dopadniemy.

Moon podniósł głowę. Światło wpadające przez okno odbiło się od szkła jego okularów. Z miejsca, w którym stał, widział wystawione przed kawiarnię stoliki, ocienione jasnoczerwonym daszkiem. Uniósł karabin, oparł kolbę na ramieniu i wymierzył w punkt oddalony o kilkanaście centymetrów od nosa Densmorea. Przycisnął oko do celownika i przeczytał numer rejestracyjny samochodu zaparkowanego półtora metra od drzwi kawiarni.

- Ale on się nam nie wymknie - powiedział cicho. - Nie jest aż tak dobry.

Opuścił karabin i raz jeszcze spojrzął na drewnianą skrzynię. Właściwie żałował, że poprosił Nowy Jork o przysłanie tego sprzętu. Wolałby darować sobie wymogi ostrożności i zakończyć sprawę po swojemu. Może jednak będzie miał szansę. Collier już raz zrobił ich w konia; tym razem Moon go nie zlekceważy.

- Nie obchodzi mnie, co nosi w swojej skórze - powiedział, uderzając magazynkiem o stół na szczęście. Potem załadował broń.

- Krwawi, jak my wszyscy.

26

Mężczyzna zamachnął się, wznosząc stalowy kij wysoko nad głowę. Jego klasyczne rysy zasłaniał cień daszka ciemnozielonej czapki baseballowej z napisem "Marine Corps". Kilka metrów dalej stali dwaj agenci Secret Service, najbardziej kosztowni na świecie i najmniej przydatni chłopcy do noszenia kijów golfowych. Obydwaj mieli znudzone miny, a na ich szarych koszulach widoczne były plamy potu.

Tyler szybkim krokiem ruszyła w górę wypielegnowanego trawiastego zbocza, kierując się w stronę tej trójki. Od dwudziestu minut szła pieszo przez prywatne pole golfowe i była mokra od potu. Podobnie jak agenci Secret Service, nie mogła przywyknąć do pogody w Los Angeles, ale powinna tę sprawę załatwić osobiście. Rozmowa telefoniczna miała tę wadę, że zbyt

łatwo odłożyć słuchawkę.

Wdrapała się na szczyt pagórka i zwolniła kroku. Patrzyła uważnie na mężczyznę z kijem golfowym. Był zbudowany jak hydrant; twarde mięśnie rysowały się pod cienkim materiałem jasnego stroju golfowego. Spod czapki wymykały się pasemka siwych włosów, a skóra na karku mężczyzny była pomarszczona jak kora drzewa. W centrum jego uwagi znajdowała się biała piłeczka leżąca na ziemi. Z oczu biła mu zawziętość wieloletniego sportowca. Tyler mogła sobie wyobrazić, jak czułaby się, gdyby te same oczy patrzyły na nią znad lufy M -16.

Przez chwilę miała ochotę zaczekać, aż mężczyzna uderzy piłkę; potem przypomniał jej się Moon i jego równie niebezpieczne oczy.

- Senatorze Conway! - krzyknęła, wchodząc na murawę. - Muszę z panem natychmiast porozmawiać!

Dwaj agenci Secret Service zobaczyli ją pierwsi. Natychmiast wyrosli między nią a Conwayem, sięgając po broń. Tyler szybko wyjęła z kieszeni koszuli odznakę. Metal błysnął w słońcu.

- Nazywam się Tyler Ross i jestem agentką federalną. Miejsce pobytu senatora zdradził mi dyrektor F-Bi-aI.

Nie było to do końca prawdą. Arthur Feinberg skontaktował się ze znajomym z Waszyngtonu, który był mu winien przysługę, i po krótkiej rozmowie z nim przekazał Tyler radosną nowinę, że Conway pojechał na Święto Dziękczynienia do swojego rodzinnego stanu. O tym, że jest na prywatnym polu golfowym, dowiedziała się już od jego żony.

Conway wszedł między dwóch agentów, trzymając kij golfowy przy biodrze. Jego twarz była jak wyciosana z kamienia, ale w oczach pojawiło się autentyczne zaniepokojenie. Ruchem głowy nakazał agentom, by odeszli.

- Wiem, kim pani jest, doktor Ross. Czy nie powinna pani być w tej chwili w Nevadzie i szukać mordercy mojej córki?

Tyler poczuła ucisk w żołądku. W głosie Conwaya brzmiała dzika furia.

Skierowana nie przeciwko niej, tylko Jackowi Collierowi. Ten głos był o wiele bardziej niebezpieczny niż zimne oczy senatora. Ten głos wydał już wiele wyroków śmierci.

- Panie senatorze - powiedziała, chowając odznakę. - Jestem przekonana, że w śledztwie popełniliśmy niezwykle ważny błąd. Mam nowe informacje dotyczące śmierci Jill i pochodzenia śmiercionośnych bakterii.

Przez policzki Conwaya przemknął złowrogi cień.

- Wiem już wszystko, co trzeba. Wierzę, że pani i agent Moon zamkniecie tę sprawę w sposób właściwy.

Na dźwięk tych słów Tyler przejął przenikliwy chłód. Wiedziała, co Conway ma na myśli. To był żargon żołnierzy z Wietnamu. "Zamknąć sprawę" oznaczało worek ze zwłokami i garść łusek po nabojach. - Z całym szacunkiem - wycedziła Tyler przez zęby - ale musi pan wysłuchać, co mam do powiedzenia.

Conway był wyraźnie zaskoczony jej tonem. Nikt się do niego

tak nie zwracał. Przez długą chwilę milczał.

- Dobrze. Daję pani trzy minuty. Potem wrócę do gry, a pani stąd zniknie.

Słowa popłynęły z ust Tyler wartkim strumieniem.

Opowiedziała mu o pieniądzach Duttona i jego nieznajomości składu najważniejszego elementu leku. Powtórzyła to, co Collier powiedział jej w McDonaldisie i wyjaśniła, dlaczego jest przekonana, że nie kłamał. Nie szukała wydumanych uzasadnień, bo takie nie istniały.

Conway słuchał jej z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Kiedy skończyła, stuknął się kijem golfowym w nogę.

- Czyli uważa pani, że Collier nie zrobił tego rozmyślnie - stwierdził.

- To był lek Jacka - powiedziała Tyler. - Ten chłopak nie zniszczyłby swojego własnego dzieła.

Conway zdjął czapkę z głowy i otarł pot z czoła. Potem potrząsnął głową.

- Gdzie dowody, doktor Ross? Michael Dutton jest jednym z najbardziej szanowanych naukowców na świecie, a Jack Collier - gnojkiem z kryminalną przeszłością.

Tyler zacisnęła usta.

- Jack Collier jest jeszcze dzieciakiem, niewiele starszym od pańskiej córki. A jeśli kogokolwiek należy winić za tę tragedię, to właśnie Duttona.

Conway przez chwilę milczał. Potem potrząsnął głową.

- Moja córka nie żyje, a Jack Collier nosi w sobie chorobę, która ją zabiła. Trzeba go powstrzymać.

Po plecach Tyler przeszedł dreszcz. Podjęła decyzję. Pora przejąć inicjatywę.

- Panie senatorze, śmierć pańskiej córki była nieszczęśliwym wypadkiem. Jeśli nie powstrzyma pan Moona, Collier zostanie zamordowany z zimną krwią. A ja nie zamierzam stać bezczynnie i patrzeć, jak skazuje pan młodego człowieka na śmierć.

Conway obrócił kij w dłoni. Stał błysnęła w słońcu.

- Niech pani uważa, doktor Ross.

Ale Tyler zabrnęła już za daleko.

- Pójdę z tym do gazet, senatorze. Opowiem o wszystkim w wiadomościach wieczornych. Przedstawiciel narodu zatrudniający agentów F-Bi-aI jako morderców na zlecenie.

Conway poczerwieniał.

- To będzie panią drogo kosztować. Za takie pomówienia zostanie pani zwolniona ze służby.

Tyler zadrżała, ale rozpierała ją energia.

- Nic mnie to nie obchodzi. Postępuję zgodnie ze swoim sumieniem.

A teraz proszę pomóc mi odnaleźć Moona.

Zapadła martwa cisza. Conway zacisnął palce na kiju golfowym, aż zbieleły mu kostki. Utkwił spojrzenie w Tyler, ale ona nie odwróciła wzroku.

Wreszcie ustąpił. Machnął ręką na agentów Secret Service.

- Mój telefon. Już.

Jeden z nich przyniósł komórkę Conwaya. Była dwa razy większa od modeli komercyjnych, wyposażona w zabezpieczenie antypodsłuchowe i nadajnik o zwiększonej mocy. Conway wystukał numer i przycisnął telefon do ucha.

Zaczął z kimś rozmawiać. Tyler bacznie go obserwowała. Kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się, Conway zacisnął usta. Po chwili wzruszył ramionami i złożył telefon.

- Vincent wyłączył radio. Nawet wasz dyrektor nie może się z nim skontaktować.

Tyler zaschło w gardle.. Nigdy jeszcze nie znalazła się w takiej sytuacji.

Zawsze można było jakoś nawiązać kontakt z agentem prowadzącym sprawę.

- To znaczy, że nie można go złapać?

Conway zniżył głos. - Sam go nauczyłem w wietnamie. Nie wyłącza się radia ze względu na wroga; robi się to w sytuacji, gdy nie jest się pewnym swoich ludzi. Po przerwaniu kontaktu nikt nie może nakazać przerwania akcji. Nikt nie może wejść w drogę.

Tyler ogarniała coraz większa wściekłość. Czy tylko ona jedna zachowała trzeźwość umysłu? Ci faceci zachowywali się, jakby wciąż byli na wojnie. - No to jak go powstrzymać? - spytała, usiłując się opanować, - Nie da się. Wszystko w rękach Moona.

Tyler miała ochotę rąbnąć go kijem golfowym w łeb.

- Panie senatorze, to nie jest właściwa odpowiedź. Jeśli Collier umrze, a ja dowiodę, że to nie był wypadek... cóż, nie tylko moja kariera będzie w poważnym niebezpieczeństwie.

Conway przełknął ślinę. Ze złością rozłożył telefon i wystukał jakiś numer.

- Jeśli skorzystał z helikoptera - powiedział, przyciskając telefon do ucha - mogę sprawdzić, dokąd leci. Szef jednostki lotniczej służył pod moim, dowództwem.

Po chwili w jego oczach znów pojawił się stalowy błysk.

- Moon jest w drodze na UCLA. Dokładnie, do jednego z laboratoriów biologicznych.

Laboratorium biologiczne. Tyler, choć zaskoczona, była pod wrażeniem.

Jack Collier nie poddał się i nie próbował uciec. Udał się tam, gdzie czuł się pewnie. Tyler przychodził do głowy tylko jeden powód, dla którego znalazł się na UCLA. Próbował się wyleczyć.

- Senatorze - powiedziała, błagając w duchu los, by nie było za późno muszę pożyczyć pański telefon.

27

Piętnaście centymetrów lśniącej stali, tak wyostrzonej, że można by nią przebić błonę pojedynczej ludzkiej komórki. Rurka z hartowanego szkła wypełniona gęstym, jasnożółtym płynem,

upstrzonym małymi białymi plamkami.

Wstrzymując oddech, Jack wpatrywał się w strzykawkę unoszącą się w ciepłej wodzie. Naczynie, w którym się znajdowała, stało na stalowym stoliku, między dwiema zużytymi płytkami do elektroforezy a walającymi się obok pustymi fiolkami i probówkami. Jack dotknął drżącym palcem końca strzykawki. Patrzył, jak kołysze się na wodzie, jak małe skupiska życia w żółtym płynie powiększają się, tworząc mikroskopijne cywilizacje. Za kilka minut bakterie osiągną masę krytyczną - będą gotowe do zaatakowania jego organizmu. Jack zamierzał wówczas wstrzyknąć sobie żółty płyn i w ten sposób zapoczątkować transformację.

Kolana ugięły się pod nim i dzwoniło mu w uszach. Od wielu godzin pracował niemal jak w transie. Nigdy jeszcze nie był tak skoncentrowany jak teraz i zdawał sobie sprawę, że jest na krawędzi wyczerpania. Bolała go głowa, oczy zdawały się wychodzić na wierzch, a to cholerne dzwonięcie doprowadzało go do szału.

Jednak strzykawka unosząca się na wodzie była dowodem, że jego trud nie poszedł na marne. Gdy tylko wprowadzi powtórnie zmodyfikowane bakterie paciorkowca do swojego organizmu, uruchomi reakcję łańcuchową, która obejmie wszystkie jego komórki. Nowy plazmid będzie przekazywany z bakterii do bakterii, zmieniając paciorkowiec A z mordercy z powrotem w lek.

Wkrótce zmiana stanie się trwała; liszaj Duttona zostanie zastąpiony przez właściwy receptor i bakterie nie będą już polować na ciało i narządy wewnętrzne. Ich mechanizmem sterującym znów stanie się DNA limfocytów T.

Wówczas za cel ataku bakterie ponownie obiorą nowotwory, a dotyk Jacka będzie niósł życie, a nie śmierć.

To było coś niesamowitego. Jack miał stać się nosicielem leku na raka.

Wystarczy, że weźmie Angie w ramiona, że ją pocałuje, a będzie uratowana.

Marzył o tym przez ostatnie dwa lata. To było więcej niż niesamowite.

Może w ten sposób uspokoi swoje sumienie. Zanurzył drżące palce w ciepłej wodzie. Skóra na nich po chwili zmarszczyła się jak łupina starego owocu. Gdyby tylko ucichło to cholerne dzwonięcie. Gdyby tylko mógł wreszcie ;: mieć chwilę ciszy...

Podniósł głowę, uświadamiając sobie, że uporczywy dźwięk nie jest tylko złudzeniem. Odwrócił się i spojrzał na telefon wiszący na ścianie na końcu korytarzyka. Jack uśmiechnął się do siebie, zaskoczony, że wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Telefon dzwonił już od co najmniej dwudziestu minut.

Potem uśmiech zniknął z jego twarzy. Czyżby F-Bi-ał próbowało się z nim skontaktować? Czy ktoś wiedział, że tu jest?

Popadam w obłęd, pomyślał. Tak jak w Nowym Jorku. Tyle że wtedy jego niepokój był uzasadniony. Spojrzał na strzykawkę i przeszły go ciarki.

A telefon wciąż dzwonił.

- Niech to szlag.

Jack powoli podszedł do ściany. Powiódł wzrokiem po wiszących na hakach zbiornikach z tlenem i gumowych maskach. W końcu jego oczy spoczęły na irytującym kawałku plastyku. Miał ochotę zerwać to cholerstwo ze ściany; uznał jednak, że nie zaszkodzi sprawdzić, kto dzwoni. Jeśli agenci F-Bi-aI czatowali pod drzwiami, gotowi do szturmowania, to lepiej będzie z nimi porozmawiać. Może go wysłuchają. Nie uwierzą mu, ale może go chociaż wysłuchają.

Potem przed jego oczami stanął obraz Tyler Ross, przechylonej przez krawędź kanapy i Michaela Duttona, stojącego za nią ze spuszczoneymi spodniami. Jack obnażył zaciśnięte zęby.

Pochwycił słuchawkę i przycisnął ją do ucha.

- To chyba pomyłka - powiedział. Miał już się rozłączyć, kiedy usłyszał kobiecy głos.

- Jack, mówi Tyler Ross z F-Bi-aI.

Jack znieruchomiał ze słuchawką w ręku. Świat zawirował mu przed oczami. Przez chwilę wydawało mu się, że wyobraźnia płata mu figle, że to, co usłyszał, jest tylko złudzeniem wywołanym przez strach i stres.

- Jack, musisz mnie wysłuchać. Oni idą po ciebie. Chcą cię zabić.

W tle słychać było odgłos silnika samochodowego.

- Jak mnie znalazłaś?

- Nieważne. Musisz uciekać.

Wydało mu się podejrzanym, że agentka F-Bi-aI udziela takiej rady. Miał ochotę odłożyć słuchawkę, ale coś kazało mu zaczekać. Był zaintrygowany i przerażony zarazem.

- Czemu miałbym ci zaufać, do cholery?

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

- Dlatego, że ci wierzę, Jack. To był twój lek.

Jack oparł się plecami o ścianę, zaskoczony. Jego serce wezbrało wzruszeniem i przez chwilę nie mógł złapać tchu. Zamknął oczy, ale wciąż miał przed nimi obraz Tyler Ross i Michaela Duttona w pokoju hotelowym. Teraz mówiła, że mu wierzy, ale czy należało jej ufać?

- Aleja tobie nie wierzę. Skąd mam wiedzieć, że to nie jest jakiś podstęp?

- To nie podstęp, Jack - powiedziała łamiącym się ze zdenerwowania głosem. - Wiem, że to ty wpadłeś na pomysł, by wykorzystać paciorkowiec A do niszczenia nowotworów. Wiem, że nie zniszczyłeś tego leku i że nie chciałeś nikogo zabić.

Jack musnął palcem jeden ze zbiorników z tlenem wiszących na ścianie.

Wciąż miał ochotę odłożyć słuchawkę. Z drugiej strony, nareszcie słyszał słowa, na które tak bardzo czekał. Jednak po tym, co zobaczył, nie mógł zaufać tej kobiecie.

- A co z Michaeliem Duttonem?

Do jego głosu wkradła się pogardliwa nuta Tyler była tym chyba nieco zmieszana. Nie mogła wiedzieć, że widział ją z Duttonem. Był ciekaw jej reakcji.

- Dutton jest kłamcą i oszustem. Oszukał mnie tak samo jak ciebie.

Jack otworzył szeroko oczy. Poczul na języku gorzki smak.

- Gdzie jesteś?

- Na autostradzie. Jadę po ciebie, ale nie sądzę, żebym zdążyła, zanim zjawią się tam inni agenci F-Bi-aI. Będzie nimi dowodził człowiek nazwiskiem Vincent Moon.

Jack zerknął nerwowo na strzykawkę, wciąż unosząc się w naczyniu z ciepłą wodą. Nie wiedział, co myśleć. Tyler Ross chyba mówiła prawdę.

Co więcej, wyczuł w jej głosie dziwną nutę - jakby sympatii. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale słuch na pewno go nie mylił.

- No to co mam zrobić? - spytał. - Oddać się w ich ręce, kiedy tu przyjdą?

- Nie.

Taka odpowiedź była dla niego całkowitym zaskoczeniem. W głosie Tyler słychać było autentyczny strach.

- Dlaczego nie?

- Bo Vincent Moon nie chce cię aresztować, tylko zabić.

Ja jedna jestem po twojej stronie. Możesz się oddać tylko w moje ręce, a ja zapewnię ci ochronę do czasu, kiedy to wszystko się skończy.

Jack przygładził włosy.

- A co mam robić do twojego przyjazdu? Schować się pod mikroskopem?

Tyler nie zaśmiała się z jego żartu.

- Musisz się stamtąd wydostać,...

Za drzwiami laboratorium rozległ się jakiś hałas. Jack oderwał słuchawkę od ucha. Zastygł w bezruchu, nasłuchując. Po chwili dobiegł do niego ten sam dźwięk, donośny, metaliczny warkot, stłumiony przez podwójne drzwi.

Przypominał odgłos silnika kosiarki.

- Jack! - rozległ się głos Tyler. - Co się dzieje?

Przyłożył słuchawkę do ucha. Z miejsca, w którym stał nie widział drzwi, ale był pewien, że coś się za nimi dzieje.

- Słyszę jakiś silnik.

- Cholera - zakląła Tyler. - Vincent musiał sprowadzić sondę.

- Jaką sondę? - zaniepokoił się Jack.

- To zdalnie sterowany robot. Mniej więcej półtora metra wysokości, kuloodporny, jeździ na gąsienicach jak czołg, - Chyba żartujesz.

Znów usłyszał ryk silnika. Rozległ się zgrzyt metalu o betonową podłogę., - Cokolwiek to jest, zbliża się.

- Istnieje jakieś awaryjne wyjście? - Tyler prawie krzyczała. W słuchawce słychać było wycie syreny; Jack wyobrażał sobie, jak wóz agentki z piskiem opon lawiruje między samochodami.

- O ile wiem, to nie - odparł Jack. Zaczynał wpadać w panikę.

Spojrzał na strzykawkę. Jeszcze minuta i bakterie będą gotowe, ale jeśli nie uda mu się spotkać z Angie, na nic się nie przydadzą. - Czy ta sonda jest uzbrojona?

Tyler milczała przez chwilę.

- Można ją wyposażyć w wyrzutnię gazu łzawiącego i karabin maszynowy kaliber pięćdziesiąt milimetrów.

Jack zbladł.

- O Jezu.

- Musisz się gdzieś ukryć - powiedziała Tyler.

Spojrzenie Jacka spoczęło na dwóch mikroskopach elektronowych.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Tyler, w jaki sposób ta sonda jest sterowana? Przez mikrofałę, fale radiowe, czy podczerwień?

Wydawała się zdziwiona tym pytaniem.

- Przez fale radiowe. Częstotliwość pięć megaherców.

Jack poczuł przyływ energii. Jeszcze nie wszystko było stracone.

- Słuchaj uważnie. Jeśli uda mi się stąd wydostać, spotkamy się w Le Grand Cafe na Melrose Avenue. Muszę tam po kogoś pójść. Rozumiesz?

- Jack - zaczęła Tyler - za niecałe dziesięć minut będę na terenie UCLA.

- Cholera, nie mam dziesięciu minut...

Jack nie dokończył zdania, ponieważ w tym momencie pomieszczeniem wstrząsnął potężny wybuch. Collier wypuścił słuchawkę z ręki i fala uderzeniowa odrzuciła go do tyłu.

Nie musiał widzieć podwójnych drzwi laboratorium, by domyślić się, że została z nich kupa złomu.

28

Vincent Moon stał pochylony nad pulpitem sterowniczym. Na jego twarz padał niebieski blask z wielkiego ekranu. Na karku czuł ciepły oddech Densmorea; z trudem opierał się pokusie, by nie odwracając się rąbnąć tego żółtodzioba głową w szczękę.

- Potrzebuję więcej miejsca - syknął. Cień Densmorea natychmiast się wycofał. Agenci stojący za nim w półkolu zaczęli coś między sobą szeptać, ale Moon uciszył ich gestem ręki.

Zbliżył twarz do ekranu, patrząc na laboratorium rozciągające się przed zainstalowaną na sondzie trójwymiarową kamerą. Cienki drążek spoczywający w jego grubych palcach był jak zabawka. Najbardziej wkurzało go, że gaśienice sondy podskakiwały na twardej betonowej podłodze. Strasznie utrudniało to sterowanie.

Z wysadzonych plastykiem drzwi została masa powyginanego metalu i tłących się szczątków i Moon już dwa razy o mało co nie wyrzucił na nich mini - czołgu.

Sonda uderzyła w jeden ze stalowych stolików, zrzucając na podłogę stojak z próbkami. Moon skrzywił się. Wolałby po prostu

wysłać do laboratorium swoich agentów, uzbrojonych w karabiny i granaty z gazem łzawiącym. Nie chciał jednak ryzykować strat w ludziach, tym bardziej że sprawą od niedawna bardzo interesowały się media. Zdjęcia szkieletów agentów F-Bi-aI mogłyby kosztować Moona utratę pracy.

- No, dawaj - powiedział, lekko ciągnąc drążek w swoją stronę. Chciał cofnąć sondę i skierować ją z powrotem na środek korytarzyka. - Rób, co ci każę, ty kupo złomu.

- Sir - usłyszał za swoimi plecami głos agenta nazwiskiem Crobert, zdyszanego od biegu po schodach. Ludzie Moona rozdzielili się, schodząc mu z drogi. - W lobby budynku jest policja uniwersytecka. Słyszeli wybuchy i chcą wiedzieć, co jest grane.

- Powiedz im, że tą sprawą zajmuje się F-Bi-aI. Pierwszy ochroniarz, który się tu zjawi, spędzi resztę weekendu w celi, z tyłkiem obolałym od moich kopów. A potem oskarżę go o utrudnianie wykonywania obowiązków funkcjonariuszom F-Bi-aI.

Sonda powoli posuwała się w głąb laboratorium. Minęła rząd zlewek stojących na niskiej półce; na ekranie pojawiło się groteskowe odbicie robota w zakrzywionym szkle. Moon popatrzył na wyrzutnię gazu łzawiącego, skierowaną ku górze pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Potem spojrzął na karabin maszynowy zamontowany na obrotowej kopulastej wieżyczce umieszczonej na szczycie sondy. Mogła ona w niecałą sekundę wykonać zwrot o trzysta sześćdziesiąt stopni, a karabin w tym czasie wystrzeliwał przeszło sto pocisków.

Piękna broń.

Moon pchnął drążek do przodu i sonda dojechała do końca pierwszego korytarzyka. Jej ruch był już bardziej płynny, gaśienice toczyły się szybko po podłodze. Moon nie widział jeszcze swojego celu, ale wiedział, że jest coraz bliżej. Istniało tylko jedno wyjście z laboratorium i żeby z niego skorzystać, Jack Collier musiałby przedostać się obok sondy. A w chwili, gdy pojawi się na ekranie, pociski z karabinu rozerwą go na strzępy.

Na razie chodziło o to, by wykurzyć Pożeracza Karmy z kryjówki. Lewa dłoń Moona zawisła nad dwoma guzikami, czerwonym i czarnym.

Densmore nakleił pod nimi skrawki taśmy z napisami: "Gaz. Karabin".

Ludzie Moona nie słynęli z fantazji. Jednak samą fantazją nie da się załatwić Jacka Colliera. Do tego potrzebny był karabin maszynowy i kilka milionów dolarów z kieszeni podatników, wydanych na odpowiednie cele.

Moon uśmiechnął się i wcisnął kciukiem czerwony guzik.

29

Rozległ się głośny, metaliczny trzask, a potem przeciągły gwizd. Jack zobaczył lecący ku niemu wysokim łukiem stalowy

przedmiot w kształcie małej rakiety, obracający się szybko wokół własnej osi. Przedmiot odbił się od stolika i wyskoczył do góry. Przeleciał nad sąsiednim korytarzykiem, wpadł na ścianę i runął na podłogę. Odbił się od niej dwa razy, by wreszcie wylądować w odległości dziesięciu metrów od Jacka.

Jack spojrział z przerażeniem na tajemniczy przedmiot. Rusz się!, krzyknął na siebie w duchu. Rusz się! Rusz się! Rusz się! Jego nogi były jednak jak wrośnięte w ziemię.

Nagle odpadł czubek stalowego przedmiotu i w powietrze wzbił się słup gęstego białego dymu. Jack wreszcie odzyskał władzę w nogach i potoczył się do tyłu, zakrywając rękami usta i nos. Spojrzął na zbiorniki z tlenem i maski przeciwgazowe wiszące obok telefonu. Podbiegł do nich, uchylając się przed dwoma następnymi stalowymi pociskami. Złapał zbiornik z tlenem i założył maskę. Składała się z przezroczystej osłony na twarz, gumowego ustnika i pasków biegnących wokół głowy. Jack zacisnął je z całej siły, czując na wargach gorzki smak gumy. Do jego gardła wpłynął podmuch chłodnego powietrza.

Cuchnący dym był już tak gęsty, że Jack prawie nie widział swoich rąk.

Ruszył do przodu. Potknął się o jeden z pojemników, który przeturlał się po betonowej posadzce. Odgłos silnika kosiarki do trawy był coraz bliżej; ciężkie gąsienice przesunęły sondę ku celowi. Zostało jeszcze kilka minut, zanim to cholerstwo skręci za róg i odetnie mu drogę.

Jack podszedł do stanowiska, przy którym spędził ostatnie dziesięć godzin i zaczął gorączkowo grzebać w powywracanych próbkach i zlewkach.

Wreszcie wymacał krawędź naczynia z ciepłą wodą; potem pochwycił strzykawkę, zanurzając rękę do łokci.

Choć na twarzy miał maskę ochronną, zaczynały go piec oczy. Gaz łzawiący był wszędzie, smużki białego dymu wdzierały się pod przezroczystą osłonę twarzy i paliły policzki Jacka. Za kilka minut niczego nie będzie widział. Musiał się pospieszyć.

Schował strzykawkę do kieszeni i odwrócił się w stronę mikroskopów elektronowych. Sonda z każdą sekundą była coraz bliżej. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a potem trzask miażdżonego ciężkimi gąsienicami drewna. Wyobraźnia podsunęła Jackowi przerażający obraz polującego na niego monstrum prosto z kartek powieści science-fiction.

Przypadł do mikroskopu elektronowego i przejechał dłońmi po stalowej obudowie, szukając jakiegoś sposobu, żeby go otworzyć. Podstawa mikroskopu ważyła co najmniej sto kilo i była wielkości małego stołu. Jack wsunął palce pod spoinę i pociągnął blachę ku sobie. Ból przeszył mu rękę. Cofnął dłoń. Musiał szybko coś wymyślić.

Odwrócił się i zaczął otwierać szuflady. Na podłogę wypadały przedmioty o najprzeróżniejszych kształtach. Były tam pipety, nożyczki - i śrubokręty. Jack chwycił pierwszy z brzegu wkrętak z płaskim łbem i odwrócił się z powrotem w stronę mikroskopu.

Wcisnął koniec śrubokręta w spoinę i z całej siły wygiął ku dołowi. Rozległ się zgrzyt metalu, trzask pękającej śruby. Jack zaczął gwałtownie szarpać śrubokrętem w górę i w dół, przeklinając inżynierów, którzy tak dobrze zmontowali urządzenie. Puściła kolejna śruba i powstała kilkunasto centymetrowa luka, w którą wkrętak wszedł do połowy. Jack wsparł się na nim całym swoim ciężarem. Głośny trzask i górna część obudowy oderwała się. Jack wylądował na twardej posadzce.

Podniósł nogi i uderzył piętami w mikroskop, zrzucając oderwany fragment obudowy. Zobaczył plątaninę kabli, tranzystorów i kondensatorów. Jeden róg urządzenia zajmował generator wielkości bochenka chleba, oznakowany jasnoczerwoną naklejką z napisem: "Trzydzieści tysięcy wolt."

Nie włączać po otwarciu obudowy".

Jack uśmiechnął się. Spojrzał na przełącznik z boku mikroskopu, ustawiony w pozycji wyłączonej. Wstał. Łzy płynęły mu po policzkach, ale prawie nie zwracał na to uwagi. Sonda była tuż - tuż; ryk silnika odbijał się echem od ścian i sufitu. Jack spojrzał w głąb korytarzyka, ale zobaczył tylko biały dym i błysk potłuczonego szkła.

Zaczął gorączkowo przeszukiwać stojaki ze związkami chemicznymi, zrzucając na podłogę kolejne fiolki i zlewki. Odczytywał naklejkę po naklejce, przypominając sobie skład poszczególnych związków. Na półce zostały już dwie ostatnie fiolki. Oczy Jacka rozbłysły na widok dwóch najpiękniejszych słów na świecie! "Siarczyk magnezowy".

Jack, uradowany, odwrócił się do otwartego mikroskopu elektronowego. Otworzył fiolkę, jednocześnie wciskając nogą włącznik mikroskopu.

Wszłuchał się w szum rozgrzewającego się urządzenia, dostrzegł kilka iskier strzelających z odsłoniętych kabli, podniósł fiolkę - i nagle uświadomił sobie, że w laboratorium zapadła martwa cisza.

O cholera!

Jack odwrócił się. Sonda stała w chmurze białego dymu. Robot miał około półtora metra wysokości i przypominał kosz na śmieci tkwiący na czterech gąsienicach - tyle że zamontowany był na nim karabin maszynowy.

Kamera zainstalowana obok karabinu zwróciła się w stronę Jacka.

Obiekt w mrugnął na niego jak złośliwe oko. Potem rozległ się metaliczny trzask i karabin maszynowy zaczął się obracać; długa lufa przecinała powietrze z niewiarygodną prędkością.

Jack bez namysłu wrzucił fiolkę z siarczkiem magnezowym do otwartego mikroskopu elektronowego. Silnie przewodzący związek rozlał się na generatorze. W ciszę zalegającą laboratorium wdarła się seria głośnych trzasków. Białe iskry wystrzeliły w powietrze. Jack rzucił się na podłogę.

W tym samym momencie nastąpiła potężna eksplozja. Huk przetoczył się przez całe laboratorium.

Jack przewrócił się na plecy. Karabin maszynowy kręcił się w kółko, strzelając po półkach, ścianach, szafkach i podłodze. Pociski odbijały się rykoszetem od stali i betonu, rozbijając szkło i wyrывая ogromne dziury w suficie, Jack przeczołgał się w bok, chowając się za drugim mikroskopem elektronowym. Sonda odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, a karabin nie przestał strzelać. Po chwili telefon rozbił się na tysiąc plastikowych odłamków, a następne pociski przeszły sufit.

Jack roześmiał się głośno, nie podnosząc głowy. Z wnętrza mikroskopu elektronowego dobiegał syk topiących się kabli, słyszalny nawet wśród huku wystrzałów. Jack nie mógł uwierzyć, że jego fortel okazał się skuteczny. Wyobrażał sobie, jak agenci F-Bi-aI na korytarzu wpatrują się w ekran monitora i widzą sondę oddalającą się od celu, z karabinem strzelającym bezładnie we wszystkie strony. Był ciekaw, jak dużo czasu upłynie, zanim odgadną, co się stało.

Profesor, u którego miał fizykę na Harvardzie, byłby z niego dumny.

Zgodnie z przewidywaniami Jacka, siarczek magnezowy wywołał wyemitowanie z zasilacza mikroskopu elektronowego potężnego impulsu elektromagnetycznego, co spowodowało zakłócenie fal radiowych odbieranych przez sondę. Zdalne sterowanie stało się bezużyteczne; od tej pory robot funkcjonował samodzielnie, wykonując losowe polecenia płynące z uszkodzonych układów scalonych. Armia amerykańska wykorzystała to samo zjawisko -ale na większą skalę - do eliminowania nieprzyjacielskich elektrowni i systemów komputerowych w Bagdadzie i Kosowie.

Jack, skulony za drugim mikroskopem elektronowym, nie miał czasu, by cieszyć się ze swojego sukcesu. Najpierw musiał jakoś wydostać się z laboratorium. Wiedział, że obłąkany kosz na śmieci będzie trzymał F-Bi-aI w szachu, dopóki nie wyczerpie się amunicja. To dawało mu chwilę do namysłu.

Nagle na podłogę spadła płytka oderwana z sufitu przez serię z karabinu maszynowego. Jack podniósł głowę i zobaczył siatkę, za którą ciągnął się przewód wentylacyjny. Był ciasny, ale stanowił w miarę bezpieczną drogę ucieczki.

Jack upewnił się, że ma strzykawkę w kieszeni, a sonda wciąż jest od niego odwrócona. Odetchnął głęboko i wskoczył jak kot na najbliższą szafkę. Wyprostował się i uderzył pięściami w sufit, zrzucając na podłogę dwie następne płytki. Złapał metalową siatkę i wyrwał ją. W maskę osłaniającą jego twarz uderzył podmuch czystego powietrza. Jack wsunął ręce do pogrążonego w ciemności przewodu wentylacyjnego i napiął mięśnie.

Usłyszał, jak sonda odwraca się w jego stronę. Huk pocisków wbijających się w ściany dochodził z coraz bliższej odległości. Jack błyskawicznie wśliznął się do otworu. Po chwili był już w przewodzie wentylacyjnym i czołgał się do przodu.

Terkot karabinu maszynowego przycichał w miarę, jak Jack zagłębiał się w ciemności. Czuł na karku chłodny podmuch. Nie wiedział, dokąd zmierza -ale przewód wentylacyjny musiał w końcu

wychodzić na zewnątrz. Jack domyślał się że będzie musiał pokonać jeszcze jakieś przeszkody, ale wreszcie był pewien, że ujdzie z życiem. Nic go nie powstrzyma przed wizytą w kawiarni.

Pięć metrów dalej uświadomił sobie, że czegoś zapomniał. Zatrzymał się i zerwał maskę z twarzy, mrugając oczami w mroku. Czuł się nagi.

Zostawił w laboratorium plecak z pieniędzmi Duttona. Po raz pierwszy od czasu, kiedy to wszystko się zaczęło, stał się na nowo ubogim dzieciakiem z New Jersey.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Poklepał kieszeń, w której miał strzykawkę i ruszył przed siebie.

- Chrzanić pieniądze - szepnął.

30

Moon wbił wzrok w wartą dziesięć milionów dolarów kupę złomu, bezsilnie rzucającą się w przód i w tył na końcu korytarzyka. Wściekły, ruszył naprzód, ściskając w dłoniach karabin snajperski AR -7. Densmore i pozostali agenci zeszli mu z drogi, stąpając ostrożnie po rumowisku. Laboratorium wyglądało jak krajobraz po bitwie; ściany były podziurawione, a w powietrzu unosił się gęsty biały dym.

Pochylił się i wcisnął guzik wyłączający sondę. Urządzenie zignorowało go i wjechało prosto w ścianę, odłupując z niej kawałki tynku. Moon zaklął siarczyście. Otworzył klapkę umieszczoną na boku robota, położył karabin na podłodze i wyjął czterdziestkę piątkę.

- Jesteś zwolniony - warknął głosem zniekształconym przez maskę gazową. Przystawił lufę pistoletu do tablicy sterowniczej i pociągnął za spust.

Strzał poniósł się echem po laboratorium. Fragmenty układów scalonych wyleciały w powietrze i sonda znieruchomiała. Moon schował pistolet z powrotem do kabury i odwrócił się w stronę zdemolowanych stanowisk.

Na ich widok opadły mu ramiona, a kręgosłup przeszył ból..

Akcja zakończyła się całkowitą klęską. Szkody wyrządzone w czasie ataku mogły sięgnąć kilku milionów dolarów; media dopiero będą miały radochę. Kiedy Conway dowie się o tym - a dowie się na pewno - da Moonowi popalić. To jednak było niczym w porównaniu z przepełniającym go poczuciem osobistej porażki. Jack Collier był zwykłym gnojkiem. Już dwa razy wymknął się Moonowi - i zrobił z niego idiotę.

- Czy któryś z was może mi powiedzieć, co tu się stało? - rzucił Moon, podnosząc karabin snajperski z podłogi.

- Myślę, że Collier za pomocą tego urządzenia spowodował zwarcie w sondzie - odparł Densmore. Stał nad otwartą metalową skrzynią przypominającą supernowoczesny komputer. Z wnętrza urządzenia unosił się brązowy dym, upstrzony jasno żółtymi iskrami. - Cwany z niego palant, co?

Moon nie odpowiedział. Patrzył w górę, na sufit, w którym

brakowało kilku płytek. A więc to tędy uciekł Collier. Moon stracił go z pola widzenia w chwili, gdy zerwana została łączność z sondą. W czasie, gdy agenci F-Bi-aI przygotowywali się do wejścia do laboratorium, Collier musiał wydostać się z budynku przewodem wentylacyjnym. Od awarii sondy minęło dziesięć minut; to dało mu dość czasu, żeby uciec daleko stąd. Gdyby Moon wziął ze sobą więcej agentów, mógłby polecić im otoczyć, a nawet zamknąć budynek, ale to wymagałoby zgody dyrektora F-Bi-aI i, co gorsza, udziału Tyler Ross w akcji.

- No dobrze - powiedział wreszcie, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. - Collier uciekł, ale tym razem wiemy, dokąd się wybiera.

Densmore, wyślij drugi zespół do kawiarni na Melrose. Każ im ją dyskretnie obserwować.

Niech nikt nie nawiązuje kontaktu z celem, dopóki się tam nie zjawię.

Pogładził lufę karabinu snajperskiego. Sam zakończy tę sprawę. Spojrzał na Densmorea, który wyjął telefon komórkowy. Nagle podniósł głowę, jakby coś mu się przypomniało.

- Sądzi pan, że on jest na tyle stuknięty, żeby iść do tej kawiarni?

spytał młody agent. - Na pewno domyśli się, że będziemy go tam szukać.

Moon skinął głową. O dziwo, zaczynał do pewnego stopnia rozumieć Jacka Colliera.

- Będzie wiedział, że to pułapka, ale i tak tam pójdzie. Nie boi się nas. A poza tym w tej chwili nie ma już nic do stracenia.

Odwrócił się plecami do zniszczonego laboratorium. Ścisnął karabin w rękach. Im lepiej rozumiał Jacka Colliera, tym bardziej go nienawidził.

Dwadzieścia minut po tym, jak Moon opuścił Ośrodek Badań Biologicznych na UCLA, Tyler Ross weszła do zdemolowanego laboratorium.

Oparzy gazu łzawiącego, podrażniały jej gardło. Wyjęła chusteczkę z kieszeni i przykryła nią usta i nos. Po chwili znalazła szafkę pełną masek i rękawic.

W miarę, jak posuwała się w głąb laboratorium, ogarniało ją coraz większe przerażenie. Ochroniarze z UCLA i policjanci zgromadzeni w holu budynku nie potrafili udzielić jej żadnych informacji. Nie miała pojęcia, czy Jack jeszcze żyje. Moon nie skontaktował się ani z Conwayem, ani z dyrektorem F-Bi-aI i najwyraźniej wciąż utrzymywał ciszę radiową.

Na pierwszy rzut oka Tyler musiała przyznać, że sprawy nie wyglądają najlepiej. Skreśliła za róg i znalazła się twarzą w twarz ze zmasakrowaną sondą.

Robot stał pochylony na jednej gaśnicy, z tablicą sterowniczą wiszącą na wierzchu. Na samym jej środku czerniał otwór po pocisku z czterdziestki piątki.

- Chryste! - wyszeptała.

Laboratorium wyglądało jak pole bitwy. Tyler ogarnęła

spojrzeniem rumowisko, próbując odgadnąć, co tu się działo. Wyglądało na to, że albo sonda uległa awarii, albo Moon do reszty zwariował. Znając go, nie było to wykluczone.

Całe szczęście, że nigdzie nie było widać krwi. Może Jackowi jakoś udało się uciec. Ale jak? Czy istniało drugie wyjście z laboratorium?

Wtedy chłodny podmuch poruszył chusteczką i spojrzenie Tyler powędrowało ku górze. Zobaczyła dziurę w suficie i pogrążony w ciemności przewód wentylacyjny. Jack improwizował.

Zrobiła krok w stronę przewodu wentylacyjnego i stanęła na czymś miękkim, schowanym w stosie połamanych płytek sufitowych. Uklękła na jedno kolano i zaczęła grzebać w rumowisku. Po chwili poczuła pod palcami winyl i wyciągnęła duży czarny plecak. Rozsunęła suwak i jej oczom ukazały się pliki studolarowych banknotów.

Skrzywiła się na myśl o Duttonie. Ostrożnie wytrząsnęła pieniądze na podłogę. Potem zauważyła przednią kieszeń. Był w niej jakiś podłużny, ciężki przedmiot.

Tyler ostrożnie rozsunęła suwak i wyjęła metalowy, zamykany próżniowo pojemnik w kształcie pocisku. To w nim Jack musiał przechowywać paciorkowce. Zgodnie z jej przypuszczeniami, przez cały czas nosił je ze sobą.

Myślał, że to lek, a nie broń biologiczna.

Tyler podniosła się i rozejrzała dookoła. Pośród potłuczonych probówek i powywracanych fiolek na stalowym blacie leżały dwie zużyte płytki do elektroforezy i szkiełka mikroskopowe, z których część pokryta była zaschniętą krwią. Wyobraźnia podsunęła jej obraz Jacka Colliera, pracującego w pocie czoła, gorączkowo szukającego nowego cudu; nie poddawał się, bo autentycznie rozumiał tę chorobę, chorobę, która pozostawiła blizny na ciele i w duszy Tyler. Czy mu się udało? Czy odtworzył cudowny lek?

Wzięła do ręki telefon komórkowy, szybko wystukała numer Caufelda i ruszyła w stronę drzwi. Jeśli miała uratować życie Jacka Colliera, potrzebowała pomocy.

Prawdę mówiąc, to, czy się wyleczył, nie będzie miało żadnego znaczenia - jeśli to Moon odnajdzie go pierwszy.

31

Jack poczuł niepokój, gdy ładna młoda dziewczyna wyprowadziła go przez otwarte balkonowe drzwi na dziedziniec kawiarni. Nie żeby powiedziała coś niewłaściwego; chodziło o jej szeroki, wydawałoby się naturalny uśmiech.

Był sobotni wieczór, a to była ekskluzywna kawiarnia na jednej z najbardziej ekskluzywnych ulic w Los Angeles. Jack tymczasem miał na sobie dzinsy i brudną kurtkę, jego twarz pokrywały czarne smugi sadzy i kawałki potłuczonego szkła, włosy sterczały na wszystkie strony w mokrych od potu lokach, a na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, znalezione w skrytce w

garbusie. Mimo że hostessa podawała się za przyjaciółkę Angie, dlaczego była wobec niego tak cholernie miła?

- Ma pan szczęście - powiedziała. - Ludzie jeszcze nie powychodzili z klubów, więc nasze najlepsze miejsca są wolne.

Jack szybko rozejrzał się po dziedzińcu. Okrągła grota była wyłożona marmurową posadzką i niezbyt zatłoczona. Kilkanaście metalowych stolików ustawiono w kształt pół elipsy wokół wypolerowanej do połysku zielonej rzeźby, niedużej repliki Łuku Triumfalnego. Po narożnych wieżyczkach do sadzawki u jej podstawy spływały strumienie wody. Potem w kawiarni zapalił się reflektor i Jack uświadomił sobie, że z fontanny spływa nie woda, tylko szampan.;

- Proszę bardzo - hostessa, wskazała mu stolik przy samej ulicy.

- Może pan liczyć przejeżdżające ferrari, Jack usiadł na niewygodnym krześle. Po prawej stronie biegła balustrada, a za nią chodnik. Przy zielonym samochodzie terenowym stało czterech mężczyzn, ubranych tak, jakby wybierali się na nocną eskapadę po knajpach. Koszule, które mieli na sobie, błyszczały prawie tak mocno jak ich przylizane włosy.

Jack odwrócił się. Hostessa patrzyła na niego, wciąż z tym samym uśmiechem na ustach.

- Angie powinna przyjść lada chwila. Przynieść panu coś do picia?!

Jack zauważył dziwny błysk w jej oczach i zaniepokoił się jeszcze bardziej.

-Nie, dziękuję - odparł. - Jeśli będzie mnie suszyło, wsadzę głowę pod , fontannę.

Hostessa nie zaśmiała się z jego żartu; bez słowa odwróciła się i ruszyła pospiesznym krokiem w stronę kawiarni. Jack nie miał już prawie żadnych wątpliwości: to była pułapka. Hostessa miała go tu zatrzymać. Może w tej chwili wzywała F-Bi-aI. Jack pomyślał, że powinien po prostu przeskoczyć balustradę i pobiec chodnikiem przed siebie, a potem wskoczyć do swojego volkswagena i pojechać do Meksyku.

Spojrzał na wymuskanych facetów stojących przy samochodzie. Jeden z nich mówił głośno, wymachując gwałtownie rękami. Miał wyraźny europejski akcent. Nie, Jack nie zamierzał uciekać. Jeśli to zrobi, być może już nigdy nie zobaczy Angie.

Musiał zaufać Tyler Ross. Kobiecie, którą spotkał tylko raz w życiu i która już zdążyła - w pewnym sensie - go zdradzić. Teraz twierdziła, że mu wierzy. Przestrzegła go też przed sondą i Vincentem Moonem, agentem F-Bi-aI, który chciał go zabić.

Jeśli zjawi się w kawiarni, Jack odda się w jej ręce. W przeciwnym razie będzie tu siedział, aż przyjdzie Angie. Nie miał innego wyjścia.

Odwrócił się z powrotem w stronę dziedzińca i zaczął obserwować klientów kawiarni, skąpanych w świetle odbijającym się od strumieni różowego szampana. Piętnastu, może dwudziestu ludzi, w większości rówieśników Jacka. Wiele pięknych twarzy. Twarzy,

które mogłyby pojawić się w telewizji czy w kolorowych pismach. Niektóre już się tam pojawiły. Jack próbował wyobrazić sobie Angie, krążącą wśród nich, niosącą tacę z kolorowymi drinkami o idiotycznych nazwach. Czeka ją na chwilę, kiedy zabierze ją rak -samą, otoczoną przez ulotne piękno.

Jack zacisnął zęby, włożył rękę do kieszeni i ostrożnie wyjął z niej strzykawkę. Podniósł ją do oczu i spojrzął na gęstą żółtą ciecz. Białe skupiska bakterii były dwa razy większe niż poprzednio. Masa krytyczna, pomyślał.

Chcę wyjść na wolność i się rozmnożyć.

Położył prawą rękę na stole i podciągnął rękaw. Uderzył strzykawką w kant stołu, upewniając się w ten sposób, że nie ma w niej powietrza; potem przystawił igłę do swojej bladej skóry, tuż nad stawem łokciowym.

Siedzące dwa stoliki dalej trzy kobiety w niebieskich mini i butach na wysokim obcasie patrzyły na niego z zainteresowaniem, ale Jack nie zważając na to wbił igłę głęboko do żyły. Gdy wcisnął tłok, jedna z kobiet powiedziała coś, a pozostałe parsknęły śmiechem. Pewnie pomyślały, że to heroina albo inny modny narkotyk.

Gdyby tylko znały prawdę.

Jack wyjął igłę i przycisnął drugą rękę do śladu po ukłuciu. Zamknął oczy i odchylił się na oparcie krzesła. Czuł, jak przechodzi przez niego ciepłe mrowienie, od ramienia, wzdłuż pleców, po nogi. Wyobrażał sobie, jak bakterie wędrują przez jego układ krążenia, przenikając przez błony komórkowe w żyłach do mięśni, skóry i narządów wewnętrznych. Jak wchodzi w kontakt ze znajdującymi się tam paciorkowcami, przekazując materiał genetyczny z komórki do komórki.

Uśmiech wypłynął mu na usta. W jego organizmie rozpoczęło się istne bakteryjne szaleństwo. Stał się potężną organiczną płytką Petriego. Za kilka minut nowy paciorkowiec A opanuje cały organizm i dotyk Jacka stanie się dotykiem cudotwórcy.

Nagle rozległ się głośny brzęk. Ktoś zaczął głośno przeklinać. Jack otworzył oczy i zobaczył pomywacza gorliwie przeproszającego kobiety siedzące dwa stoliki dalej. Na podłodze u jego stóp leżała taca z potłuczonymi szklankami. Jedna z kobiet wymyślała mu, wypielegnowanym palcem mierzając mu w twarz. Jack widział, jak kark nieszczęsnego mężczyzny pod kosmykami siwych włosów czerwienieje.

Jack uniósł brwi. Coś tu nie grało. Ten facet był za stary jak na pomywacza.

Po chwili mężczyzna odwrócił się w jego stronę. Serce Jacka zamarło.

Znał tego człowieka.

32

Cały świat Vincenta Moona zmniejszył się do rozmiarów szarego kółka o średnicy dwóch centymetrów, przeciętego dwiema

jasno czerwonymi prostopadłymi liniami. Sylwetki przepływające przez tę szarość przypominały duchy, ale jasno czerwone linie nigdy się nie zmieniały, pozostawały zimne i prawdziwe. Te jasnoczerwone linie stały się dla niego Bogiem. W miejscu, gdzie się przecinały, był sens i moc.

Tam była prawda.

Moon wychylił się do przodu, dotykając łokciami twardego drewnianego parapetu. Ból kręgosłupa wciąż dawał mu się we znaki. Szarość rozviała się i widmowe sylwetki przybrały wyraźne kształty. Moon widział wygiętą szybę samochodu sportowego i betonowy chodnik. Oparł się na łokciach i zobaczył kobietę idącą wzdłuż balustrady. Potem popatrzył na samą balustradę, zakrzywione żelazo połyskujące w świetle latarni. Następnie kółko ześliznęło się z balustrady na tonący w mroku dziedziniec.

Serce Moona zabiło mocniej, kółko zaczęło drżeć. Zobaczył długie nagie nogi pod metalowym stolikiem, a potem rąbek kosztownej mini spódniczki.

Następnie wzrok agenta zatrzymał się na stojącej na stoliku butelce wody Perrier, widocznej w tak dużym powiększeniu, że można by policzyć wszystkie bąbelki. Przez chwilę patrzył na jasno umalowane wargi, poruszające się gniewnie w górę i w dół - młoda kobieta wymyślała komuś z niewiadomych powodów. Potem jego wzrok powędrował dalej. Po chwili Moon zastygł w bezruchu.

- Tu jesteś - szepnął - ty głupi gnojku.

Od razu rozpoznał te bystre oczy i mocno zarysowane kości policzkowe. Przeszedł go dreszcz podniecenia. Próbował powstrzymać drżenie rąk.

Poczuł na plecach strużki potu i uprzytomnił sobie, że musi się opanować.

Odchylił głowę do tyłu i odetchnął głęboko. Rozejrzał się wokół siebie.

Siedział przy oknie na piętrze budynku na Melrose Avenue; dziedziniec francuskiej kawiarni oddalony był o dwadzieścia metrów. Mały pokój był pusty, nie licząc telefonu stojącego na stole. - Moon był w stałym kontakcie z Densmoreem, czekającym cierpliwie na tylnym siedzeniu samochodu zaparkowanego przed kawiarnią. Przy wozie stało czterech najlepszych ludzi Moona, przebranych za cywilów. Na jego rozkaz mieli przeskoczyć przez balustradę dziedzińca i schwytać Colliera.

Moon wiedział jednak, że nie otrzymają takiego rozkazu. Collier był zbyt niebezpieczny; jego dotyk mógł zmienić agentów w szkielety. Co więcej, Moon miał dług do spłacenia. Jack Collier nie wylądował na sali sądowej ani nie zyska sławy medycznego dziwołaga. Ta sprawa nie stanie się publicznym widowiskiem. Wszystko skończy się tu i teraz.

Zacisnął dłonie na karabinie snajperskim. Jego ręce już nie drżały; podniecenie zastąpiła chłodna determinacja. Przyłożył prawe oko do celownika, lewe pozostawiając otwarte, tak jak uczył pułkownik Conway. Po plecach spływał mu pot, a dźwiganie ciężkiej broni przyprawiało go o ból kręgosłupa, ale Moona ogarnął niemal

religijny spokój. Karabin stał się przedłużeniem jego ciała, ogniskiem jego duszy. Ból ramion i kręgosłupa zniknął bez śladu. Nie istniało nic prócz tych przecinających się, jasno czerwonych linii.

Pięć.

Moon oddychał równo. Karabin był jak przyrośnięty do jego rąk. W tej chwili za jego plecami mogłaby wybuchnąć bomba, a on nawet nie mrugnąłby okiem. W dżungli nazywali to Strefą. Miejscem, gdzie nie istniały myśli, skrupuły, emocje. Miejscem czystego działania.

Cztery.

Przesunął ręce o centymetr w lewo, biorąc poprawkę na wiatr muskający jego policzki. Zauważył kroplę potu spływającą z włosów Colliera i podążył za nią wzrokiem.

Stąd już nie było ucieczki. Pożeracza Karmy wreszcie opuściło szczęście. Moon znieruchomiał i zaczął, aż kropla potu spływająca po szyi Colliera zniknie z celownika. Utkwił wzrok w miejscu przecięcia dwóch czerwonych linii.

Linie krzyżowały się na czole Jacka Colliera, parę centymetrów nad lewym okiem. wkrótce pocisk z karabinu rozerwie jego czaszkę na pół, rozbryzgując mózg po całym dziedzińcu.

Jeden.

Palec Moona zacisnął się na spuście.

33

To się stało tak szybko, że Jack miał wrażenie, jakby oglądał film kręcony przy świetle lampy stroboskopowej. Nie zdążył nawet zareagować, bo w pierwszej chwili nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje.

Stary pomywacz, który nie był pomywaczem, podbiegł do niego z kartką papieru i długopisem w dłoni, unosząc krzaczaste siwe brwi i obnażając w uśmiechu najpaskudniejszą sztuczną szczękę na świecie. Poruszał się niezwykle szybko, jak na człowieka w tym wieku; jego oczy płonęły dziwnym blaskiem. Cień mężczyzny padł na stolik Jacka.

- Nazywam się Duke Baxter i chcę usłyszeć pańską wersję wydarzeń...

Zanim Jack zdążył odpowiedzieć, zanim przebrzmiały ostatnie słowa Dukea, rozległ się głośny suchy trzask. Mężczyzna zatoczył się do przodu, a z jego piersi trysnęła fontanna krwi, zalewając twarz Jacka.

Baxter otworzył szeroko oczy, wznosił ręce ku niebu i odchylił się w tył. Nogi się pod nim ugięły. Upadając, uderzył podbródkiem w stół, obrócił się bezwładnie i osunął na kolana Jacka. Krzesło nie wytrzymało ciężaru i Jack wylądował na ziemi.

Mój Boże! Mój Boże! Mój Boże! Ciało starego człowieka przygniatało mu nogi. Kiedy próbował wysliznąć się spod niego, lewe ramię przeszył mu silny ból. Dotknął ręką bolącego miejsca i zbladł. Ze sporej dziury tryskała ciepła krew, a w kurtkę wbijały

się odłamki kości.

Prawdziwy ból nadszedł sekundę później, a wraz z nim zrozumienie.

Pocisk przebił klatkę piersiową Dukea Baxtera i trafił Jacka tuż nad obojczykiem. Zamknął oczy i jęknął cicho. Jego głowa osunęła się na marmurową posadzkę. Pulsująca krew przelewała się przez dłoń przyciśniętą do rany.

Jeszcze minuta i wykrwawi się na śmierć.

Od strony ulicy dobiegło wycie syren i krzyki, a następnie tupot nóg.

Jack nie wiedział, czy ludzie biegną do niego, czy też uciekają. To nie miało znaczenia. Lada chwila miał umrzeć, tu, w tej kawiarni. Nigdy już nie zobaczy Angie.

Otworzył oczy. Nie, do cholery, nie był gotowy na śmierć. Przycisnął dłoń do roztrzaskanego ramienia, usiłując zatamować krwotok. Zebrał siły i podniósł głowę.

- Jack! Nie ruszaj się!

Zobaczył kobietę, przeskakującą balustradę, która oddzielała dziedziniec kawiarni od chodnika. Jack od razu rozpoznał ją po krótko przystrzyżonych blond włosach.

Potem zauważył biegnących za nią ludzi, ubranych w czarne garnitury.

Mieli w dłoniach karabiny i rewolwery, wszystkie wymierzone prosto w głowę Jacka.

- Chryste! - szepnęła, kiedy cień Tyler Ross padł na jego pierś. Krew wciąż przelewała mu się przez palce.

Tyler ukłękła u jego boku i obejrzała go. Jack wyczytał z jej twarzy troskę - i strach, który czaił się w niebieskich oczach. Widziała z bliska te wszystkie szkielety; widziała zło, jakie niesie jego dotyk. Nie mogła wiedzieć, że jest wyleczony. Mogła tylko wierzyć.

Tracąc przytomność, Jack poczuł, że jej ręce obejmują jego głowę, a ona sama pochyla się nad nim jak opiekuńczy anioł.

34

Chryste! Vincent Moon otworzył szeroko oczy i oderwał głowę od celownika. Serce waliło mu w piersi jak młotem. Słyszał wycie syren i krzyki dochodzące z ulicy, z każdą chwilą coraz głośniejsze. Nie mógł uwierzyć w to, co stało się przed chwilą. Miał Colliera na celowniku i w chwili, kiedy nacisnął spust...

Kurwa! Kurwa! Kurwa! Ktoś przeszkodził mu w wykonaniu zadania.

Ktoś stanął na linii strzału, ratując Collierowi życie. Moon jednak nie zamierzał się poddać. Ten gnojek tak łatwo mu nie ucieknie. Nie tym razem.

Przycisnął oko do celownika. Z trudem powstrzymał drżenie rąk i skoncentrował się, ignorując panujący w kawiarni chaos, krzyki rozhisteryzowanych świadków...

Tu cię mam. W celowniku pojawiła się plama krwi, potem nogi

Colliera i wreszcie jego pierś. Jednak zanim Moon pociągnął za spust, widok przesłoniła mu wysmukła, kobieca sylwetka.

- Ty cholerna suko!

Tyler Ross klęczała przy Collierze, przyciskając dłoń do jego rannego ramienia. Drugą ręką wymachiwała gwałtownie; jej odznaka błyszczała w świetle słońca. Ross krzyczała coś do nadbiegających agentów Moona, być może nakazując im, aby się cofnęli albo wezwali karetkę. Dotykając skóry Colliera udowodniła, że jest wyleczony i w związku z tym nie stanowi zagrożenia. Agenci Moona nie mieli więc wyboru i musieli pozwolić jej go aresztować.

Ale Moon nie musiał słuchać Tyler Ross.

-Nie przeszkodzisz mi - syknął do sylwetki widocznej w celowniku: Nie pozwolę, żebyś stanęła mi na drodze.

Owładnięty gniewem, wycelował w plecy Tyler, w punkt znajdujący się mniej więcej nad sercem Colliera. Pocisk przeszyje ich oboje.

Potem Moon wyjaśni, że w całym tym zamieszaniu stracił podejrzanego na ułamek sekundy z pola widzenia, że próbował uratować Ross przed Pożeraczem Karmy.

Nie chciał jej zabić, ale sama była sobie winna. Wymierzył i spokojnie zacisnął palec na zimnym spuście...

-Moon, nie strzelaj!

Moon znieruchomiał, słysząc nieznany męski głos. Podniósł głowę znad celownika, ale nie puścił karabinu. Potem obejrzał się przez ramię.

W drzwiach pokoju stał szeroki w barach, potężnie zbudowany mężczyzna. Minęła chwila, zanim Moon rozpoznał tę pulchną twarz. Potem przypomniał sobie jego nazwisko: Martin Caufield, asystent Tyler.

Caufield trzymał w prawej dłoni pistolet. Moon zmrużył oczy.

- To ja tu dowodzę, panie Caufield. Pan nie ma nic do gadania - powiedział cicho.

Caufield potrząsnął głową i podniósł pistolet o kilka centymetrów. Nie wymierzył w Moona, ale dał do zrozumienia, że w każdej chwili może to zrobić.

- Doktor Ross panuje nad sytuacją - warknął Caufield. -

Właśnie aresztowała podejrzanego. A teraz niech pan odłoży karabin!

Moona ogarnęła dzika furia. Jak ten cholerny szczur laboratoryjny śmie wydawać mu rozkazy! Moon odwrócił się twarzą do okna i przycisnął oko do celownika. Ponownie wymierzył w plecy Tyler Ross.

- Doktor Ross jest w niebezpieczeństwie - stwierdził. - Spróbuję uratować jej życie.

Moon usłyszał trzask odbezpieczanego pistoletu.

- Proszę mnie nie zmuszać, żebym pana zastrzelił, panie Moon.

Moon zamrugał oczami, zalewanymi przez pot. Zacisnął usta. Jego świat walił się w gruzy. Przecież to było jego śledztwo, do

licha. Jego podejrzący.

Jego dług.

Wiedział, że pułkownik Conway nie wybaczy mu niepowodzenia. Łącząca ich więź zrodziła się w dżungli i opierała się o zasady tam obowiązujące. Niepowodzenie równało się utracie honoru. A honoru nie wolno utracić.

Honoru nie wolno utracić.

Moon podjął decyzję. Jednym szybkim ruchem odwrócił się od okna, podnosząc karabin. Caufield jednak wykazał się zaskakującym refleksem; przykucnąwszy na progu pokoju oddał dwa strzały, zanim Moon zdążył choćby raz pociągnąć za spust. Pokój wypełnił się donośnym hukiem.

Moon poczuł, że coś uderzyło go w pierś i potoczył się bezwładnie do tyłu. Otworzył usta, upuszczając karabin na podłogę. Przez chwilę rozpaczliwie wymachiwał rękami, usiłując złapać równowagę. Krew trysnęła mu z piersi. Cofając się krok po kroku zahaczył kolanami o parapet i wypadł za okno; jego krzyki zagłuszył ohydny świst powietrza.

Przez ostatnie kilka sekund swojego życia zastanawiał się, co poczuje, gdy uderzy w ziemię.

35

Jack.

- Jack.

- Jack.

Tyler gładziła jego zimny policzek, czując, jak jej oczy wypełniają się łzami. W łóżku szpitalnym wydawał się taki chudy i delikatny; jego gałki oczne drgały pod zamkniętymi powiekami, a skóra przybrała tak blady odcień, że trudno było powiedzieć, gdzie kończy się Jack Collier, a zaczyna sterylna biała pościel.

- Jack, nie bądź taki. Nie poddawaj się.

Jego ciałem wstrząsnęły dreszcze, promieniujące z zabandażowanego ramienia. Chirurdzy operowali go przez sześć godzin i nadal nie potrafili powiedzieć nic pewnego. Czy straci władzę w lewej ręce? Czy pojawią się komplikacje? Czy jego serce wytrzyma?

- Jack, to ja, Tyler Ross. Wszystko będzie dobrze.

Modliła się do Boga, by to okazało się prawdą. Na razie jednak lekarze nie byli niczego pewni. I nie chodziło tylko o ranę w jego ramieniu, ale o coś innego, jakiś proces zachodzący w jego krwi. Coś, co miało związek ze zmodyfikowanym paciorkowcem A.

Tyler położyła dłoń na policzku młodego mężczyzny. Kiedy zamykała oczy, wciąż widziała go, leżącego na marmurowej posadzce dziedzińca kawiarni. Słyszała kroki dobiegające zza jej pleców, tupot nóg agentów wkraczających do akcji na rozkaz Moona. Gdyby dotarła tam sekundę później, dokończyliby to, co zaczął ich szef. Nie mogła dopuścić, by do tego doszło.

Zaufała swojemu instynktowi.

- Jack, już po wszystkim. Nikt ci nie zrobi krzywdy.

Częściowo była to prawda. Teraz, gdy Tyler udowodniła, że Jack nie nosi już w sobie śmiertelnej choroby, nie istniało niebezpieczeństwo, że ktoś go zastrzeli. Śmierć Vincenta Moona oszczędziła władzom F-Bi-aI konieczności zawieszenia go w czynnościach służbowych za zabójstwo Dukea Baxtera, człowieka, który wyciągnął sprawę Pożeracza Karmy na światło dzienne.

A zeznania Martina Caufielda wystarczyły, by wszcząć dochodzenie w sprawie sposobu prowadzenia tego śledztwa przez Moona.

Ale to było za mało. Tak długo, jak Dutton będzie utrzymywał, że to on jest twórcą cudownego leku, słowo Jacka nie wystarczy, by oczyścić go z zarzutu wielokrotnego zabójstwa. Będzie musiał udowodnić - zarówno w laboratorium, jak i na sali sądowej - że to on stworzył lek; a do tego czasu ciążyć na nim będzie klątwa Conwaya. Nawet po śmierci Moona senator nie zrezygnuje tak łatwo z zemsty. Tyler domyślała się, że i ona prędzej czy później odczuje na własnej skórze jego gniew.

A nawet gdyby do tego nie doszło, nie zamierzała dalej pozostawać w czynnej służbie. Poprosiła już Feinberga, by zajął dla niej biurko obok swojego i nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie znajdzie schronienie w laboratorium F-Bi-aI. Caufield, zawieszony do czasu zakończenia dochodzenia w sprawie śmierci Moona, miał zostać jej współpracownikiem. Próbkę krwi Jacka, schowane w szpitalnym zamrażalniku, dadzą im zajęcie na wiele lat i, być może z jego pomocą, umożliwią odtworzenie cudownego leku.

O ile ten nieszczęsny chłopak przeżyje. Tyler zabrała rękę z jego policzka i chciała zawołać lekarza, gdy lewe oko Jacka otworzyło się.

- Ocknąłeś się - powiedziała Tyler, starając się nie okazywać zdumienia.

Jack uśmiechnął się blado. Na ten widok jej serce wezbrało wzruszeniem.

- Chyba nie jestem już w kawiarni, co?

Tyler potrząsnęła głową. Spojrzała na monitor ustawiony przy łóżku Jacka. Czynności życiowe wydawały się w porządku. Wiedziała, że lada chwila pojawią się tu lekarze, zapewne również zaskoczeni, jak ona.

Fakt, że Jack odzyskał przytomność, nie oznaczał automatycznie, że niebezpieczeństwo minęło, ale był to dobry znak. Nie zamierzał się poddać. Wszyscy zlekceważyli tego chłopaka. Jak zawsze.

- Muszę cię o coś spytać - powiedziała Tyler. Została jeszcze jedna zagadka, która nurtowała ją od dłuższego czasu. - Czemu do zmodyfikowania bakterii wykorzystales swoją krew, zamiast przebadanej krwi z banku?

Jack nie musiał się nad tym zastanawiać. Odpowiedź była prosta.

- Chciałem, żeby w tym leku było coś mojego.

Tyler wypuściła powietrze z ust. Oczywiście. Agent Densmore

po śmierci Moona zdradził jej wszystkie inne szczegóły, których dotąd nie знаła.

Jack poświęcił się badaniom nad lekiem na raka ze względu na swoją dziewczynę, Angie Moore. To właśnie jej szukał po całym kraju. Postanowił wykorzystać własną krew, bo traktował naukę w sposób osobisty. Nigdy nie podchodził do niej obiektywnie.

- Angie już tu jedzie, Jack.

W jego twarzy zaszła uderzająca zmiana. Na policzkach wykwitły rumieńce, a oddech stał się głębszy, równiejszy. Podniósł się z trudem o kilka centymetrów, ale zaraz opadł na poduszkę, wyczerpany. Cienka linia między miłością a obsesją. Tyler była ciekawa, czy właśnie to utrzymuje Jacka przy życiu - dopóki nie zobaczy Angie, jego serce nie przestanie bić.

- Dzisiaj będzie wam musiało wystarczyć krótkie spotkanie - powiedziała Tyler, zastanawiając się, czy i jej dane będzie zaznać takiej miłości. - Musisz odpoczywać.

Jack wysunął rękę spod koca i dotknął palcami przedramienia Tyler Ciarki przeszły jej po kręgosłupie. Jack uśmiechnął się.

- Wystarczy, żebym wziął ją za rękę - wyszeptał.

Jakby jego dotyk mógł wszystko zmienić. Tyler miała zapytać go, co właściwie miał na myśli, ale w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju zajrzał Caufield.

- Doktor Ross, przepraszam, że przeszkadzam. Próbowałem go splewić, ale on upiera się, że musi porozmawiać z Jackiem. Jeśli pani chce, mogę go stąd wyrzucić.

Tyler poczuła ucisk w żołądku.

- O kim pan mówi, panie Caufield? - spytała, choć wiedziała, jaką odpowiedź usłyszy.

- O Duttonie. Mówi, że potrzebuje tylko kilku minut.

Tyler spojrzała na Jacka; tu, w szpitalnym łóżku, wydawał się tak kruchy... Wściekłość przeniknęła ją do głębi. Już miała powiedzieć Caufieldowi, żeby przegonił tego drania, kiedy Jack spojrzął jej w oczy.

- Wpuście go.

36

Słyszał ich rozmowę za drzwiami - ostry, stanowczy głos Tyler i zdawkowe odpowiedzi Duttona. Tyler groziła mu, mówiła, że będzie czekać na korytarzu, że Jack jest pod jej ochroną. To było dla niego nowe, nieznane uczucie - świadomość, że ktoś nad nim czuwa. Na myśl o tym prawie nie czuł bólu promieniującego z rany.

Kiedy drzwi się uchyliły, Jack zebrał siły i spróbował podnieść głowę z poduszki. Nie udało mu się, więc tylko podązał wzrokiem za Duttonem, który powoli wszedł do pokoju. Bruzdy przecinające twarz profesora zmieniły się w kaniony, a jego włosy wydawały się rzadsze i sterczały na wszystkie strony. Miał na sobie garnitur, tak wymięty, jakby w nim spał.

Jego ręce drżały. Tylko oczy pozostały takie same - zimne, zielone i harwardzkie.

Stanął w nogach łóżka. Przeniósł wzrok z twarzy Jacka na bandażę spowijające ranne ramię, a potem na kroplówkę wiszącą nad jego głową. Wyglądało to tak, jakby próbował ocenić jego szanse na przeżycie.

- Możesz mi nie wierzyć - powiedział cicho Dutton - ale nie chciałem ci zrobić krzywdy.

Jack wybuchnąłby śmiechem, gdyby nie obawiał się, że może nie przeżyć takiego wysiłku.

- Chciał pan tylko zniszczyć moje życie i sprawić, żebym zniknął. Ale ja ciągle tu jestem, profesorze.

Dutton zerknął przez ramię na drzwi, by upewnić się, czy są zamknięte.

Potem odwrócił się do Jacka. Jego rysy stężały.

- Słuchaj no, ty zaszranie gnojku. Nie myśl sobie, że cokolwiek się zmieniło. Ja zasługuję na ten lek. Spędziłem całe swoje życie w tym laboratorium.

Nobel należy się mnie i nie pozwolę, żebyś mi go odebrał.

Dutton zawiesił głos i przeczesał dłonią włosy.

- Musisz zrozumieć, że najlepiej będzie, jeśli zaczniemy ze sobą współpracować - ciągnął cicho. - Ja przyznam, że pomogłeś mi w pracach nad paciorkowcem A. Pokłóciliśmy się, ty włamałeś się do mojego sejfu i uciekłeś. Coś złego stało się z bakteriami, ale nie było w tym naszej winy.

W jego głosie pobrzmiwał ton rezygnacji. Dutton wiedział, że Jack coś zrobił ze zmutowanymi bakteriami, bo w przeciwnym razie nie leżałby w szpitalu, tylko w hermetycznie zamkniętym gabinecie, przygotowany do autopsji. A skoro dłużył w bakteriach, to bez wątplenia odkrył, że Dutton wprowadził własną krew do paciorkowca. Co więcej, pewnie odgadł, dlaczego jego były profesor to zrobił. To oznaczało, że Dutton nie miał wyboru.

Musiał dobić targu.

- Domyślił się pan, że zawarłem w leku cząstkę samego siebie - powiedział Jack. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło, podrażnione rurką intubacyjną. - Dlatego próbował pan zamaskować moje DNA swoim. Wiedział pan, że znaczniki genetyczne mojej krwi byłyby dowodem na to, że to ja jestem twórcą leku.

Dutton machnął ręką. Starał się sprawiać wrażenie opanowanego, ale widać było po nim, że jest zdesperowany.

- Liczy się cud, Jack. Słuchaj, mogę ci przypisać część zasługi. Mogę wycofać oskarżenie o plagiat. Możesz wrócić do mojego laboratorium i zapomnimy o wszystkim. W przeciwnym razie... no cóż, twoje słowo przeciwko memu.

Jack zamknął oczy. Prośby Duttona budziły w nim odrazę. Ale, o dziwo, nie czuł do niego nienawiści. Prawdę mówiąc, było mu go żal.

- Moja krew jest częścią leku, profesorze. To pańska krew go zniszczyła.

Zapadła cisza. Dutton spojrział na Jacka, wyraźnie zbity z tropu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Jack był zbyt zmęczony, by mu to wyjaśnić; poza tym Dutton wkrótce miał sam poznać prawdę. Gdyby sprawa trafiła do sądu, gdyby trzeba było dowieść, że to Jack jest twórcą leku, a Dutton człowiekiem, który zmienił go w śmiertelnościaną plagę - wystarczy zwykłe badanie krwi. DNA wykaże, że profesor choruje na liszaj - i jest oszustem.

Jack odetchnął głęboko.

- To się nazywa karma, profesorze. Ona naprawdę pożre pana żywcem.

Jack nie otworzył oczu, gdy Dutton patrzył na niego, czekając na dalsze wyjaśnienia. Nie otworzył oczu, gdy Dutton wypadł z pokoju, zatrzasnąwszy z hukiem drzwi. Nie otworzył oczu, gdy z korytarza dobiegły rozgniewane, stłumione głosy - to Tyler wyganiała Duttona. Nie otworzył oczu, gdy drzwi otworzyły się znowu i ktoś po cichu wszedł do środka.

Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy usłyszał swoje imię, wypowiedziane łagodnym kobiecym głosem.

- Jack, mój Boże, Jack.

Wreszcie zobaczył obraz, o jakim śnił. Miała świeżo przystrzyżone ciemne włosy i pełne, kształtne usta. Była trochę chudsza niż dawniej, ale jeszcze piękniejsza. Patrzył na obraz ze swojego snu i, ku swojemu zdumieniu, od razu wiedział, co powiedzieć.

Podziękowania

Najserdeczniejsze podziękowania dla Jennifer Enderlin, mojej niesamowitej redaktorki, za to, że dzięki niej z każdą książką staję się coraz lepszym pisarzem. Dziękuję także Matthew Shearowi za jego nieustające wsparcie; oraz Aaronowi Priestowi, najlepszemu agentowi, jakiego pisarz mógłby sobie wymarzyć.

Słowa wdzięczności należą się też Orowi Gonzanemu i Katrin Chua, Lynne Firester, Scottowi Stosselowi, Lise Erbach Vance, Jonowi i Joshowi Mercrich, Belli Shen, Saumyi Das, Drew Tulumello, Tonyi Chen i, przede wszystkim, moim rodzicom.